

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

PASJA

Nr 1-2 (78-79) Zielona Góra 2022 ISSN 1642-5995 Nr indeksu 370754

Eseje Wiersze Proza Szkice krytyczne Sztuka



HZ
77

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

Prace plastyczne wykorzystane w numerze – Helena Zadrejko

© Copyright by Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Cypriana Norwida, Zielona Góra 2022

Redaktor naczelny
Andrzej Buck

Sekretarz redakcji
Ewa Mielczarek

Korekta
Joanna Wawryk

Stale współpracują:
Joanna Kapica-Curzytek, Małgorzata Mikołajczak, Czesław Sobkowiak, Mirosława Szott, Joanna Wawryk

Fotografie
Archiwa prywatne: Czesława Sobkowiaka, rodziny Szyłkinów, Heleny Zadrejko oraz WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, Anna Polak, Olga Pondel, Katarzyna Poryszko

Wydawca
Pro Libris – Wydawnictwo Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida
al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra

Skład komputerowy i opracowanie graficzne numeru
Danuta Morawska

Druk i oprawa
Dual Studio Bartosz Zajęc

Nakład – 300 egz.

ISSN 1642-5995

Nr indeksu 370754

Adres redakcji:
WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra (z dopiskiem Pro Libris)
e-mail: prolibris@wimbp.zgora.pl, www.wimbp.zgora.pl, www.prolibris.net.pl

Publikację wydano przy pomocy finansowej
Urzędu Miasta Zielona Góra
i Zarządu Okręgu SBP w Zielonej Górze



Od redakcji

W minionym 2021 roku przypadło dwudziestolecie istnienia „Pro Libris”. Świątowaliśmy ten czas aktywnie – pracując, nie pozwalając sobie na obniżenie poprzeczki, mimo wciąż pandemicznych realiów. Zaakcentowanie jubileuszu odbyło się poprzez konkretne działania. Fachowym okiem przyjrzała się naszej działalności prof. Jolanta Chwastyk-Kowalczyk, prasoznawca, bibliolog i medioznawca, dokonując drobiazgowej, ilościowo-jakościowej analizy zawartości periodyku. Badania pierwotnie zostały zaprezentowane w postaci obszernego wykładu podczas Zielonogórskich Konwersatoriów Bibliotekoznawczych (15 grudnia 2021). Następnie, ich efektem stało się opracowanie „Pro Libris”. *Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne (2001-2021)*. Wzbożona aneksami i bibliografią publikacja ukaze się drukiem w 2022 roku.

Kolejną dekadę istnienia Pisma otwiera numer, którego tematem przewodnim jest PASJA. Nie jest to przypadkowy tytuł. Oddaje kwintesencję idei przyświecającej Redakcji od tak wielu już lat. Pasja wciąż jest w nas, tworzących „Pro Libris”, a przede wszystkim – w autorach, którzy niezmiennie proponują ciekawe tematy i dostarczają znakomite teksty, dając bazę wyjściową, bez której Pismo by nie istniało. Talent, wiedza, potrzeba dzielenia się własnymi przemyśleniami stanowią najważniejsze tworzywo, kulturotwórczą tkankę czasopisma.

Równie ważną co literatura materią dla „Pro Libris” jest sztuka. Tym razem swoich prac do zilustrowania numeru użyczyła pełna pasji artystka – Helena Zadrejko. O jej twórczości i działalności pisze w numerze historyk sztuki Jacek Gernat. W tym kontekście przytaczamy także archiwalne wypowiedzi artystów światowej sławy – Jerzego Nowosielskiego oraz Jerzego Dudy Gracza – którzy bacznie przyglądali się rozwojowi artystycznej Heleny Zadrejko.

Z podobnym zaangażowaniem i wnikliwością dwoje historyków, badaczy regionalnych – dr Anna Polak i dr Paweł Karp – opisując świat chronogramów, dzwoniów i krypt, ujawnia uroki Ziemi Żarskiej w niedawno reaktywowanym dziale Krajobrazy Lubuskie. Tekst jest opatrzone bogatym materiałem fotograficznym.

Na łamach numeru odnajdą Państwo dobrą porcję i prozę, teksty krytycznoliterackie (obszerne eseje: Urszuli Benki, Marii Jolanty Fraszewskiej, Adama Lizakowskiego), ciekawe wywiady (dr Mirosławy Szott z Czesławem Sobkowiakiem i Anny Polus z Waldemarem Matuszewskim wspominającym postać Anny Tokarskiej), teksty pożegnalne poświęcone nestorowi poetów lubuskich, Henrykowi Szykowi, także skondensowaną laudację prof. Małgorzaty Mikołajczak, prezentującą sylwetkę twórczą Krzysztofa Fedorowicza, autora powieści enograficznej *Zaświaty*.

Do znanego wcześniej zespołu twórców dołączyli nowi literaci (Anna Urbaniak, Elżbieta Kuna-Kwiecińska). Odezwali się również dawno niepublikowani (Irena Zielińska, Piotr Kominek, Andrzej Nowak). Poza kilkoma tekstami prozatorskimi (opowiadania Ryszarda Jasińskiego, Władysława Edelmana, Marcina Mielcarka i Marcina Radwańskiego) publikujemy relacje z imprez i obchodów literackich w dziale Zbliżenia.

Zachęcamy również do zapoznania się z rekomendacjami ważnych regionalnych książek, opisanych w Recenzjach i Omówieniach. Ponadto prezentujemy tekst *Bomster*, próbkę znakomitej prozy Mirosława Kuleby, będącej fragmentem powieści *Enografia mistyczna miasta Thalloris*, której wydanie zaplanowano sumptem autora i wydawnictwa Pro Libris w bieżącym roku.

Spis treści

Irena Zielińska, Wiersze [Cień szeptu, Współzarażeni, Pies]	6
Miroslaw Kuleba, Bomster [fragment książki <i>Enografia mistyczna miasta Thalloris</i>]	10
Agnieszka Ginko, Wiersze [wiersz do przyjaciela, po śladach, wiersz do wiersza, w pestkach]	12
Czesław Sobkowiak, Zapiski. O Irenie Dowgielewicz i różnych rzeczach	14
Piotr Kominek, Wiersze [jesteś, naucz mnie twojej prawdy]	20
Janusz Barwik, Lato 2009	22
Jakub Domoradzki, Wiersze [Szawle, Szawle; Łotry, Ziemia świętsza, Trywialny bezwstyd nieprzeciętności]	25
Ryszard Jasiński, złoty mężczyzna; tylko nie zakopuj studni	29
Anna Urbaniak, Wiersze [Twarze, *** Zgubiła mi się..., Hiacynta i Maja, *** Widzę...]	32
Władysław Edelman, Nieznana historia potraw	35
Czesław Sobkowiak, Wiersze [*** Rozmawiam..., *** Bez pośpiechu..., *** Nie mieszka..., *** Mignął świt..., *** Chłopcu..., *** Żyli...]	37
Marcin Mielcarek, Trochę o zwykłym obłędzie	40
Andrzej Nowak, Wiersze [Fety poety; Lubię to, co gubię]	45
Elżbieta Kuna-Kwiecińska, Zośniczka, Bogdan	47
Elżbieta Dybalska, Wiersze [W klepsydrze, Jak pies, *** Smakujesz kobietę, *** Widoki...]	50
Marcin Radwański, Fatima	52
Bogumiła Różewicz, Wiersze [*** W niespokojnym czasie..., Wspomnienie]	54

ZBLIŻENIA

„Pisałem wiersze i łudziłem się, że to wystarczy”. O poezji, czasach szkolnych i planach z Czesławem Sobkowiakiem rozmawia Miroslawa Szott	55
Małgorzata Mikołajczak , Nagroda Literacka im. A. K. Waśkiewicza dla Krzysztofa Fedorowicza za całokształt twórczości – laudacja	62
Dorota Kaczmarek , 11. Festiwal Literacki im. Anny Tokarskiej Proza Poetów w fotoreporterskim skrócie	63
Daria Żytyńska , <i>Hłasko, proletariacki książę</i> . Wydarzenie 11. Festiwalu Literackiego im. Anny Tokarskiej Proza Poetów	69
Robert Rudiak , 60-lecie Oddziału ZLP w Zielonej Górze – podsumowanie	70

VARIA

Urszula M. Benka , Pozwól tej miłości płynąć, ale nie wchodzić do wody	76
Maria Jolanta Fraszewska , Cywilizacja i kultura. Czy literatura jest wytworem kultury, czy literatura tworzy kulturę? Co niszczy co?	91
Adam Lizakowski , Przemysłania własne na temat książki Magdaleny Grochowskiej pt. <i>Różewicz. Rekonstrukcja</i> (tom 1).	96

IN MEMORIAM

Ewa Mielczarek , Odszedł Henryk Szyłkin, piewca Kresów	101
Czesław Sobkowiak , O Szyłkinie	104

„Zawsze była wśród tylu książek, programów, afiszy...” O Annie Tokarskiej z **Waldemarem Matuszewskim**, dyrektorem Lubuskiego Teatru w Zielonej Górze (1991-1996), rozmawia **Anna Polus** 106

KRAJOBRAZY LUBUSKIE

Anna Polak, Paweł Karp, W świecie chronogramów, dzwonów i krypt, czyli żarski zakątek tajemnic. Część I 111

PREZENTACJE

Helena Zadrejko 117
Jacek Gernat, Poetyckim okiem malarki. O twórczości Heleny Zadrejko 119
Jerzy Nowosielski, Artystyczny dystans 122
Jerzy Duda Gracz, Istota portretu 123

RECENZJE I OMÓWIENIA

Innego teatru nie będzie
Andrzej Buck, *Teatr małej ojczyzny. Szkice do dziejów Lubuskiego Teatru w Zielonej Górze 1951-2010* (**Łukasz Maciejewski**) 125

Wielowarstwowa panorama regionu
Miroslawa Szott, *Czytanie miejsca. Poezja lubuska w perspektywie geopoetyki* (**Czesław Sobkowiak**) . 127

Ile jest władzy w języku?
Mechtilde Lichnowsky, *Der Kampf mit dem Fachmann* (**Joanna Kapica-Curzytek**) 128

Debiut miłości
Natalia Haczek, *Głód* (**Czesław Sobkowiak**) 130

Dziesiąta muza w regionie lubuskim i dolnośląskim
Radosław Domke, Jacek Szymala, *Dolny Śląsk i Ziemia Lubuska w filmach polskich po 1945 roku* (**Robert Rudiak**) 132

W rocznicę urodzin Korsaka
Alicja Lipińska, Maria Radziszewska, *Archiwalia Włodzimierza Korsaka w zbiorach Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze. Cz. 2* (**Ewa Mielczarek**) 135

Dobry niedosyt
Leigh Bardugo, *Trylogia Grisza. Cień i kość* (**Rozalia Boguszewska**) 137

KSIĄŻKI NADESŁANE 138

AUTORZY NUMERU 139

Cień szeptu

Odciskam się
cieniem szeptu
w przeźroczystym czasie
już krzyk nie rzeźbi małżowiny usznej
przybita do siebie
szpilkami słonej rosy
cicha
gubię się w sobie jak w bezdrożnej puszczy
zatracam odrębność na krawędziach skóry
aż w zaroślach palców
kwitną krople
błękitnej duszy
o atawistycznym wykroju
drżących liści

Cieniem jestem
jeszcze tylko
z unerwień rąk
czas wypływa
jak rubinowy prąd
jak szept niewytłumaczalny
nie znajdujący miejsca
w mowie akustycznej
szept –
wycie zagrożonego wiatru
albo
w bezdomnej pieśni
zamarznięty lot
ptaków

Słucham więc spojrzeń
z dna źrenic rozwartych
jak stają się za wielkie

za duże
o dwie jaskinie mroku
za głośne
o dwie
cisze...

Współzarażeni

W barach już nie wybierają miejsc
naprzeciwko siebie
Siadają daleko ode mnie i dyszą
Trzęsą im się ręce, zupa ścieka im po brodach
Jestem kobietą
W łazience często myję ręce zwykłym szarym mydłem
z domieszką kropel octu i smutku
Kolor rąk i twarzy
stał się blady
coraz bledszy
Do kina nie chodzę bo gdy kochankowie
całują się i pragną
choćby przytulenia
to we mnie wiotczeje oddech –
nadziewa się na strachu ostrze
i jak płonąca chorągiewka w zatrutym powietrzu
chwieje się

W izolatorium czterech ścian wypijam setkę
by wyrównać słupek rtęci
w starym
przedpotopowym termometrze

Rano otwieram telewizor
Mówią: Nie umieraj z głodu człowieku
My o Tobie myślimy
Nie rób tego
Także z powodu –
Przeziębienia serca

Mówią: Jesteśmy z Tobą.
Przede wszystkim – statystycznie

Mówią i chowają głowy w piasek
Ja także chowam twarz –

W masce wycięłam dwa oczka
by nie oslepnąć na świat

Pies

Mojemu Psu – Vipowi

Mojego psa zaplątanego
w moje sprawy
chyba przejechał samochód
albo w lesie powiesił go
zwykły szubrawiec
na drzewie
jękliwym jak echo
wystarczy że powiem: uciekł –
nie powrócił –
umarł

Był mi obłokiem na pościeli
był spowiednikiem
szepców na trawie
w ogrodzie
na progu mojego rodzinnego domu
był recenzentem moich wierszy
dziwnych i samotnych
bo właśnie z nim
dzieliłam niepokoje
o los swój własny
i o losy świata i ludzi

Najuważniej wsłuchiwał się
w moje skulenie
był ode mnie w kłębie –
większy
i poważniejszy sercem

I dlatego jemu należy się
to wspomnienie

On umarł i ja umrę
ale jeśli ja –
to będzie po sprawie
bo ja mam potargane sumienie
on zaś – rozumne czyste serce –
przepełnione miłością
Wszyscy – bez psów –
byle jak pomrzemy
i jakoś tak – nierozważnie

Czas bez czworonożnych
ogoniasto-merdających stworzeń
jest i będzie zawsze –
przeciwny nam

O każdej porze
będzie nam wiał w oczy wiatr
i wyl

Uczmy się od psów
wierności przyjaźni
i miłości

Uczmy się póki co
bo wszyscy i –
wszystko opuszcza nas
najbrutalniej
najboleśniej
i tak nagle
i na zawsze...

Mirosław Kuleba

Bomster

(fragment książki *Enografia mistyczna miasta Thalloris*)

Bomster to wino z winnic niezbyt odległego miasteczka Babimost, królewskiego miasta Korony Polskiej, którego nazwę Niemcy skrócili do rzeczowego Bomst. Ponieważ winnice zostały tutaj rozbite rzekomo na wilgotnych glebach, wydartych nadrzecznym łęgom i bagiennym olsom, po całych Prusach rozniosta się sława miejscowego wina jako matki wszystkich kwasów.

To ciągle polowanie, napięcie zmysłów, już tyle lat. Odpływa spopieloną rzeką marzenie, zachwyty przegląda się w zwierciadle prawdy. Pasja, moja pasja wielka, gaśnie każdego dnia w coraz głębszym cieniu i ustępuje przed powabem wieczornej ciszy. Pozostał mi tamten pierwszy strzał, niespodziewana zdobycz, której już nigdy później nic nie przewyższyło. Nagle na leśną drogę wypadły skądś dwie dziewczyny, za nimi kundelek. Zamarły, widząc myśliwego. Wtedy jeszcze chodziłem do lasu w sortach jak spod igły, jeszcze nosiłem zamszowe rękawiczki i kordelas z chirurgicznej stali, pięciostrzałowy automat. Zanim rzuciłem to wszystko w cholerę. Potem były sezony myśliwskie na Syberii, niedźwiedzie w barłogu, głuszce na toku, egzotyczne łowy, wszędzie kobiety, ale wówczas polowałem jeszcze w dziewiczej puszczy Weysenhoffa, zielony soból. I panny.

Ta starsza, na oko licealistka, rudowłosa koza na białych szcudłach, machnęła teatralnie i pochwyciła pieska na ręce. Nie wolno w lesie puszczać psa luzem, strzelało się wtedy kłusujące psy i koty. Pamiętam jej oczy niebieskie, szeroko otwarte z nagłej konfuzji. Trochę jednak rozbawione – rude bywają złośliwe. Młodsza nie odezwała się ani słowem, zawstydzona. Poszliśmy razem do wioski zaszytej w lasach pod Babimostem, w łowisku pełnym jeleni i kozłów o parostkach skręconych motylicą. Mieszkało tam sporo łemków, wysiedlonych po wojnie z Bieszczadów.

Dziewczęta miały usta fioletowe od soku leśnych jagód. Jej usta miały smak leśnych jagód, słodki i cierpki. Moja sarna w fioletowej sukni, o grzęzach białych jak śnieg, z rudym fartuszkim, który płonął ognistą czerwienią. Na próżno tej nocy księżyc łowców pokrył knieję galwanicznym srebrem. Zamiast polować błądziłem w winnicy. Miała dawać najbardziej kwaśne wino świata, a spływała słodkim kagorem, pod koronami spadających gwiazd i przed zielonym ikonostasem. W aurze świętości młodzieńczego zachwyty, niewinności myśliwskiego trafu i przemożnej siły okoliczności.

Pozostawiają tropy, ślady stóp na piasku i na lustrzanej posadzce, zgniecione prześcieradła. Ciemność nasyconą zapachem, wzniecany przez namiętność. Strefę ciepła w zasięgu rąk, bezwładne ciało astralne porzucone w chwili zapomnienia. Mogę przywołać twój obraz z pamięci, gdzie trwasz ciągle w tym samym pokoju, z tym samym od lat gestem, z kroplami wina spływającymi na piersi i brzuch, kiedy półleżąc, podnosisz pełny kielich do ust. Topografia miłości. Spotkania tysięcy ścieżek, spośród których jedna przyprowadzi cię. I te, które się nie przetną, przechodzisz obok, nigdy cię nie dotknę, przemijasz nie doznana, nie ucieleśniona. Chociaż – wszystkie drogi wszystkich ludzi spotkają się kiedyś ze sobą, co wynika z istoty nieba i z rachunku prawdopodobieństwa. Z reguły geometrii, gdyż nie ma na ziemi dwóch równoległych losów. Nie istnieje twoja doskonała kopia, sobowtór powtarzający zapis genotypu, który determinuje wiele spraw, choćby miłość. Miłość nie poddaje się regułom, decyduje niepowtarzalna inteligencja, ale jest też coś zwie-

rzęcego, co unieważnia rozum i kalkulacje. Nie poddaje się woli. Jest błogostawieństwem, bo oto okazuje się, że jest coś, czym nie potrafimy pokierować zgodnie z własnym interesem. Spospolitować w pogoni za pieniędzmi i znaczeniem. Co potrafi zaprzeczyć naszym ambicjom, a nawet woli przetrwania za wszelką cenę. Jest taka siła. Pozostaje tylko kwestia, czy to nie jest ten zatruty owoc z drzewa poznania dobra i zła.

Była tam wówczas winnica pełna owoców białych i gorących, których smak pamiętam. Minęło pół wieku, a ciągle czuję pod palcami jędrność świeżych jagód odlanych w srebrze księżyca i wzbierających młodym sokiem. Winnica ścieliła pode mną nagie łono, jej krew tętniła w giętkich latoroślach, którymi mnie oplotła, a wokół burzył się i dusił nas zapach schnącego siana. Winnica napoiła mnie swym winem, płynnym srebrem, którym ociekała tej nocy. Nocne niebo nad nami miotło zielone iskry świetlików i wypełniało się nazbyt śpiesznie różową poświatą brzasku.

A dwuznaczna sława babimojskiego wina, jako kwasu trawiącego granit, żelazo i diament, trunku z jeziornych szuwarów, okazała się bańką mydlaną, kiedy na wielkiej degustacji w Niemczech wina z tego regionu przyrównano do najlepszych reńskich rieslingów. Zachwyty koneserów wzbudził czerwony bomster z „Château Bomst”, nazwany pompatycznie łzami świętego Piotra, *Lacrimae Petri*. W nawiązaniu do patrona miasta, które ma w herbie dwa skrzyżowane klucze Piotrowe do nieba. Jako wspomnienie krwawych łez apostoła, płynących każdego wieczoru, kiedy nad kubkiem wina wspominał, jak zaparł się Boga tamtej nocy, zanim zapał kur.

Pamiętam wciąż te łzy przelane u schyłku srebrnej nocy, trofeum i smutek myśliwego, korale na sarniej sukience.



wiersz do przyjaciela

piszę do ciebie ten wiersz, przyjacielu,
bo lubię tę twoją kawę i papierosy
jak u Jima Jarmuscha.
i chce mi się z tobą kurzyć, chociaż nie palę.
i gadać, gadać, póki można.
piszę, bo wiem, że kiedyś cię zaciągnę
na vege burgery.
i będę wspominać twój niesmak i śmiech.
i seriale Netflixa.
to będzie życie.
dobrze, że jesteś,
jeszcze przez chwilę,
że jesteśmy.

po śladach

wrócę do ciebie, wierszu,
ale jeszcze nie teraz.
najpierw popatrzę na puste miejsce przy stole,
na talerz, który przepadł jak kamień.
na stół śniący o dotyku.

wyprowadzę na spacer kubek z kredensu,
kiedyś ciepły, z kawą.
jeszcze nie teraz.

wiersz do wiersza

piszę cię, żebyś wiedział,
o zakamarkach tej dziwnej łąwicy
rozpierzchłej na wszystkie strony,
o niesfornych rybach, które płyną i płyną.
o ptactwie niebieskim na gałęzi w ogrodzie,
gdzie wszystko się dzieje.

piszę, kiedy chodzi się w szlafroku.
kiedy nie ma tu nic.
kiedy morze wyrzuca czarne ciała
oszukane przez ląd.
i kiedy w lesie nikt nie woła.

w pestkach

dotykaj mnie i nie dotykaj,
kiedy odrasta wspólne życie w kilku płatkach,
uważaj na osy, stada pokrzyw,
w pulsującym, nagrzanym miesiącu,
podwodnym, zapatrzonym w morze.
dotykaj i nie dotykaj
w szczątkach światła w błocie,
w pestkach i nagich badyłach,
w zeschniętej skórze liści,
w schwytyanych dniach na legowisku
i kiedy ciało wstaje.

Zapiski

O Irenie Dowgielewicz i różnych rzeczach

Omikron

Wyniosłem na stertę wiadro z odpadkami, zamknąłem bramę, w mroźnym powietrzu chodziłem tam i z powrotem. Oddychałem. Owszem, pozgarniałem zmrożone liście. Ale drzewa z korzeniami nie dam rady wyrwać. Jeśli coś mnie dotyczy, to poczucie, że idzie mi już wszystko dosyć wolno, po prostu wydajność mięśni spada. Jeden klocek wierzbowego drewna udało się porąbać. To dwie, trzy minuty. Inne zadania (te literackie i ze zdrowiem) stoją w miejscu, no ale... Rok jest (i będzie) bardzo niepewny, ciężki, dużo niewiadomych szczególnie teraz, podatki, ceny, które nie zlitują się nad ludźmi. I widmo wojny. Czy te ciężary da się przetrzymać, udźwignąć? Da się, jeśli ludzie nie będą wariować, wykrzykiwać puste slogany ani dziwaczyć. Byłoby nie wybuchło to najgorsze. I jeszcze ten okropny omikron, który małymi kroczkami zmierza, każdego dnia, by zrobić swoje. A poza tym życie zaczyna boleć różnymi bólami.

Koniec stycznia

Wieczorem na dworze. Słyszę śpiewne głosy komunikującego się ze sobą klucza dzikich gęsi, które niewidoczne w ciemności nieba lecą akurat nad domami w stronę nadnoteckich wód i jezior. Czy to znak, że wiosna już blisko?

Miłość

Miłość zawsze rodzi trudne, wewnętrzne problemy. Oczywiście zależą one od tego, po jakiej ścieżce idzie, jaki jest jej cel i również kształt. Od wielu rzeczy zależy. Bo podmiotowo miłość dąży do objęcia całego świata. Każdej rzeczy, która jest...

Poruszenie

Pająków nie śniłem, chyba w ogóle w nocy nie śniłem, poza tym, że wstawałem dwa razy do toalety, bo była taka pilna potrzeba, no i poruszenie. Poruszenie to ważna sprawa w poezji, o to mi chodzi w tym jeszcze życiu. Zapewne podobnie jest zarówno w Berlinie, Moskwie, Pekinie, Nowym Jorku i Paryżu, jak i w całym wszechświecie – poruszenie, i u mnie w zielonogórskiej Zawadzie.

Obrus

Pojechaliśmy z Natalią na niedzielną giełdę używanych, więc i starych, rzeczy, urządzeń, niejednokrotnie oryginalnych, niezniszczonych, niebanalnych, które polscy handlarze przywożą z Niemiec. Cotygodniowe chodzenie między towarami sprzedających weszło mi już w przyjemny nałóg, bo za każdym niemal razem coś moje oko wyłowi. I jak tu nie kupić za kilka złotych ciekawej rzeczy, tylko tutaj, bo nie w sklepie. Dawne rzeczy pamiętają jeszcze miniony czas, kiedyś istotne sposoby życia. Takie właśnie przedmioty fascynują mnie, one mają w sobie oddech i klimat innej pracy, innej codzienności niż dzisiejsza. Tym razem trafił się duży, kolorowy, ręcznie haftowany kwiatami obrus. Zupełnie podobny do tego, jaki był w moim rodzinnym domu. Pamiętam.

Jednak

Panu Markowi Budniakowi

Mimo swoich osobistych, różnych problemów (któż ich nie ma), braków, niedostatków, może i nieumiejętności odczuwania sensu, to muszę przyznać, że fakt, iż ostatnio więcej słyszę w mediach, w niektórych oczywiście, o postawach i zachowaniu Polaków w dziejowej przeszłości, o dzielności postaw, patriotyzmie, cierpieniu, szlachetności, mądrości, odwadze i poświęceniu lub choćby o wytężonej pracy, sprawia (ten fakt) coś ważnego – żyje mi się z tego powodu nieco łatwiej. Właśnie mimo wszystko z otuchą. Czuję przestrzeń polskiego życia, rozległość historyczną, zakorzenienie, przypisanie do tej ziemi, warunkujące tożsamość. Jest jakaś radość, oby nie chwilowa, niepodległość, trudna, ale to, że jestem, jesteśmy w swoim domu – najważniejsze.

Kawa

Sobota. Dobry poranek, wart zachwytu, na dworze lekki wyż, wysoko, szybko, z północy idą liczne obłoki, a pod stopami chrzęści stwardniały śnieg. Podoba mi się to. Po południu jednak poczułem się senny, mocno znudzony, serce pracuje mało wydolnie. Jedna tylko myśl, położyć się, mimo że to dopiero środek dnia. Jednak zrobiłem kawę. Kawa ma mnie uratować.

Dowgielewicz

Okrucieństwem jest umieranie. A to taki tylko porządek natury. I w samym zapominaniu jest okrucieństwo. Dotyczy zachowania lub utraty pamięci o człowieku, lecz jakby więcej dotyczy pisarza. Zapomnienie jego twórczości, którą w wysokim i postannicznym przekonaniu tworzył, to niekoniecznie pośmiertna weryfikacja literackiej wartości, czyli sprawiedliwy czyściciel, ale raczej krzywda wyrządzona dziełu całego życia. To też z aprobatą przyjąłem wiadomość, że ktoś chce w swoim literackim pisaniu przypomnieć postać znaczącej kiedyś w regionie lubuskim poetki i pisarki Ireny Dowgielewicz. Jej dorobek nie jest zbyt obfity, ale wart uwagi, jak i sama osoba. Mieszkała wiele lat, do końca życia, w Gorzowie. Jeden raz z autorką *Siania pietruszki* miałem osobisty kontakt. W latach osiemdziesiątych pracowałem w Muzeum Ziemi Lubuskiej. Zbierałem i gromadziłem materiały, dokumenty środowiska literackiego naszego regionu, i w tym celu postanowiłem pozyskać też od Ireny Dowgielewicz jakieś jej rękopisy lub inne rzeczy. Cokolwiek by to nie było. Pojechałem do Gorzowa. Był upalny dzień czerwca lub lipca. Odnalazłem dom pisarki. Pani Irena przyjęła mnie serdecznie, czułem jej zaciekawienie moją osobą i życzliwość. Poleciała mi samodzielnie zrobić sobie kawę. Wyjawiłem jej cel wizyty, poprosiłem o rękopis wiersza *Teologia* i otrzymałem, napisany na kartce, na poczekaniu i jakieś inne jeszcze rzeczy pisane. Dosyć skromny to był zbiór, ale mnie to cieszyło. Te rzeczy znalazły potem swoje miejsce na wystawie z okazji jubileuszu ZLP. Stanowiły dla mnie zdobycz. I upewniły o sensie przyjazdu. Niedokładnie pamiętam, o czym wtedy rozmawialiśmy, może więcej było milczenia. Albo zdawkowo o wszystkim układały się słowa. Byłem w jej pokoju około godziny. Nie zamierzałem przeprowadzać wywiadu. Teraz wiem, że szkoda, bo zapewne pisarka powiedziałaaby coś o swoim życiu i o tworzeniu, może i o lękach czy osobistym cierpieniu. I dzisiaj byłoby to cenne uzupełnienie legendy. Mówiła na pewno, że nie ma sił, musi pozostawać w łóżku, że nie interesuje jej zewnętrzny świat. Zastłonięte okna w porze południowej zdawały się potwierdzać jej słowa. Trwała w jakiejś życiowej zapaści od dawna. Może drażniło ją słoneczne światło lub raczej było coś poważniejszego. Nie drażyłem tego tematu. Pamiętam mrok i ciężki zapach w niewietrzonym pokoju. Widziałem kobietę bezradną, wycofaną, zrezygnowaną, samotną, cichą, której już nie obchodziło pisanie literatury, tworzenie bowiem odeszło, skończyło się.

Troje

Troje stało na przystanku przesiadkowym koło dworca PKP. Dwóch młodych mężczyzn i kobieta. Wystarczyło rzucić spojrzenie i usłyszeć strzępy rozmowy, zwrócić uwagę na zachowanie, miny, gesty, ubiór, tonację głosów, by wiedzieć, że są to osoby niepracujące. Zainteresowane nicnierobieniem. A miejscem ich zimowego pobytu – miejska noclegownia. Jednak pieniędzmi to jakże i owszem – zainteresowani bardzo. Pyta jeden z nich, ten wyższy, co pali papierosa: ku...wa, no i co, byłaś już w tej kasie po forszę?

Niby nic

Niby nic szczególnego. Młody człowiek, który niedaleko, po sąsiedzku, ma zakład samochodowy, codziennie w nim pracuje, ktoś bliżej mi nieznanym, bo nigdy nawet nie rozmawialiśmy ze sobą, zaledwie czasem widzujemy się, tym razem wysiadając z auta, z dość dużej odległości, pozdrowił mnie. I to jego jedno słowo pokazało życzliwą twarz. Dzisiaj niewielu potrafi tak wyjść ze swego wnętrza.

Pracownia pana Andrzeja

Pracownia to miejsce szczególnego (pięknego, lecz i trudnego) rodzaju pracy. Cechuje ją atmosfera i klimat wtajemniczenia. To jakby świątynia, w której panuje skupienie i która jest niebanalnie wyposażona w różne urządzenia i przedmioty, służące czemuś ważnemu. Nie byłem do tej pory w wielu pracowniach. Wiem, że ma w nich miejsce przemiana. Rzeczy i słowa (w pracowni np. literackiej) nabywają nowych jakości. W pracowni konserwatorskiej, bo o tym chcę napisać, powracają do życia stare zegary, meble, obrazy, witraże, poniekąd powstaje coś nowego, odnowionego jak np. dzieło sztuki. Do tej pory sporo czasu spędzałem w malarskiej pracowni pewnego malarza, ale ostatnio trafiam na krótkie pobyty i odwiedziny do pracowni pana Andrzeja, który jak się okazało, już od trzydziestego roku życia zajmuje się zagadnieniami na poły tajemniczymi w odniesieniu właśnie do dzieł sztuki. Przez jego ręce przeszły nie dziesiątki, ale raczej setki rzeczy artystycznych, które wymagały odnowicielskiej pracy. Jego opowieści o tych sprawach mogą mocno zaciekawiać. W każdym razie efekt pracy robi wrażenie, kiedy po oczyszczeniu z brudu, po zdjęciu starego, żółkniętego werniksu z płótna wiekowego obrazu, pojawia się piękny pejzaż, portret, akt, którego w tym miejscu wcześniej prawie wcale nie było widać. Znowu żywe są kolory i wyraźne szczegóły. Można wtedy doznać uczucia szczególnej radości, bowiem ocalenie piękna i jego powrót tam, gdzie być powinno i gdzie kiedyś było, staje się faktem. Pan Andrzej swoje umiejętności, którymi obecnie dysponuje, długo nabywał pod okiem mistrza. Tenże zaś wykształcenie i szlify zawodowe, konserwatorskie kiedyś dawno uzyskał w krakowskiej akademii sztuki, więc dowiedział się sporo o technologii i metodologii i o sekretach napraw szerokiego spektrum dzieł wysokiego lotu artystycznego – od fresków poczynawszy, a na meblach, rzeźbach i ramach oraz płótnach malarskich skończywszy. Duży to jest obszar zagadnień związany z każdą z tych sfer. Po latach pan Andrzej dorobił się jednak swojej pracowni, swojego miejsca i adresu, znanego wielu różnym miłośnikom, kolekcjonerom i handlarzom sztuki. W tej dziedzinie nie ma obszaru, w zakresie którego nie posiadałby on fachowej umiejętności. Tu spędza dużą część swojego życia. Nie tylko pracuje, a raczej ocala piękno, lecz i po prostu spotyka się z ludźmi. Patrzy też stąd na sprawy świata. Ludzie przychodzą ze swoimi sprawami, rozmawiają i odchodzą. Pan Andrzej gros czasu spędza samotnie, włącza codziennie radio i słucha muzyki klasycznej, która mu pomaga w pracy. Pije herbatę, uruchamia w chłodne jesienne, zimowe dni grzejnik elektryczny. Posiada dużą wiedzę o konserwacji dzieł artystycznych, ale i wie, że każde z nich jest dla niego jakimś nowym wyzwaniem. Trzeba mieć serce, miłość, cierpliwość i determinację, bo to bardzo żmudna praca. Tu spieszyć się nie można. Zastaję go najczęściej siedzącego przy dużym stole, pokrytym suknem, nad którym w świetle lampy, wiszącej nisko, pochyla się nad płótnem jakiegoś obrazu. Przez duże szkło powiększające przychodzi mu patrzeć na szczegóły dzieł artystycznych, by potem nakładać odpowiednie olejne farby, tam gdzie ich brakuje, by naprawić też rozdarcia i dziury w obrazie. A bywa

i tak, że potrzeba wyprostowywać pofałdowaną płaszczyznę gorącym żelazkiem. Chodzi zawsze o to, by naprawić np. starą, piękną ramę barokową, ludwikowską bądź secesyjną, naprawić jej zniszczone miejsca, uzupełnić złocenia, odtworzyć ornamenty, zwłaszcza efektowne narożniki, i skleić ramę, gdy tego wymaga. To są oczywiście żmudne zajęcia i potrzebują czucia ducha sztuki, by nie zrobić niczego wbrew niemu. Płótno wymaga więc najczęściej dokładnego studiowania jego stylu artystycznego, bo nie można wprowadzać czegoś obcego w jego obszar. Byłby to od razu widoczny błąd. Tak się składa, że pan Andrzej jest mistrzem w swej dziedzinie i wiele potrafi. Na półce stoją różne chemiczne odczynniki i narzędzia, o których stosowaniu trzeba mieć wiedzę. Sięga też w razie potrzeby do fachowych książek. Dzieło sztuki, które naprawia, stara się zawsze doprowadzić do jego świetności. Widać, jak na pewnym etapie swojej pracy wnika w nie, fascynuje się tematem i formą, poniekąd też jak artysta. Tak musi być, by było dobrze. Wie, że na tej drodze czyhają pułapki, więc postępuje rozważnie i ostrożnie. Nie wypada go przy pracy rozprasać ani ponaglać. To bardzo przeszkadza. Nieodpowiedni chemiczny specyfik lub ryzykanckie zachowanie potrafi doprowadzić do zniszczenia przedmiotu. A to byłaby nawet nieodwracalna, kosztowna katastrofa. Jego pracownia ma nieco alchemiczny klimat i nastrój. Gdziebym oczu nie skierował, tam są pędzle, pędzelki, jakieś ciężkie i gładkie kamienie, żelazka do prasowania obrazów, buteleczki z jakimiś miksturami, tubki z farbami, które czemuś konkretnemu służą. Płyny chemiczne do usuwania starych werniksów, terpentyny do mycia obrazów, mydło, woski, szpachle, kreda, gips do odlewania, plastelina do odciskania ornamentów, arkusze pergaminu, które tu również czemuś służą. Z każdą z tych rzeczy związane są kolejność i sekret postępowania, który pan Andrzej zna i tej wiedzy strzeże, jak każdy wtajemniczony w swoją dziedzinę fachowiec. O wielu rzeczach można dowiedzieć się z książek, ale są sprawy, których dopiero w praktycznym działaniu można się nauczyć. Tu, jak do szpitala ludzie chorzy, trafiają dzieła sztuki często po ciężkich przejściach, przygotowane w niejednym, a raczej niemal w każdym przypadku, o okaleczenia, zarysowania, schorzenia, złamania, zabrudzenie, wyniszczenie, pomarszczenie. I bagatelka, trzeba godzinami starać się, by im dać dawny blask i kształt, po prostu życie. Niekiedy pan Andrzej jawi się jak władca i wskrzesiciel. Nad każdym dziełem i przedmiotem lubi się też zadumać. Bo każda rzecz sztuki ma swój los, historię, autorską rękę, metodę pracy, styl, oddech tworzącego artysty, każda była w czymś domu, w innej epoce, w jakimś pałacu, w salonie, gdzie grała muzyka, gdzie tańczono, pito wino, rozmawiano o sprawach świata i przechodziła, przez wiele rąk, ceniona albo z biegiem czasu wręcz odwrotnie, wypierała ją nowa moda w sztuce, ulegała wypadkowi, spotykało ją zapomnienie, wzgarda, i powlekała warstwa brudu i kurzu w jakimś kącie, dopóki ktoś jej stamtąd nie wyciągnął na światło. I nagle pojawiało się w głowie doznanie zachwyty i olśnienia wyjątkowością piękną. Takie odkrycia były i są udziałem pana Andrzeja. Napatrzył się na niejedno płótno, rozpoznawał czas jego powstania, styl epoki i wartość mistrzowskiego dzieła. Jego pracownia stanowi dla tych starych rzeczy, często jedyną, ostatnią już szansę powrotu do duchowego życia, na ścianę mieszkania w bloku lub w salonie nowej willi.

Oddech, czyli zasada wszechistnienia

Oddycha ocean, oddycha-pulsuje kosmos, cała przyroda, niebo, człowiek. Bóg też nie inaczej. Jeśli nie ma lub zanika oddech, to znaczy, że skończyło się życie. Z malarstwem i z innymi dziedzinami sztuki jest tak, że absolutnie potrzebny jest w ich obrębie, w każdym przedmiocie, oddech i zaznaczenie przestrzeni. Zatlócenie form i treści temu nie sprzyja. Sztuka to nie wyliczenie rzeczy, ale nadanie im życia. Nawet w martwych naturach musi być oddech na płótnie zauważalny. Nie może malarz nie zadbać o autonomię, proporcje, osobność, relacje wzajemne, czyli całą kompozycję, która sprawia, że martwa natura coś wyraża, a nie jedynie eksponuje owe rośliny, kwiaty, przedmioty (książkę, dzban, skrzypce), nie jest składowiskiem, lecz ustala w obrazie jakiś porządek, który sankcjonuje rozdzielenie rzeczy i dysponuje wolnością istnienia. Po to właśnie, aby możliwa była kontemplacja estetyczna. Artystyczna. Trzeba to zrozumieć i według owej za-

sady postępować i na ogół intuicja podpowiada twórcom tego rodzaju postawę. Rzecz cała w ustanawianiu przestrzeni. Sens przestrzeni w krajobrazie polega na tym, że wszystkie miejsca (drzewa, ścieżki, pola) mają szansę akcentować siebie (tak), swoją obecność, i mają do zarysowanej wspólnoty na obrazie prawo, więc prawo siebie zaznaczyć, dodać siebie i wyeksponować w ten sposób też znaczenie innych uczestników. Nie dzieje się to nigdy na jednej płaszczyźnie ani tym bardziej w sfłoczeniu. Artysta musi to wszystko rozegrać, poeta również musi, graniem swojej duszy, emocji zaznaczyć niecodziennność, wielkość sprawy, o którą słowem, kolorem i kształtem, toczy podmiotowe zmaganie. Poeta i malarz, a przecież i kompozytor, ustalają przestrzeń, jej rodzaj, jej tajemnicę. Przedmioty odnajdują się i uzasadniają. Tak też w poezji znaczenia ustalają się dopiero we właściwym miejscu. Gdy takowe zostają wyrażone, to praca, tworzenie osiąga swój cel. Zadanie malarza lub poety zostaje zrealizowane. Owa zasada potwierdza się nie tylko w sztuce, ale i w życiu społecznym. Daleko od niej są te systemy, które o oddechu wolności, pozwalającej zmienności, zapominają. I zatłacza się świat jednopłaszczyznowością oraz jednorodnością, co skutkuje wegetacją. Wegetacja zaś w jakimś momencie rodzi bunt, zniszczenie, rewolucyjny sprzeciw. W jednym celu. By otworzyć horyzont rozwoju. Umożliwić oddech.

Napisała

Napisała zielonogórzanka Agnieszka, która stąd wyjechała i od dawna mieszka w Irlandii, więc czytam, że w ciszy nocy lub w ciszy dnia lubi słuchać szumu oceanu. Ocean jest niedaleko od jej domu, nieskończony, kosmiczny i trwa w nim wieczne życie. A tutaj, wszędzie, do ścian, ulic, cóż, nie dobiega żaden taki wielki głos. Słychać jedynie natarczywy stukot i łamiące się pod wichurą drzewa. Zamknięte domy, niepewne myśli. Słychać twarde kroki zbliżającej się śmierci.

Henryk

Raz po raz myślę o Henryku, który nie tylko, że chciał, by wiersze pozostałe po jego bracie Mietku zostały opublikowane w książce, to jeszcze zadbał, by jego dość obfity księgozbiór nie uległ zniszczeniu. Postarał się przewieźć go do siebie, do domu w Gelsenkirchen, gdzie od ponad trzydziestu lat mieszka. Poniekąd na obczyźnie, ale nadal żywo interesuje się sprawami lubuskimi, w tym także literackimi. Teraz już ma dużo czasu i daje upust swoim zainteresowaniom kulturalnym. Czasami mi o tym pisze, co czyta, jaki film ogląda, na jakim koncercie muzycznym był. Jakie krajobrazy przyrodnicze zwiedza. Bardzo to wszystko w Henryku cenię. Najbardziej jednak to, że w stanie wojennym postarał się wyjechać z jednego głównie powodu, by uniknąć odegrania jakiejś niegodnej człowieka, jego samego, roli. Wybrał życie mniejszej, bo prozaicznej rangi, ale ocalił swoją godność. Ta cecha charakteru Henryka ma znaczenie, oznacza szlachetność.

W

W czasie ogarniającej świat zarazy, niszczącej pandemii, gdy wskazane jest ludziom nawet niczego nie dotykać, jeśli nie chce się ryzykować życia, w takim więc zagrożeniu, w biedzie spotykającej ludzi, w nagłych nieszczęściach, zgonach, po których trudno się komuś podnieść, jeszcze chcieć wszczynać wielką na skalę Europy wojnę, to jest największe przestępstwo. Rosja potrafi.

Chodnikiem

Chodnikiem w Zawadzie, jego pobrzeżem i pośrodku, szedłem. Nie spieszyłem się, nawet nie myślałem, dokąd i po co zmierzam. Miało się ku wieczorowi. Na płytkach tu i ówdzie leżały opadłe z lip suche patyki, liście zmruszałe, pojedyncze lśniące papierki po cukierkach, piasek, gdzieś poniewierały się zgniecione aluminiowa puszka po piwie, butelka plastikowa, butelka po wódce, niedopałek papierosa. Na chodniku delikatnie lśniło, chociaż bardzo blado, światło. Żaden o cokolwiek niepokój nie zaglądał do mojej głó-

wy. Ani pandemia, ani niebezpieczeństwo wojny, ani szarpanina w polityce. Dobrze mi było tak powoli iść, coraz dalej chodnikiem.

Czarne wizje

Czarne wizje dołują. Wiem coś o tym. Człowiekowi odbierają perspektywę. Snuje o tym poważne rozważania znana mi osoba. I ma rację. Jednak nie w tym cała rzecz, że dołują, ale w tym, czy te czarne wizje mają szansę urealnić się. Jeśli tak, to nie można ich bagatelizować. Na przykład pandemia COVID-19, która błyskawicznie zakaziła cały glob. Nie wiemy, w co się znowu przekształci, w jaką zjadliwą mutację. Kolejną i kolejną. Możliwości, jak widać, ma ogromne. Czyż nie decydujące dla losu ludzkości.

W mrozie

Dzisiaj rano był mróz, stały oszronione drzewa, ptaki milczały, zaczerwienione niebo promieniowało nad horyzontem. W tym mrozie chodziłem. Czuję się lekko. Mróz był ożywczy.

Z ostatniej chwili

Otrzymałem właśnie od Haliny Grochowskiej, pisarki wywodzącej się z zielonogórskiego gniazda, kolejny, czwarty, dużej objętości tom prozy pt. *Październikowa pralnia*, poświęcony przywołaniu dawnych lat życia w naszym mieście. Tym razem autorka sięga do czasu dzieciństwa. Wciąż jest wierna klimatowi tego samego podwórka, w kręgu którego dorastała. Opisuje barwnie, wręcz dokumentalnie, szerokie spektrum spraw społecznych i codziennych, którymi żyli jego mieszkańcy. Oddaje Grochowska klimat i specyfikę tamtego pe-elowskiego czasu, co stanowi dla niej swoistą studnię tematów. Jej dokonanie zasługuje na docenienie.



jesteś

chciałbym cię poznać Jezu
tak jak poznaje się przyjaciela

tutaj jest tak cicho
gdy wyznaję tobie moją miłość

jesteś jedną chwilą
nikt nie zastąpi mi ciebie

jesteś Jezusem prostym
nie potrzeba wielu słów
wystarczy spojrzeć na krzyż

jesteś moim spokojem
w górskiej otchłani

jesteś szelestem ptasich skrzydeł
przelatujących nad nami

jesteś niezmaconą wodą
upływającą w lesie

dzięki tobie
ta chwila trwa cały czas
jest moim życiem

jesteś Bogiem ukrytym

naucz mnie twojej prawdy

znów słyszę cię z oddali
gdy jest tak cicho

każdego dnia prowadzisz mnie
do tamtego życia

przychodzisz dziś do nas
stąpając po wodzie

jesteśmy jak kwiaty
chylące się w kierunku twojego światła

jesteś światłością
lśniących kropel deszczu
na liściach leśnych drzew

ukryj się znów dla nas
w polu dojrzałych kłosów

tak nauczeni twojej miłości
rozzóżniamy dobro od zła

jesteś miłością
naucz mnie twojej prawdy

Lato 2009

Lato 2009 roku to były jednak zupełnie inne czasy. Jutro miało być tańsze i szybsze i miało być go więcej, więc odkładanie różnego rodzaju spraw na później wydawało się wtedy nie najgorszą strategią, a wisząca dziś nad nami jak burzowe chmury katastrofa ekologiczna pozostawała zagadnieniem, dla większości z nas, dosyć jeszcze odległym.

Tamtego lata postanowiłem rzucić filologię klasyczną. Czekałem na wyniki rekrutacji na socjologię, dziennikarstwo i iberystykę, a czekając, pracowałem jako chłopiec od rozpalania węgla w modnej palarni fajek wodnych. Było gorąco, moda na sziszę osiągnęła zenit, a mimo to zdarzały się chwile spokoju, podczas których oparty o bar czytałem *Czarodziejską górę* Thomasa Manna. Strasznie mi się od niej robiło sennie, a może to od zapachu słodkiej melasy i rozgrzanych murów barowego zagłębia, i miałem wrażenie, że sam znajduję się niezmiernie daleko, i że miną lata, zanim powrócę na równiny. Lata faktycznie minęły, w pewnym sensie powróciłem wreszcie, a jednocześnie wiem, że znajduję się od nich coraz dalej i dalej.

Barmanem był chłopak, który bardzo przypominał mi postać z kreskówki *Motomyszy z Marsa* – miał drobną i suchą twarz i rzadko się uśmiechał, nie wiem więc, czy miał mysie zęby. Miał natomiast dwa kolczyki w uchu, skórzaną kurtkę nabijaną ćwiekami, a do pracy przyjeżdżał na motocyklu, którego nigdy nie widziałem, choć nasłuchiwałem się o nim tak wiele. Modo – nazwijmy go tak dla wygody, a także by poćwiczyć mowę ezopową – Modo wprowadzał mnie w arkana sztuki barowej. To on nauczył mnie, jak się parzy proste espresso i że należy przechylać kufel przy nalewaniu piwa, obiecał też, że nauczy mnie robić najlepsze mojito w mieście, obietnicy swojej jednak nie dotrzymał, o co nie mam do niego żalu, bo przecież miał dobry po temu powód. Zresztą, pracowałem tam ledwie półtora miesiąca do momentu, w którym, idąc w jego ślady, zwolniła się większość naszego zespołu.

Modo wyjaśnił mi natomiast, kiedy w barze jest tabaka i że meble to stali klienci baru, którzy mieli swój własny, ulubiony w nim stolik, od którego niezmiernie rzadko wstawali, pijąc piwo trochę tylko szybciej, niż by samo wyparowało. Przeważnie milczeli, czasem kogoś u siebie przyjmowali, a czasem zawisali na barze i gawędzili z barmanem. Polerując kufle czy nabijając cybuchy lepkiem tytoniem, przysłuchiwałem się tym rozmowom, a jedna z nich szczególnie zapadła mi w pamięć. Rozmawiał Modo z Pawłem, typem wyblakłym jak leżący w trawie emaliowany garnek, o wadach i zaletach wolności słowa, o zakazanych książkach i o tym, jak je zdobyć, a w rozmowie ich wyczuwałem lekką ekscytację obracania w palcach rzeczy niebezpiecznej i zakazanej. *Mein Kampf*.

Te dwie dziewczyny zdecydowanie nimi nie były. Nie musiałem sięgać do definicji w słowniku gastronomicznego slangu, by dostrzec, że emanowały zupełnie innym niż meble światłem. We wrześniu miały iść do ostatniej klasy liceum i twierdziły przy tym, że naprawdę miały osiemnaście lat oraz że ta ich klasa była specjalnie wydłużona o rok, bo uczyły się w Cervantesie na profilu hiszpańskojęzycznym. Czy nas wkręcały? Nie wiem. Jedna z nich sprawiała wrażenie dojrzałszej, miała zaraźliwy śmiech i fiksowała się na swoich żartach, które, wielokrotnie powtarzane, z czasem stawały się coraz śmieszniejsze, a w każdym razie coraz łatwiej było się do nich uśmiechnąć, a nawet krótko parsknąć śmiechem. Ta właśnie dziewczyna bezlitośnie kokietowała Moda, na co ten reagował dosyć chłodno. Na moje oko, raczej jej to nie zniechęcało.

Nie mieliśmy z Modem zbyt wielu wspólnych tematów, a ponadto, gdy w barze nie było żywej duszy, przestawał silić się na towarzyskość i był sobą, czyli milczkiem o drobnej twarzy Motomyszy z Marsa. Kiedy jednak napiliśmy się na koszt firmy i kiedy zmorzył nas upał i unoszący się w lokalu słodki dym, rozma-

wialiśmy o książkach i o nieodwzajemnionej miłości, bo zarówno on, jak i ja, wdychaliśmy tamtego lata do dziewczyn, które przypadkowo nosić miały to samo imię. Zlewało mi się to wszystko z *Czarodziejską górą*, robiło mi się coraz sennie, i żeby pozbyć się nieprzyjemnego wrażenia, że sam sobie spoglądam przez ramię, próbowałem podtrzymać naszą rozmowę, wracając do pewnej, rozrzuśanej przez Hansa Castorpa kwestii. Modo studiował japonistykę, po pijaku wkręcał się w byle temat i, na przykładzie sobie tylko znanych powieści, rzeczywiście próbował rozstrzygnąć, czym jest literatura, jeśli nie pięknymi charakterami, nasza rozmowa nieuchronnie schodziła jednak na dziewczyny, milczenie i Murakamiego.

W tym mniej więcej czasie do baru zaczęła przychodzić grupa przyjaciół, której wkrótce sam stałem się częścią. Kiedy inni klienci szli już szukać lepszych lokali albo snu, przysiadłem się do moich kochanych hipisów, bo tak ich na swój użytek nazywałem, przysłuchiwałem się ich rozmowom i obserwowałem, co robili z czasem. Wcześniej sądziłem, że może on nas gonić albo nam uciekać, że możemy go marnować, zatracić się w nim albo mozolnie przez niego brnąć. Siedzieliśmy sobie dookoła barowego stolika z popielniczką wypełnioną po brzegi petami, zastawionego butelkami po piwie i szklankami, pudełkami papierosów, telefonami i wszystkim tym, co czyniło z baru pokój nasz dzienny, i widziałem wyraźnie, jak czas kładł się tłustym dymem pomiędzy wszystkimi tymi przedmiotami, jak do nich przywierał, jak wreszcie stawał się nimi. Latem 2009 roku czas nas nie gonił, ani nam nie uciekał. Na przekór wszystkiemu, co na jego temat wiedziałem, przestawał się liczyć, krystalizował się w przestrzeń.

Wiem, że to trochę nie w porządku wspominać o czymś tak istotnym dopiero w połowie opowieści, ale niewiele w niej będzie się działo. Bo co miałyby się dziać? Mieliliśmy lat bardziej dwadzieścia niż trzydzieści, szukaliśmy swojego miejsca na studiach, w pierwszych pracach, szukaliśmy swojej miłości. Kilka osób wyszło z szafy, o czym przekonałem się pewnej nocy, gdy – idąc przez miasto w trampkach z bazaru, których podeszwy po jednym dniu noszenia pękły mi wpół – zawędrowałem wraz z przyjaciółmi do klubu *hetero friendly*. Przeciągaliśmy nasze spotkania, pożyczając kolejne godziny czuwania od dnia następnego. Może było nam dobrze, a może próbowaliśmy odsunąć odrobinę nadejście wielkiej przyszłości, do zmierzenia się z którą tak bardzo brakowało nam pewności siebie. Tak mało wiedzieliśmy też, czego właściwie moglibyśmy od niej chcieć. Przesiadaliśmy na balkonach wynajętych mieszkań i na brzegu Wisły albo Jeziorka Goławskiego, z wielkim zaangażowaniem rozmawialiśmy o niczym ważnym, chyba, a Czapla wraz z Dziobakiem nie przestawali robić nam zdjęć.

*

Byłem tego dnia umówiony z Modem na lekcję robienia drinków, kiedy jednak przyszedłem do pracy, zastałem go leżącego na wznak na kratkach piwa na zapleczu. Miał otwarte oczy, myślami był jednak gdzie indziej. Zapytałem, czy czegoś mu nie trzeba, ale nie doczekałem się odpowiedzi, zostawiłem go więc w spokoju i poszedłem nalewać piwo. Już wtedy przeczuwałem, że nie dane mi będzie opanowanie arcytrudnej sztuki sporządzania Modo-mojito.

Kiedy koło południa przyszedł szef, niski koks o łagodnej twarzy, na którego wszyscy wołali Love, Modo siedział już po turecku w najwygodniejszym boksie ze swoją prywatną sziszą i puszczał kółka z dymu.

– Czemu Borsuk stoi za barem?

– Miałem dostać podwyżkę – powiedział Modo spokojnie, jakby miał już na widoku lepszą robotę. – Biłeś się? – rzucił, grzebiąc szczypcami w rozżarzonej węglu, a Love faktycznie miał limo pod okiem.

– Za miesiąc.

– Za miesiąc, to nie będziesz miał komu wypłacać, bo ja i Armand trzymamy się tego, co powiedzieliśmy. To z nim się pewnie znowu spiąłeś? – Po sposobie, w jaki zaintonował pytanie, domyśliłem się, że znał już odpowiedź.

– Powiedziałem, za miesiąc – powtórzył Love beznamiętnie, po czym odwrócił się na pięcie i wyszedł.

– Odchodzę! – krzyknął za oddalającym się szefem Modo, ale wyszło nie najlepiej, bo w tej samej chwili przeszkłone drzwi uderzyły z trzaskiem o metalową framugę.

Odszedł, a wraz z nim drugi barman, Armand, który faktycznie uderzył szefa, a w ich ślady poszło trzech naszych kelnerów. Przez kilka dni o niczym innym się nie mówiło, a Modo i Armand urosli w naszych oczach do rangi bohaterów, bo po tym wszystkim Love nie przypieprzał się do nas tak często, jak wcześniej, a ostatnia barmanka, Ukrainka, z którą nigdy nie pracowałem na jednej zmianie, dostała w końcu tę podwyżkę.

Modo wpakował swoją prywatną fajkę wodną do sakwy motoru i odjechał w dal. Tak przynajmniej mówił Wyblakły Garnek Paweł, który był ze wszystkim na bieżąco. Opowiedział mi też, jak dzień przed rozmową z szefem Modo zebrał się wreszcie na odwagę i wyznał miłość jednej z tych licealistek, tej od dobrych suchych żartów, i jak obie wybuchnęły na to gromkim śmiechem. A więc nawet w tych rzadkich chwilach porozumienia nie byliśmy z Modem całkiem ze sobą szczerzy. Ja sam popracowałem w barze jeszcze tydzień, bo skrycie liczyłem, że zostanę barmanem, ale Love powiedział mi, że to odpowiedzialna praca, i że znajdą kogoś z doświadczeniem.

– Trzeba czekać, Janusz. – Klepnął mnie po ramieniu, jak zwykle myśląc mnie z tym drugim chłopakiem od węgla.

Ostatniego dnia pracy bar i ogródek pękały w szwach. Oprócz Love'a na barze i mnie na sali, nie było nikogo do pomocy, biegałem więc w tę i we w tę jak szalony. Kiedy zamykaliśmy, głowa bolała mnie od rozpalania węgla, bo wtedy nie było jeszcze tych śmiesznych elektrycznych mieszkań i trzeba było głęboko zaciągać się fajką, aż melasa złapie żar, a portfel w mojej kieszeni i wszystko, co w nim miałem, były mokre od potu. Zebrałem natomiast rekordową ilość napiwków, więc zamiast iść do domu, wypaść się i zastanowić porządnie nad wyborem kierunku, a następnego dnia miał termin składania papierów na studia, poszedłem z kumplem i jego znajomymi na piwo. Mimo to – mimo zmęczenia i kaca tak silnego, że idąc w ostrym świetle dnia na uniwersytet, musiałem położyć się na ławce w parku Saskim – doznałem olśnienia. Nigdy wcześniej, ani nigdy później nie zobaczyłem z taką klarownością drogi, którą miałem dalej podążać.

Od niedawna pracuję jednak w jednym open space'ie z ludźmi po dziennikarstwie i iberystyce, podejrzewam więc, że wybór mój nie był aż tak płodny w konsekwencje, jak mi się wtedy mogło wydawać.

*

Do dziś nie wiem, co miały znaczyć słowa Hansa Castorpa o pięknych charakterach. Czy literatura to pochwytanie czasu, jedyne w swoim rodzaju, miłosne opisywanie przestrzeni, czy jest może literatura ćwiczeniem oglądania rzeczy z dystansu? Czym było lato 2009 roku, nie wiedziałem wtedy ani rok później. Nie wiedziałbym też po upływie lat jedenastu, gdyby nie nastąpiło innego jeszcze rodzaju przesunięcie, bo przecież nic się wtedy nie działo – było ciepło, piło się piwko, żyło się z ludźmi i trzeba było podejmować zwykłe dwudziestoletnie decyzje. A jednak to nic podszyte było czymś, co widać dopiero z perspektywy czasu, który jest coraz bardziej Wszystko-Co-Inne Free. Coś tu się poważnie odkleiło i nagle całe to zwyczajne i przasne staje się jednorozcem, swojego rodzaju ostatnim zajazdem na Litwie. Staje się czymś.

Myślę to wszystko, udając, że wypełniam pracowicie tabelkę w Excelu, tak naprawdę jednak przeklikuję się przez serię zdjęć na ekranie mojego komputera w pracy. Siedzimy na kocu nad Jeziorkiem Goćławskim. Czapa zaczesuje dłonią białą grzywę na bok, to ona jest magnesem na ludzi i spaja tę grupę. Dziobak patroluje smutno i poważnie spode łba, a może po prostu robi zdjęcie jednym z tych swoich turbo-profesjonalnych aparatów. Kotka zaślania twarz łapą i śmieje się, a po jej długich czarnych włosach pnie się papierosowy dym. Pomimo całej mojej sympatii, większości nie wspomnę nawet ze zwierzęcia. Tak naprawdę to nie wiem co u nich. Kto z niechęcią pracuje w korpo, kto nie skończył doktoratu, kto jest królem gastro, kto się z kim rozstał, a kto ruszył w podróż dookoła świata. Za wcześniej jest zresztą na podsumowanie. Jeśli mizantropia i niechęć do mediów spofecznościowych mają w ogóle jakieś zalety, jeśli się na coś przydadają, to właśnie na to. Na otwarte zakończenia.

Warszawa, 14 sierpnia 2020

Szawle, Szawle

Szawle, Szawle, dlaczego mnie prześladujesz? –
usłyszał pewien ślepiec
w drodze do Damaszku,
który od prawie dwóch tysięcy lat
błąka się po pustynnych manowcach
i spokoju nie zazna – ni wzroku –
nim nie zrozumie,
nim skruchy nie odczuje,
nim o pomoc nie poprosi.

Szawle, Szawle, dlaczego nie prześladujesz? –
słyszemy niemal dnia każdego
od pewnego stolarskiego syna,
rybaka-amatora,
który chce wiele, a nie chce tylko jednego:
by zagłuszać Jego słowa.

Szawle, Szawle...
bez wzroku nigdy do Damaszku nie dojdiesz,
a i słuch powoli tracisz
od tego zagłuszania,
od tego niezrozumienia,
od tej niechęci do skruchy.

A pustynia palestyńska
wszystko przyjmie –
i nasz wzrok utracony
i rozum odzyskany
i serce na zawsze rozdarte.

A co przyjmie, to zakopie,
byśmy zawszeli mieli gdzie powracać –
do tych manowców pustynnych,
do tych świętych napomnień,
do tej pięknej ślepoty.

Łotry

Ewangeliści chyba racji
nie mieli
i tych łotrów przy Jezusie
było więcej niż dwóch.

Co prawda nie widziałem
tej sceny,
ale oni też nie –
z wyjątkiem Jana
rzecz jasna
ale wzruszenie
mogło mu oczy omamić.

Oprócz tego, co szemrał
i tego co się korzył,
musiał być też ten, co milczał.
I dlatego go pewnie Jan nie zauważył,
bo nie dość, że milczał,
to jeszcze oddychał najciszej.

Sprawiedliwie wszak swą karę ponosił –
za milczenie, gdy wokół świat płonął,
za ciszę, gdy trzeba było rwać się do walki,
za spokój, gdy we wnętrzu gorzał
i za to, że oczy zamykał,
gdy cuda oglądał.

Ale czy poszedł do raju
jak dwaj pozostali?

Ziemia świętsza

Zamieszkałeś
wśród pożółkłej trawy,
co swą popękaną wargą
modli się o krople deszczu –
lecz nie dla siebie,
a dla umierającej pod jej stopą gołębiczy.

Zamieszkałeś
pomiędzy trzepotem pustynnego ptaka,
a wiatrem tak suchym,
że aż nie mającym w sobie
nawet krzty życia.

Zamieszkałeś
w ziarenkach piasku tak gorącym,
że aż topią rzemyki od sandałów –
a Ty jeszcze karzesz nam
do swojego domu
boso wchodzić...

Zamieszkałeś
tam, gdzie nie ma okien
i gdzie nawet nie ma w co zapukać,
żeby wiedzieć, czy otworzysz.

Zamieszkałeś,
byśmy nie wiedzieli właśnie,
czy otworzysz.

Trywialny bezwstyd nieprzeciętności

Na sznur bym się chyba
nie odważył,
choć dawali mi ten
od śmierci Anny Kareniny –
mówili, że autentyk –
ale to nie w braku odwagi chyba,
bo i westernów oglądałem trochę,
i przystanek raz na gapę przejechałem,
i się ożeniłem.
Raz co prawda,
ale z taką,
jakby to ze cztery razy.

Dziwna sprawa z tą odwagą –
żeby żonę od suk i dziwek wyzwąć,
żeby się podniecić bardziej,
to odwagę mam,
a z tym sznurem
to mi jakoś nie po drodze.

Nie po drodze i po drodze,
bo to jednak ciągle o nim myślę.
A to chyba o to chodzi,
żeby kusił.

Dziwna sprawa z tymi sznurami.
Bo nigdy ich nie ma,
gdy się żonę chce do łóżka związać,
a zawsze są,
gdy się pomyśli tylko
jakie to życie beznadziejne.

A życie beznadziejne –
prawda –
bystrzakiem być nie trzeba,
by to odkryć.
Ale tyle żon jeszcze do związania,
tyle do wyzwania dziewczyn,
a język polski taki bogaty,
że aż żal...

złoty mężczyzna

Do popołudnia czytałam teksty zawierające motyw studni. Na pewno jednak każą pisać o martyrologii albo o wyszku chłopstwa. Marzyłam, aby temat był o narcyzmie mistyków. Słoneczny blask już pierzchał za niewidzialną górę. W tej chwili usłyszałam głuchy łoskot, jakby ktoś zatrzaszczył skrzynię, stało się ciemno. Wypełzałam na łąkę. W rowie melioracyjnym nagusieńka płasałam pośród jaskrów, aldrowand pęcherzykowatych, jeżogłówek (*Sparganium emersum*) i marun. Uniosłam ręce, zadarłam głowę. Komety lawirowały między księżycami. Heavymetalowy riff piosenki *Valhalla Reborn* zespołu Wulfgar wabił pioruny. Zaraz zbiegły się zza wzgórz, biły we mnie, łaskotały płonącymi węzami.

Podpłynęłaś łodzią, wiosła postukiwały o pomost i ten drewniany akompaniament trwał do zuchwałego świtu. Może to się nie zdarzyło? Może fałszywą pamięć ktoś wsunął w mój umysł jak chwasty między dalie...

Złote trzciny osaczyły nas, połyskując jak bagnety. Mgła w kotlinie wyglądała jak ogon drapieznika. Obyspałaś się złotym pyłem z trzcin. A kiedy już caluśki byłeś złoty, rozszołałaś się:

– Wszystkiego miałem malutko, maleńki dom, malutkie auto, maciupki ogród, tyciutką nadzieję, mikre szanse. Jedyne pustka we mnie zwiększała się z każdym rokiem.

Usiadłam na najkrótszej wskazówce. Żmijowate sekundy skapywały z cyferblatu. Wtem zachichotałaś, sypiąc złoty piach na moje stopy.

– Wszystko będę miał wielkie. Przeogromny dom. Gigantyczny ogród. Moje ciężarówki nie zmieszczą się w hangarze.

Z łódki przyniosłaś naręcze banknotów, rozpalisz ognisko, dorzucasz zwitki dolarów do ognia, grzasz wychudzone nogi. Nagle wyszeptasz:

– Nie śpię od wielu tygodni. Gdy przymknę oczy, zaraz pojawia się balladowy widok. Mam stopy przyklejone do powały. Spod sufitu widzisz siebie leżącego na polepie. Ze szpar wytażą świerszcze i przez aortę w karku rozpełzają się po moim ciele.

Dlaczego nie wyłączam zmysłu słuchu? Złoty mężczyzna zamula mi mózg wulgarną obsesją. Niemożliwe, ażeby jedynie swym strachem przykuł mnie do siebie.

– O czym myślisz? Na pewno knujesz coś... – burknęłaś.

– Nie porzucę cię. Nie kierują mną ani litość, ani ciekawość – mówiłam, nie patrząc na niego, a obserwując niemrawe księżyce pośród rozhasanych komet. Kiedyś będę jedną z nich.

Czy można pamiętać to, czego się nie przeżyło... Po krótkim śnie emeryci szli do pracy. W celu pogłódowym nauczycielki pędziły ósmoklasistów do kamieniołomów. Rowokopy ostrzyły motyki. Nadciągał dzień patriotyzmu. Sterane starowinki mały stodoły, weterani przywiązywali się do pawężu. Przy strumyku recytarki klepały wersy romantycznych ód. Wojsko wyskakiwało z wozów drabiniastych.

Łyknęłaś wody, dorzucasz studolarówki do ogniska. Dym jak poskręcane druty. Kpiąco mówisz:

– Procesor habilitowany zrobił kobietę o świetlistej urodzie. Wiedziała, że narkotyzuje swym pięknem, lecz nie uświadamiła sobie, iż odstręcza słowami użytymi w dobrej wierze. Do wielbicieli wołała: „Nienawidzę cię, jesteś brzydki, durniu, spadaj...”. Procesor chichrał, ale się wydało, że nauczył kobietę słów przeciwnych do ich sensu. Dla niej słowo „nienawidzić” znaczyło... „miłość”. Procesor stracił zainteresowanie dla

zabawki. Schował ją do paki, z której niekiedy słyhać krzyk: „Ależ jasno! Jasno! Nie wypuszczajcie mnie...”. Teraz wiem, że tą kobietą jesteś ty.

Kotlinę kolonizował wiatr zewsząd.

– Zanuć mnie – wychrypiałam ci do ucha.

– Nie zanuć – wzdrygnąłeś się. – Nie masz melodii.

– Dobrali mi się do nut. Pamiętasz? Niegdyś słuchaliśmy się wplątani w biel czereśni...

Strapiłeś się, przypomniawszy sobie zaledwie to, że bardzo mnie lubiłeś i że ukrywałeś się w moim refrenie.

– Nie gryź się – usiłowałam się zanucić, ale nazbyt fałszywie.

Machnąłeś ręką, podszedłeś do łodzi. Przyłożyłam skroń do lepkiej deski pomostu. Mrówka niosła nasionko czosnku niedźwiedziego. Kiełkował majownik dwulistny. Chroszcz (*Teesdalea nudicaulis*) pielgrzymował ku bałamutnej chmurze. Kanciaste tobołki polne kornie powierzały się niewidocznej władzy przeznaczenia.

Niczego im nie zaoferuję. Do nikogo nie przystanę – w myślach usprawiedliwiałam się przed złotym mężczyzną. Nie oni kształtują, ale ja się lepę, także będę gibka i jasna na ścieżce, która prowadzi donikąd. Matura dopasowywała do państwowych struktur, ale nie była funkcjonalna. Nie dopuszczano do niej melancholii, zdumienia i fascynacji szczywołem. Minister ogłosił, że zreformuje egzaminacyjny rytuał, miał poważny atut, można otrzymać świadectwo, nie znając nazwisk wieszczów, nie rozumiejąc słów „sufizm” czy np. „deklinacja”. Zdanie egzaminu dojrzałości zależeć powinno od mięśni, nie od IQ, dlatego budowano nową kotlinę pełną wilczych dołków, zapadniętych klamek, matni, ślepych korytarzy, stopni donikąd, kolczastych pochylni. Błędných kół. Płonących mostów.

Czułam się, jakby mnie wyjęto z zamrażarki i przystawiono pyszczkiem do rozgrzanej blachy. Złoty mężczyzno, odpływałeś w ciszę pełną przeźroczystości.



tylko nie zakopuj studni

Na pagórkach ślubne czereśnie gaworzą z nagimi modrzewiami. Blask wsiąka w kępę jabłoni dziczejącego sadu. Wiatr gorliwie wypłasza kota ze strzechy. Zbędne sanie szczerzą płozy. Mgły pełzną pośród kęp nadrzecznych olch. Nad studnią omszały daszek z deszczutek, pod nim na wysłizganym, próchniejącym, jodłowym wale wiadro zwisające z zardzewiałego łańcucha.

– Uff, zdążyłam, uff, uff, a myślałam, że za późno, że to i tamto, i wszystko na nic! Nie zakopuj studni. Odłóż szpadel. Nie zakopuj, odłóż szpadel, nie zakopuj studni. Postarzeliliśmy się, a przecież to tu za cembrowną... Nie zakopuj studni.

– Kpisz? Kim ty? Znasz mnie? Dlaczego tak obcesowo?

– Nie pamiętasz?

– Studnia wyschła.

– Jak ja, a kiedyś inaczej, bulgotało tu, o, tu, sam wiesz, we mnie, chlupotało..

– Nie pamiętam cię. Czego chcesz? Niczego ci nie dam!

– Zakopujesz studnię. Głuptasku, tylko w tym jednym celu tu przysłałam aż stamtąd, zza góry, której nie widać, bo w dole. Nie zakopuj studni!

– Ciekawe rzeczy bajdurzysz, ale...

Niecierpliwie strzepnął pot z nosa, rękawem przetarł czoło, odłożył szpadel, odwrócił taczkę, usiadł, z glinianego kubka popijał kompot. Podała mu skibkę posmarowaną miodem, patrzyła z tkliwością.

– Nie pamiętasz..., mamy troje dzieci. Wykarczowałeś las, postawiłeś chałupę na podmurówce, w izbie piec kaflowy, kupiłeś motor jawę... Miałeś pasiekę, osiem złocistych uli. Klepałeś kosę. Upiekłam kołacz i przekładaniec...

Słońce zamyka dzień na czerwony klucz. Sołtys jedzie na rowerze, dzwonkiem straszy kury. Chłopcy rwą listki agrestu, wołają do dziewczyny w białej sukience z bufiastymi rękawami: „Zielone!”. Bułanek ciągnie wóz z gnojem. Furman siedzi okrakiem na parującym oborniku.

– Czego chcesz? Nie znam cię.

– Pod kolanem masz okrągłą bliznę, niechąco widłami dziabnął cię stryjek, gdy jako dziecko pętałeś się koło półkopka... Nikomu o tym nie mówiłeś, tylko mnie, więc sobie dobrze zważ. Nie domyśliłeś się, że niczego nie musiałeś obiecywać po próznicy. Sama czyhałam na ciebie, gdy szedłeś po wodę. Niczego od ciebie nie chcę. Mamy troje dzieci, ale tam. Tu żyj sobie po swojemu, nic mi do tego. O jedno mi..., nie zakopuj studni...

Nie podzielał jej entuzjazmu. A, ch...j to! Wstał, wylał resztkę kompotu, z gniewem złapał szpadel, wbił w jałową ziemię.

– Nie jawa, a junak. Niczego ode mnie nie wydusisz! Ciekawe rzeczy mówisz o swoich dzieciach, ale... jaki to ma związek ze mną? Ze studnią?

– Po co ci wiedzieć!

– W chałupach mamy bieżącą wodę. Gdy tylko sołtys powiedział, że i u nas powinien być wodociąg jak w ościennych wsiach, zaraz wyschła tego samego dnia.

– Nie zakopuj studni. Na mnie czas. Daj mi jeszcze wody, ugaś, to ci się udawało, gdy rozchylałam nogi.

– Ha, wyschnięta studnia teraz pełna wody! Sama sobie weź!

– Gdy już zmajstrowałeś mi dzieci, jak chciałam, i gdy powiedziałeś, że się ze mną nie ożenisz, żebym sobie poszła stąd, też nie chciałeś dać łyka wody. Napiję się. Tak samo słodkogorzka, jak wówczas. To hej, bo nie zdążę wrócić...

Twarze

Pożyczam od innych twarze,
Jestem mistrzynią udawania
W teatrze życia,
Które nie chce być moim.

Jestem w kolorze szyby,
Wstydzę się tego grania.
Jak zrzucić wygodne maski
I przestać być tylko na niby?

listopad 2021

* * *

Zgubiła mi się radość
pewnego razu, zwyczajnie w ciągu dnia.
Pośród niezgody na codzienność,
w poszukiwaniu lepszego „ja”.
Uciekam od smutku, co tkwi
pośród własnych rozczarowań,
w gąszczu cudzych niedoli,
Rozdając siebie po trochę,
Niepostrzeżenie,
jak przymrozek, co przychodzi
skoro świt
i odsłania pustkę, która boli.

październik 2021

Hiacynta i Maja

Rozmawiamy tak mało o Tobie,
Choć serca nabrzmiałe od słów
Nosimy każde z osobna.

Posadziliśmy kremową różę
Jakoś na jesieni
Czasem zaglądamy, jak rośnie
Nim opadły liście, zrobiło się zimno
I zbrązował świat

Nawet imię każde dało Ci swoje
Wciąż prawie nie mówiąc o Tobie
Wróciliśmy na wiosnę, patrząc chciwie –
– czy się zazieleni

Jakbyś była różą...
Każdy pączek karmi nas nadzieją,
Więc dbamy o ten kwiat przy pustym grobie.

kwiecień 2021

* * *

Widzę, jak odchodzisz, choć Ty nie (jeszcze)
Każdego dnia śmierć żąda szybszej spłaty.
Z lękiem idę za Tobą
i przeląkam skrycie łzy,
patrząc na zmęczone bólem ciało –
– w szpitalnej toalecie.
Uparcie próbuję oswoić przyszłą stratę,
łudząc się, że zmniejszę nadchodzący ból.
Coraz mniej Ciebie, mamo!
Uśmiechasz się, chcąc oszczędzić mi poznania –
– jak może boleć życie.
Ale ja widzę tak samo!
Dać Ci choć jeden uśmiech więcej,
Jeden promień nadziei,
albo wzruszenie serca.
Czy jeszcze zdążę?
Czy to wystarczy, mamo?

kwiecień 2021

Nieznana historia potraw

Bigos

Bogos, bo taka jest historyczna nazwa bigosu, jak sama nazwa wskazuje, jest potrawą bogów. Wymyślono go około V wieku p.n.e. w starożytnym Rzymie. Początkowo wytwarzany był z mięsa jaszczurek sycylijskich (*Podarcis siculus*) z dodatkiem suszonych śliwek (*Prunus domestica suszonus*), owocu granatu (*Punica granatum*) oraz kapusty włoskiej (*Brassica oleracea*), zbieranych o północy na siedmiu wzgórzach rzymskich, na których powstało miasto.

Transportowano go ręcznie w kadziach z tekowego drewna, które dla zachowania najwyższego stopnia sterylności wykorzystywano tylko raz. Po wyładowaniu zawartości i umyciu pojemników w wodzie oligoceńskiej, z kadzi wytwarzano meble. Wysoki koszt transportu, pełne magazyny niesprzedanych wyrobów stolarskich (nie kupowano ich, gdyż, jak mówiono, „zajeżdżały bogosem”) – wszystko to wielokrotnie przewyższało wartość samego produktu.

Rzymianie wpadli wtedy na pomysł stworzenia bogos-duktów, którymi sprowadzano ten cenny produkt w doliny. W zasadzie sprowadzał się on sam, gdyż pomysł sprowadzał się do tego, że na górze, do wykonanej z drewna tekowego rynny, wlewano bogos płynny, pod wpływem siły ciężenia (prawo ciężenia Ziemi na bogos sformułował jako pierwszy Diogenes), spływał on w dół i po odparowaniu nadawał się do bezpośredniego spożycia.

Ten epokowy wynalazek wpłynął na obniżenie kosztów, a tym samym na spopularyzowanie dania. Odtąd z upodobaniem żywił się nim cały lud rzymski, a z czasem cała postępowa ludzkość. Bogos-duktu używane były do czasu, gdy Tales z Miletu zatruł się przeterminowanym daniem wyprodukowanym ze świeżych śliwek. Kucharzowi, który zamienił śliwki suszone na świeże, odebrano licencję i wtrącono do lochu na osiemdziesiąt pięć lat. Po tym wydarzeniu zakończono sprowadzanie bogosu z gór, umyto rynny wodą, co okazało się kolejnym doskonałym pomysłem. Linie transportowe nazwano wtedy „akweduktami” i odtąd przesyłano nimi wyłącznie wodę, której, jak donoszą źródła historyczne, rzymianie mieli więcej w górnej, niż w dolnej części miasta.

Wkrótce mieszkańcy miasta zapomnieli o bogosie, przerzucając się na nowinki w postaci jajecznic, placzków ziemniaczanych i hot-dogów. Bogos, w zmienionej nieco postaci, już jako bigos, nadal jest bardzo popularny wśród ludów pierwotnych, głównie w Europie środkowo-wschodniej. Poza oczywistym przeznaczeniem kulinarnym, używany jest przez wojsko do czyszczenia luf armatnich oraz, po dodaniu do niego betonu w proporcji 50:50, do utwardzania dróg.

Kartofel

W XVIII wieku ptakom, szczególnie wróblom zwyczajnym (*Passer domesticus*) zamieszkującym Europę i Azję, żyło się ciężko. Na dworach szlacheckich poważaniem cieszyło się jedynie ptactwo ozdobne w postaci papug, bażantów i marabutów, czasem kaczek, kur i kogutów. Wróbel postrzegany był jako szkodnik, nie zapraszano go więc na podwieczorki czy kolacje, o obiadach, choćby tylko czwartkowych, nie wspominając. Zmuszony do poszukiwania pożywienia na własną łapkę żywił się okruciami z pańskiego stołu.

Przełom nastąpił, gdy młody wróbel Elementariusz, zwany Wróbelkiem Elemelkiem, samotnie żyjący w pewnej ubogiej wsi na wschodnich rubieżach Polski, znalazł w polu ziemniak. Była to niewielkich rozmiarów bulwa, doskonale nadająca się do bezpośredniego spożycia. Jak mówią odnalezione niedawno kroniki, wróbelek chwycił kartofelek i w celu jego konsumpcji udał się w głębokie knieje, gdzie w szafasie ukrytym

przed wzrokiem ekonomy – nadzorcy miejscowi rzemieślnicy pracowali nad wytworzeniem z żyta pewnego specyfiku leczniczego. Wróbelk Elemelek odurzony wonią lasu otworzył dziób i upuścił zdobycz, która wpadła wprost do kadzi pełnej bulgoczącego słoju jęczmiennego.

Przypadkowe odkrycie kartofelka przez wróbelka rozpoczęło triumfalny pochód ziemniaka z pola na stoły. Zapoczątkowało też produkcję kartoflanki – pożywnego zacieru z ziemniaków, który przetworzony i uszlachetniony ma do dziś szerokie zastosowanie w całej gospodarce. To wtedy powstało popularne powiedzenie: „Lepszy wróbel w garści niż kanarek na dachu”.

Wielu znakomitych artystów poświęciło talent, by opiewać zalety *Domesticusa*. W 1947 roku Konstanty Ildefons Gałczyński apelował: „Więc wołam: Czyż nikt nie pamięta, że wróbelk jest druh nasz szczerzy?! [...] Kochajcie wróbelka, dziewczęta, kochajcie do jasnej cholery!”. Nakręcony w USA w 1973 roku film *Strach na wróble* opowiada w zawoalowany sposób tę historię. Stracha gra Gene Hackman, wróbla – Al Pacino. Niechlubnym wyjątkiem wśród artystów jest jedynie niejaka Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, która w jednym ze swoich tzw. wierszy w niewybredny sposób obraża naszego bohatera, pisząc: „Ptaszek idiota, głupszy niż się zdaje, [...] toczy głośne swary z innym znów kretynek, po czym śpiewa, śpiewa, głupstwa nie do wiary”.

Kraje Zachodu, głównie Stany Zjednoczone, zazdrościły Polsce sukcesów na polu (*nomen omen*) ziemniaka, dlatego podstępnie zrzucały na nasze uprawy stonkę, co jednak nie złamało narodowego ducha walki. Po wielu latach trudnych przysły sukcesy. Dziś na całym świecie szcycimy się należnym szacunkiem i poważaniem, dawni wrogowie są przyjaciółmi, przywódcy narodu zapraszani są na obiady i podwieczorki, gdzie spożywają wykwintne potrawy z kartofli i inne owoce. Nierzadko – morza. W uznaniu ogromnego wkładu Polski w popularyzację ziemniaka najbliżsi sąsiedzi nazywają nas czasem pieszczotliwie „kartofelkami”.

Ziemniak vel Kartofel zdobył więc serca i umysły ludu polskiego. We wsi Biesiekierz znajduje się odsłonięty w 1983 roku Pomnik Ziemniaka. Przetwory z ziemniaka tak stałe, jak i płynne są niezwykle popularne również w innych krajach, głównie na wschód od Bugu.

Poza oczywistym przeznaczeniem kulinarnym służą w medycynie ludowej do znieczuleń, a w profesjonalnej do odkażania narzędzi chirurgicznych. W laboratoriach wojskowych trwają obecnie zaawansowane prace nad zastosowaniem wyciągu z kartofli jako paliwa do łodzi podwodnych, helikopterów i dronów.

Makaron

Makaron pojawił się w starożytnych Chinach jeszcze przed wynalezieniem pisma. To właśnie splecione nitki tego przysmaku stały się zaczątkiem stosowanych do dziś skomplikowanych znaków pisma chińskiego. Pierwsze zdanie napisane alfabetem makaraońskim brzmiało: „dawaj mi tu szybko następną miskę makaronu, kobieto, albo poznasz ostrze mojego miecza”.

Chińczycy bardzo dbali, aby nikt nie wykraść im tajemnicy produkcji makaronu, dlatego karmili nim jedwabniki, które produkowały przędzę służącą do wyrobu jedwabiu. Kiedy szaty jedwabne nie nadawały się już do noszenia, ponownie przerabiano je na makaron, a ten podawano władcom, dzięki czemu byli mądrzy i nieustraszeni. Tylko oni mieli prawo spożywania cesarskiego dania.

Praktyka ta dotrwała do czasów Przewodniczącego Mao, o którym wiadomo, że był zapalonym miłośnikiem makaronu i jadał go na pięć posiłków, przez siedem dni w tygodniu. Już wtedy makaron podawany był w pięciu smakach, co przetrwało do dziś, znane głównie jako „zupa w pięciu smakach”. Mao, nie zdradzając nikomu tajemnic wytwarzania Mak-Ar-Onu (oryginalna nazwa starochińska), doprowadził, jak wiadomo, do kłęski wielkiego głodu. Ciekawostką jest też fakt, że pierwszy człowiek, który stanął na Księżycu, po powrocie opowiadał, że w kosmosie najbardziej brakowało mu McAronu (oryginalna nazwa amerykańska).

Makaron dostępny są dziś w wielu sklepach, nie tylko spożywczych. Poza oczywistym przeznaczeniem kulinarnym, służą do uszczelniania okien, jako wypełnienie wojskowych materaców w jednostkach, a artyści ludowi na Podlasiu wykorzystują nitki makaronowe do wyszywania makatek kuchennych, takich jak: „Dobra żona tym się chlubi, że gotuje, co mąż lubi”.

* * *

Rozmawiam już nie w dzieciństwie
Ze ścianą z drzewami z butami które się zużyły
Nie udało im się dojść do celu choć było blisko
Patrzę na obrus wyszywany ręcznie wiele wieczorów
Jakby ten rodzinny co zaginął wrócił na swoje miejsce
I mogę sobie wyobrazić stół oraz skupionych wokoło
Matkę ojca braci przy domowej kolacji jeszcze nie umarłej

W dzieciństwie naiwnie i natarczywie zagadywałem
Do wszystkiego co się zjawiało w kształcie i barwie
Nie potrzebowałem wiedzieć i nawet nie czekałem
Na odpowiedź choć zadawałem cały dzień pytania
Milczenie nie przeszkadzało mi pisać baśni na piasku
Teraz myślę o tym że przychodzi nie wiadomo co
W niczym niepodobne do tamtych tonacji

* * *

Bez pośpiechu jest
Myślom stopom dłoniom
Lata przydały im
Wykształcenia życia

Czy niewypowiedziana mądrość
Musi tak dużo kosztować
Z ran się składać cała droga
Która daje ocalenie

* * *

Zaledwie na krawędzi
Nie mieszka się w wierszu
Chodzi jednak o co innego i mnie
Więcej na wygnaniu siebie
Gdzie wszystko zawodzi

Do milczenia jak do domu
Do głuchych kamieni
Poeta idzie z prośbą
Po jeden okruc mowy
Pozwalającej odgadywać

* * *

Mignął świt podobny do liścia nad łąkami
Zaśpiewał ptak szła gwiazda
(Jeszcze niejeden raz świeciła)
Jechał pociąg po żelaznych szynach
Woda zamarzała w stawie śnieg zalegał na drogach
Byłem głodny widocznie nie dało się inaczej
Siedziałem w trawie z mleciami

Jak to było jedno z drugim
Krowa patrzyła pies słuchał
Kwitnące kłosa miały swój zapach
Deszcz padał ale nie lodowaty jak dzisiaj
Ręka i stalówka nauczyła się składać litery
Pamiętam lecz nie przypominę tych ważności
Otwieram powoli kolejne nieznane drzwi

* * *

Chłopcu wystarczało proste istnienie
Wszystko miał na znak dany ręką
I nie wystarcza jego skład
Czy już nie znaczy co znaczyło kiedyś
Że lepiej gdy każdy cały dzień
Jest gubiony pośród niedopowiedzeń
I nie za dużo sens rozważać

Było chłopcu daleko zaprzętać się myślami
Do krain wysokich nazw i błędów
Lecz wreszcie dotarł i zobaczył zawikłanie
Liczne zdobycze ziemi wytrwałej które okazały się bezradne
Jest blisko i bliżej
Już zwraca się
Do nieistnienia

* * *

Żyli z uwagą jeden drugi trzeci
Gospodarze pola i rowu z wodą
I zwierzęta domowe mieszkały tuż obok
Tyle mieli świata ile zmęczenia
Czyli po prostu domu i kropli potu
Ile słowa dodanego do słowa
Ile dnia i ziemi zdołali zatoczyć
Wokoło oczami

Wszystko odeszło
Na krańce świata pierzchło
W coraz bardziej ponure wiadomości
W jednej sekundzie sprawne i liczne
Kliknięcia w pustkę i nudę
W przepaść która sino świeci
W tę zewsząd idącą grozę i chorobę
W tę życia śmiertelną światowość

Trochę o zwykłym obłędzie

Miałem nareszcie weekend i odpoczywałem, z tym że u mnie wolne wypadało tylko w niedzielę, bo pracowałem sześć dni w tygodniu, tydzień w tydzień. Był wieczór i oglądałem na starym, grubym jak pudło telewizorze mecz średniaków polskiej Ekstraklasy. Nadawali go na kanale kodowanym, ale jakimś cudem ten kanał u mnie odbierał, kiedy cała reszta nie. Pomyślałem, że po prostu cuda czasami się zdarzają – na przykład jeden z pierwszych Jezusa w Kanie Galilejskiej, ten nad Wisłą w XX wieku, cud na Wembley w 1973 czy ten, że wciąż nie wybuchła trzecia wojna światowa. Tak czy inaczej siedziałem sobie na kanapie, gapiąc się bezrefleksyjnie w ekran. Poziom był tak niski, że zacząłem się zastanawiać, dlaczego ja nie gram na tym boisku, przecież nikt nie zauważyłby różnicy. Mogłem, będąc jeszcze dzieckiem, pokierować sobą inaczej i zostać piłkarzem, przynajmniej nie narzekałbym na kasę. Dobiegał koniec drugiej połowy, kiedy usłyszałem dzwonek do drzwi. Zdziwiłem się tym, bo rzadko miałem gości przychodzących bez zapowiedzi, rzadko miewałem gości w ogóle. W pierwszej chwili pomyślałem, że może ktoś przyszedł wręczyć mi Nagrodę Nobla albo chociaż Nike. Włożyłem jakieś dresowe spodnie leżące w kącie, podszedłem do drzwi i otworzyłem. Na korytarzu stał mój znajomy z poprzedniej pracy – krótki epizod na hali magazynowej – Michał. No tak, gdybym dostał jakąś literacką nagrodę, to pewnie powiadomiliby mnie listownie czy też zwykłym mailem.

– Siemasz stary, dawno się nie widzieliśmy! – rzucił facet, zaglądając mi przez ramię. – Masz gości? Nie przeszkadzam?

– Nie – odpowiedziałem na pierwsze pytanie. – I tak – na drugie.

– Czyli co? Mogę wejść?

Chyba po mojej minie powinien wyłapać, że naprawdę „nie” znaczy „nie”, ale wychodziło na to, że nie był zbyt rozgarnięty.

– A co jest? – spytałem znużony, bo i tak mnie to nie obchodziło.

– Nic. Tak wpadłem pogadać, rozumiesz, po prostu pogadać jak kolega z kolegą. Mam ze sobą coś dobrego, wiesz, coś na ząb – powiedział i wyciągnął zza pleców 0,7 czystej.

– Nie piję. Jutro muszę być o szóstej w robocie.

– Wypijemy stary, nie ma co się czaić!

– Nie.

Przez chwilę stał w ciszy przed moimi drzwiami i patrzył na mnie błagalnie, tak żałośnie, że prawie zrobił mi się go żal.

– Dobra. Wejdz. Ale zero picia – oznajmiłem sucho.

– No i to chciałem usłyszeć! – wyrzucił i wepchnął się do mojego mieszkania.

I nie, nie wiem, czy Michał ostatnim czasem ogłuchł. Kontakt z nim miałem zerowy, właściwie nigdy nie powiedziałbym, że jesteśmy kolegami. Zdjął buty w korytarzu, rozejrzał się po moim mieszkaniu – miałem tylko dwa pomieszczenia, poza kuchnią i łazienką – i wszedł do salonu.

– O! – prawie wykrzyczał z entuzjazmem. – Oglądasz Ekstraklasę?

Przytaknąłem mu obojętnym mruknięciem.

– Komu kibicujemy? – zapytał, siadając na kanapie i stawiając wódkę na stolik.

– Ja kibicuję sobie. Ty możesz, komu chcesz.

Usiadłem na fotelu i spojrzałem na niego. Nie widziałem go może trzy albo cztery miesiące i w sumie nie wiedziałem, czy się zmienił, czy nie, bo serio obchodził mnie tyle, co zeszłoroczny śnieg. Twarz miał gładko ogoloną, przez co wyglądał jak dorodny ziemniak, do tego błyszcząca mu się od potu w elektrycznym świetle żarówki. Jego niebieskie oczy miały rozgorączkowany, niepewny wyraz. Zacząłem się zastanawiać, czy Michał nie jest na jakichś dragach. Połączyłem w głowie kilka znanych mi faktów o tym facecie i mogło tak być, mógł coś w sumie brać.

– Co tam u ciebie stary słyhać, co? – spytał mnie, splatając między nogami dłonie.

– Przyszedłeś tutaj, żeby mnie zapytać, co u mnie słyhać? Serio?

– No tak, rozumiesz, dawno się nie widzieliśmy i tak sobie pomyślałem, że wiesz... Przyszedłem pogadać, jak kumpel z kumplem, tak że tego... Co tam u ciebie, hę?

Już miałem mu odpowiedzieć, że gównu u mnie słyhać, bo nagle zmieniłem zdanie i chciałem wywalić go z mieszkania, ale ponownie usłyszałem pukanie do drzwi. Tym razem nie wierzyłem już, że to ci goście od Nike. Na pewno wystaliby mi list, może znaleźliby mój numer i wykonali telefon. Panie Poniatowski, chcielibyśmy z dumą ogłosić...

Wstałem z fotela i znowu otworzyłem drzwi. Teraz stała w nich moja sąsiadka z mieszkania naprzeciw, Jolanta, która była grubo po trzydziestce, miała narzeczonego w więzieniu i podobno prostytutowała się przez internetowe portale, przynajmniej tak gadali w bloku – ale jak dla mnie, to raczej po prostu miała wielu chłopaków w tym samym czasie. Nie jej wina, że łatwo się zakochiwała.

– Co jest? – zapytałem ostro, bo znałem ją trochę i wiedziałem, jak mam się z nią obchodzić. Do tego oparłem się ręką o futrynę, blokując wejście.

– Słyszałam u ciebie jakieś śmiechy, głośno jest u ciebie, przez ściany słyhać, muzyka jakaś gra – zaczęła nawijać tym swoim zdezelowanym, zachrypniętym głosem, który budził we mnie odrazę. – Posiadówę jakąś masz, coś takiego? Jakąś imprezę?

– Nikt się nie śmiał – powiedziałem powoli. – Nie gra żadna muzyka i nie mam gości. Zresztą to nie twój biznes.

Nagle usłyszałem za sobą, wewnątrz mieszkania, skrzyknięcie mojej wysłużonej kanapy, a po chwili zaciekawiony głos Michała:

– Kto przyszedł, Marcel?!

Jolanta spojrzała na mnie, mrużąc oczy i chcąc mnie chyba tym spojrzeniem zabić.

– Nie masz gości, co? – Pytanie miało być szpilą.

– To tylko Michu – odpowiedziałem, bo właśnie mi się przypomniało, jak mówili na niego chłopaki w magazynie. – Michu to żaden gość. I tak jak mówię, to nie twoja sprawa.

– MARCEL, WEŹ JĄ ZAPROŚ DO ŚRODKA! NAPIJE SIĘ Z NAMI!!

Mogłem ich przecież wywalić – jego i ją – ale coś mnie powstrzymywało i przyjąłem postawę samarytańską. Westchnąłem tylko i przepuściłem Jolantę, która podziękowała mi skinieniem głowy. Kiedy szła do salonu, kręciła srogo swoim tłustym tyłkiem, ale nie było to zbyt rajcowne, zresztą ona cała nie była wcale rajcowna. Ciało miała roztyte, twarz rozpadającą się na kawałki, ale najgorsze posiadała usta. Jolanta to posiadaczka najbrzydszych ust, jakie kiedykolwiek widziałem. Sztucznie napompowane kwasem wargi, wulgarne i opuchłe, jak glonojad, jak gumowy przepychacz do kibla. Ktoś spieprzył jej te usta koncertowo, a ona jeszcze za to zapłaciła.

– Cześć – przywitała się z Michem kobieta, posyłając mu brzydki uśmiech. – Jestem Jolanta.

– Michał – odparł mój były prawie-kolega, podnosząc się z kanapy i całując wyciągniętą dłoń Jolanty z uroczystym namaszczeniem.

– Och... Co za dżentelmen...

Patrzyłem na to z boku i myślałem, że się zaraz autentycznie porzygam. A potem poszedłem po szklanki i kieliszki, bo zostałem o to poproszony przez tego dzentelmena w podróbce koszulki Guessa i dresach z Adidasa, pewnie też nieoryginalnych. Nie miało to zresztą znaczenia, bo markowe rzeczy – ich kult – uważałem za puste kalorie dla ludzi o niskiej samoocenie. Ja chodziłem w byle czym i miałem to gdzieś, przynajmniej nie trwoniłem kasy. Tkwiąc w kuchni – celowo zostałem w niej dłużej, przedłużając nieuniknione – słyszałem ich wciągającą, pasjonującą rozmowę. Naprawdę beznadziejna sprawa, pierwszy raz doświadczyłem czegoś tak głupiego i intrygowego, jak można być tak ograniczonym. Szło to mniej więcej tak:

- Ja wstaję zawsze o siódmej, potem biorę długie prysznic...
- Ja też wstaję z samego rana i muszę wziąć prysznic, zawsze przekręcam na gorącą wodę...
- Ja najpierw myję się w gorącej, a potem w zimnej, zawsze kończę zimną wodą, to podobno hartuje...
- No tak, hartuje...
- A potem piję kawę, nie wyobrażam sobie rozpocząć dnia bez kawy...
- Ja też. Codziennie piję kawę z rana, ona mnie budzi, bez niej jestem jak zombie...
- Mocna, słodka kawa z rana to wszystko, czego mi trzeba, żeby się obudzić...
- Tak, ja też tak mam. Słodzę zawsze dwie łyżeczki, czasami trzy łyżeczki, kiedy czuję, że dzień będzie ciężki...

Wróciłem do salonu i postawiłem przed moimi gośćmi szkło. Potem usiadłem na fotelu i zacząłem się im przyglądać. Wyglądali jak karykatury człowieka, dwie tępe małpy, pieprzące jakieś niestworzone farmazony. Szkoda było czasu na rozkminianie, po co Michu do mnie przyszedł – szukanie sensu tam, gdzie go brak, to naiwne zachowanie. Akurat zaczął się mecz, więc miałem czym się zająć. Facet otworzył wódkę i polał – najpierw damie, potem sobie. Napili się. Po chwili znowu nalał i ponownie się napili. Rozlał trzeci raz, ale wódka tym razem trochę pozostała w kieliszkach.

- Słuchaj, Marcel, ziomek mi pisze, czy może wpaść – oznajmił Michu i to nie brzmiało jak pytanie.
- Nie może – odpowiedziałem mu, nawet na niego nie spoglądając.
- Napisałem mu już, że może wbić, ale musi wziąć coś do picia. Chyba nie jesteś zły, co?
- Właściwie to jestem.

Michał nie odezwał się już więcej na ten temat, wrócił do rozmowy z Jolantą. Kobieta siedziała tuż obok niego, założyła nogę na nogę. Miała na sobie bluzkę z głębokim dekoltem i krótką mini. Jej grube nogi, o białej skórze obficie pokrytej zmarszczkami, odrzucały mnie i odrzuciłyby chyba każdego innego faceta. Każdego, oprócz Micha. Ale on nie był do końca normalny, zdołałem to pojąć już pierwszego dnia w pracy. Poza tym miałem prawie całkowitą pewność, że tego wieczora jest naćpany. Ona może też coś wcześniej wzięta, wybuchła co chwila histerycznym śmiechem i drapała się cały czas po kolanie. Gadali sobie w najlepsze i pili, a ja kombinowałem, jak ich tu wyrzucić bez robienia awantury. Dochodziła godzina dziewiąta, kiedy mój telefon zaczął dzwonić. Podniosłem się z wygodnego fotela, przeprosiłem towarzystwo i poszedłem do kuchni. Numer był obcy. Odebrałem.

- TY CH..., ZROBIŁAM TEST I JESTEM W CIĄŻY! – usłyszałem znerwicowany głos jakiejś dziewczyny. Przez chwilę myślałem, że to jakiś żart czy inny wygłup.
- GNOJU, SŁYSZYSZ, CO DO CIEBIE MÓWIĘ?! – wydarła się po drugiej stronie.
- Chyba się pani pomyliła – odparłem zduszony.
- Andrzej? – zapytała zaskoczona.
- Nie.
- To kto?
- Pomyłka. Dobranoc.

Rozłączyłem się. Jaka była szansa, że ktoś, kto dzwonił w takiej sprawie, pomylił numer i że padło właśnie na mnie? Kolejny, szalony cud. No i wyglądało na to, że ten cały Andrzej będzie miał spieprzony wie-

czór – nie mówiąc już o spieprzonym życiu tej dziewczyny. Korzystając z okazji, poszedłem jeszcze do kibla i posiedziałem w nim dosyć długo. Potrzebowałem chwili dla siebie. Ciszy. Może nawet spokoju. Potrzebowałem się też położyć, wyspać, ostatnio nie czułem się najlepiej, a jutro musiałem przecież wstać do roboty – na samą myśl o pracy robiło mi się niedobrze. Wyszedłem niestety z łazienki i wróciłem do salonu. Teraz była ich trójka. Na moim fotelu siedział jakiś koleś, którego kompletnie nie znałem. Wyglądał jak szkielet – chodzi mi o to, że taki był chudy, policzki miał zapadnięte, oczy głęboko osadzone. Na głowie nie posiadał ani minimetra włosów. Kiedy mnie spostrzegł, odezwał się i mówił, jakby go goniono:

– Ty musisz być Marcel, prawda? Ja jestem Olek. Michu mi o tobie dużo mówił. Podobno piszesz, nie? Chcę z tobą pogadać.

– A ja chcę, żebyś zszedł z mojego fotela.

Koleś zrobił to i zajął miejsce obok Jolanty. Kobieta siedziała teraz pomiędzy dwoma facetami. Po minie, która zagościła na jej twarzy, mogłem odczytać, że ten stan się jej podoba. Klapnąłem ciężko na fotel i spojrzałem na TV. Ominęła mnie bramka, cholera.

– Słuchaj Marcel, podobno wydrukowali ci kilka opowiadań, to prawda? – zapytał podnieconym głosem Olek.

– Yhmh – mruknąłem.

– Wiesz, bo ja też piszę i kurde, nic nie chcą mojego wziąć. Znaczą większość nie odpisuje w ogóle na moje maile, a jak już odpiszą, to jeden na sto i że oczywiście nie chcą.

– Tak bywa.

– No i powiedz mi, co trzeba zrobić, żeby trafić do jakiegoś czasopisma, do jakiegokolwiek? Co trzeba napisać? Trzeba mieć jakieś układy, znajomości? Trzeba mieć, nie? Inaczej się pewnie nie da, co? Trzeba pewnie im jeszcze zapłacić, co? Nie mówisz nic, czyli pewnie tak. Wiedziałem, że tak jest. Jeżeli chcesz, żeby cię wydrukowali, to musisz zabulić, tak to wygląda? Pewnie, że tak. Co za gówno. Wysłałem już setki maili, dziesiątki opowiadań i nic. A to są dobre opowiadania, naprawdę. Moja dziewczyna mówi, że są bardzo dobre, mój brat też tak mówi. To są bardzo dobre opowiadania, nawet wybitne, ale nikt ich nie chce drukować. Pewnie się boją, na bank się boją. Bo piszę w nich samą prawdę. Boją się prawdy, zawsze się bali. Pieprzona cenzura. A to są naprawdę dobre opowiadania. Nie chciałbyś ich przeczytać? Mogę ci kilka podeśłać na maila, jak chcesz. Podasz mi maila, to ci wyślę jakieś. Nawet teraz, co? Podasz mi swojego maila?

Nie odpowiedziałem mu na to pytanie. Spojrzałem natomiast na Michała i zapytałem go:

– Skąd ty wzięłeś tego pojeba?

Mój gość numer jeden nie odezwał się – zrobił natomiast wystraszoną minę debila. No i w tym samym momencie po raz kolejny ktoś dobijał się do drzwi. Miałem już tego serdecznie dosyć. Przecież to nie hotel.

– To pewnie pizza – oznajmiła Jolanta. – Zamówiliśmy w międzyczasie, kiedy cię nie było.

– No to jak zamówiliście, to idźcie ją teraz odebrać – wyłożyłem im logicznie.

– Z tym że ja nie mam gotówki – wyznał Michu.

– Na pewno dostawca ma ze sobą terminal.

– Nie wzięłem, kurna, portfela. Serio. Zapomniałem, jakoś tak wyszło...

– I zamówiliście zarcie, nie mając hajsu? Macie mnie za idiotę?

Spuścili wzrok i wbili go w podłogę – dosłownie jakbym był nauczycielem, pytającym o coś nieprzygotowaną klasę. Myślałem, że ich tu zaraz wszystkich zatłukę. Podniosłem się jednak i poszedłem otworzyć drzwi, bo facet na klatce był strasznie niecierpliwy i zaczął napażać agresywnie w dzwonek. Otworzyłem.

– Równie czterdzięci wyszło – powiedział płaskim głosem.

Nawet nie obrzuciłem go spojrzeniem. Wyciągnąłem gotówkę, akurat dwa razy po dwie dychy i wręczyłem mu kasę.

– A napiwek? – zapytał facet.

– Nie tym razem, stary.

Dostałem od niego tę pizzę, ale zdawałem sobie sprawę z tego, że przy następnej okazji gościu sprzeda mi do środka gęstą kaczuchę – będę musiał ogarnąć, co to była za pizzeria. Wróciłem z kartonem do salonu i położyłem ją na stoliku, obok pustej butelki z wódką. Otworzyłem tekturowe pudełko i wziąłem sobie jeden kawałek. Przynajmniej nie zamówili jakiegś z ananasem czy innym gównem. Moi goście patrzyli na mnie jakoś dziwnie.

– Co jest? – rzuciłem w eter.

– Pomyśleliśmy, że pójdziemy do Jolki, już w sumie późno. Olek i tak jutro ma poranną zmianę – oświadczył Michu, podnosząc się z kanapy. – Nie masz nam chyba tego za złe, co? Ale serio musimy się już zmywać.

– Dzięki za gościnę, sąsiad – wypaliła Jolanta, również podnosząc swój tyłek z miejsca. – Weźmiemy sobie pizzę i pójdziemy do mnie, nie obraź się...

– Pizza zostaje – powiedziałem.

– Stary, daj spokój... – wyjąkał niepewnie Michał.

– Płaciłem za nią, więc zostaje. Zamówicie sobie swoją i za nią zapłaćcie.

Popatrzyłem po nich groźnie, gotów nawet do bójki, ale nikt nie miał odwagi kwestionować moich słów. Michu z Jolantą wyszli jako pierwsi, za nimi szedł Olek. Koleś odwrócił się jeszcze do mnie i zaczął coś bełkotać o tym, żebym podał mu tego maila, to wyśle mi kilka opowiadań do oceny, że są naprawdę dobre, warte uwagi.

– Alek, nie ośmieszaj się – rzuciłem i gestem wyprosiłem go za drzwi.

– Olek, nie Alek. Alek to skrót od Aleksego...

– No właśnie Alek, o tym mówię. Dobranoc.

Zamknąłem za nim drzwi, przekręciłem zamek i pomyślałem o tym, że nawet jak przyjdą teraz ci od Nike, to i tak im nie otworzę. Pieprzę to. A potem zdałem sobie sprawę, że pewnie i tak wcześniej musiałbym otrzymać nominację – co raczej nigdy się nie wydarzy. Wróciłem do salonu i wziąłem kolejny kawałek pizzy, po czym odgryzłem połowę na raz. Mecz dawno się już skończył, więc wyłączyłem telewizor i poszedłem do sypialni. Usiadłem przy biurku, odpałem laptopa i otworzyłem nowy dokument tekstowy w OpenOffice. Za oknem mrugało ostre światło, pewnie policyjnego radiowozu. To było kiepskie osiedle.

Zacząłem od tytułu, a brzmiał on tak: *Trochę o zwykłym obłądźcie*. Potem po prostu już pisałem. W słodkiej ciszy, w swoich czterech ścianach, we własnym kącie, wypełniającym się raz za razem błogosławionym, niebieskim poblaskiem.



Fety poety

Przyszła
W biały dzień.
Obudziła pragnienie
I stał się
Na moment
Poetą.
Jak Ona.

Wędrują:
Między wierszami,
Metaforami,
Słowami,
Uczuciami, radościami, kłopotami,
Po wszystkich światach.
W poświęciach
Chodzą cichutko,
Niewidzialni,
„W poszukiwaniu straconego czasu”,
Czasu zarazy,
Którego coraz mniej.
Nie wchodzą
Do biblioteki, teatru, świątyni, herbaciarni.
Choroba zabiera to, co najcenniejsze.
Wieczna kwarantanna
Pędzi w nieskończoność
I nie zaprasza na festiwal
Życia
Ani...,
Ani nawet na kawę
Bo można się zakazić
Koronawirusem
Albo Poezją...

I zniknęła
bo jej czas upłynął.

18 listopada 2020, godz. 00.15

Lubię to, co gubię

Lubię moje lata,
Choć przychodzą
Na coraz krótszych,
Telomerowych nóżkach.
Lubię czas,
Choć ucieka przede mną
Na wielu zegarkach,
A każdy stanie
W innym miejscu.
Lubię powietrze
niewidoczne,
Które chłonę.
Na wyciągnięcie ilu oddechów
Go zostało?
Lubię przestrzenie,
które znam
I które poznam.
Nie wiem, kiedy się poczęły
i gdzie ich koniec.
Lubię ludzi,
Choć ich coraz mniej
W miejscach,
Które pamiętam z dzieciństwa.
Lubię życie
Choć pojawia się i zanika,
I to, że nie wiem:
Byłem?
Czy jeszcze jestem?
To też lubię.

2 lipca 2021, godz. 8.45

Zośniczka

Lalkę Zośniczkę rodzice podarowali mi jeszcze, zanim pojawiłam się na świecie. To trudne do uwierzenia. Brzmi jak totalny absurd, ale tak było i jest. Kiedy miałam zaledwie trzy miesiące, ugryzł mnie pająk krzyżak, który pozostawił na szyi trwałą ślad. Lekarze długo zastanawiali się, co mi dolega. Podejrzewano raka. Przeszłam skomplikowaną operację. Przez kilka miesięcy mój policzek po prawej stronie twarzy wyglądał jak bańka mydlana. Wtedy, będąc małą dziewczynką, nie zdawałam sobie sprawy, że to „pająkowe” wydarzenie było na tyle niebezpieczne, że mogłam utracić nie tylko życie, ale wszystko to, co do niego mogłam wnieść w przyszłości. Może po raz pierwszy w historii medycyny udowodniłam swoim przykładem, iż jad pająka krzyżaka może być niebezpieczny dla człowieka? Tego nie wiem, ale mniejsza z tym...

Od tamtej pory nie bałam się pająków. Krzyżaki – paradoksalnie – były dla mnie inspiracją do dobrych wieści. Przyglądałam się, jak budują efektywnie swoje magiczne sieci i łapią na nie komary, muszki owocówki, ale też te grube, wypasione muchy, na które mówiono „złote”. Czasami zdarzało się im złapać mrówki, ale to naprawdę rzadkość.

Sądzę, że w dużej mierze strach pokonywałam dzięki Zośniczce. Ona zawsze potrafiła ochronić mnie od wszelkiego złego. Nie opuszczała mnie na sekundę. Umiała wprasować się w każdą moją fałdkę na sercu. Była mi alfą i betą...

W posiadłości moich dziadków przy ulicy Ogrodowej w miasteczku S. było wszystko potrzebne do tego, by mieć idealne dzieciństwo: sad owocowy, warzywniak, hektary zboża, w których można było bawić się z rówieśnikami w chowanego albo w cokolwiek. Były też chlewy ze zwierzątkami: koniki, krówki, owieczki, kozy... Któregoś wieczoru, a może nocy, bawiąc się z Zośniczką, przy jednym z chlewów zobaczyłam w pokrzywach psy.

– Dziadziusiu, dziadziusiu! – zwróciłam się do dziadka. Tam w chaszczach są pieski.

– Tam nie ma żadnych piesków.

– Są pieski. – Tupnęłam nóżką, po czym poszłam do stodoły, ułożyłam ciało na sianie i czułam ten nie dający się zapomnieć zapach letniego życia.

Zośniczka wciąż przy mnie była. Utulałam ją swoim długim wiersza płaszczem, który ułożyłam w głowie na poczekaniu i wyrecytowałam jej ekspresywnie, całą sobą jak w teatrze jednego – mojego – aktora.

Łóżko na strychu u dziadków było tak wielkie, że można było się w nim zagubić. Walały się na nim stare poduszki z wystającym pierzem, przesiąknięte mocno stęchlizną. Na nich były czarne „fasolki”. Spróbowałam jedną z nich, ale zupełnie mi nie smakowała. Po prostu nie była taka, jak ta zielona z ogródka. Leżałam na łożu i czytałam *Anię z Zielonego Wzgórza*. Wtedy mój wzrok spotkał się ze zwierzem.

– Babuniu, babuniu – mówię do babci z nutką enigmaty. Na strychu są chomiki.

– Tam nie ma chomików, skarbie.

– Są chomiki – odpowiedziałam. – Widziałam je.

Zaśmiała się Zośniczka w głos. Była ewidentnie po mojej stronie. Czułam to.

Kiedy otworzyłam starą antyczną szafę, krzyknęłam:

– Dziadziulku, dziadziulku... Z szafy wyfruwają motylki!

– Tam nie ma motylków, kochanie.

– Są motylki! Naprawdę są!

Nikt mi nie wierzył, ale wierzyła mi Zośniczka. Ona zawsze we mnie wierzyła.

Kiedy w Parku Kolejowym w miasteczku S. znów mnie coś ukąsiło... Wróciłam do domu z bolącą tak bardzo nóżką, że trzeba było wzywać pogotowie.

– Mamusiu, mamusiu, pogryzła mnie Pszczółka Maja.

– Koteczku. – Przytuliła mnie mamcia. – Pszczółka Maja nigdy by ciebie nie skrzywdziła.

– Zrobiła to! – krzyknęłam.

Tak naprawdę u dziadków przy chlewach nigdy nie było piesków. To były szczury. Na strychu nie było chomików. To były myszy. W szafie nie było motylków. To były mole. Pszczółką Mają była osa.

Któregoś ranka po tych wszystkich tajemniczych zdarzeniach wyrwał mnie do życia dziwny, choć w moim odczuciu piękny sen. Obudziłam się mokra. Jakby skropiona deszczem podczas burzy. I wtedy pojęłam tak jak dziecko w podstawówce pojmuje literki... Tej lalki nigdy nie było. Tą Zośniczką jestem ja.

Bogdan

Gdy zobaczyłam jego zdjęcie w necie, dostałam czkawki. Jeszcze mnie nie zna, a już o mnie myśli? – westchnęłam ubawiona swoim infantylizmem. Pluskał się w leśnym strumyku na tle rosnących dwóch prawdziwych ceglaptoporych. Nie miał na sobie odzienia. Miał tylko szarą ozdobę na szyi, która oddawała wierne jego przynależność do świata.

Ciemna karnacja dodawała mu urody, choć sam w sobie był nadzwyczaj urodziwy. Mógłby posiąść do towarzystwa każdą upatrzoną przez siebie damę. I dżentelmena też. Zafascynowały mnie jego uszy. Nie dotknęłam ich, a już przez monitor kompa czułam, że są jak waciane poduszeczki. Miękką mażowina uszna u mężczyzn zawsze wyzwalala we mnie chęć ich pieszczona i inspirowala do tego, by pisać o nich „nieopierzone” erotyki. Wiem. To fanaberia. Ale któz z normalnych ludzi nie jest pod jakimś względem dziwkami? Rozmarzyłam się przed moim niebieskim ekranem czasu, a wraz z tym rozmarzeniem odleciałam wirtualnie w Sudety. Tam, gdzie jest dom Bogdana – trzystuletni dwór w małej wiosce w Dolnośląskiem o imieniu „M” – jak miłość.

Nie konwersowaliśmy – o dziwo – online. On nie potrafi obsługiwać nowoczesności. Komunikowaliśmy się poprzez jego osobistą sekretarkę. To ona zamieściła jego wizerunek w sieci. Nie! Nie! Nie! Nic z tych spraw, gdyby komukolwiek przyszło do głowy, iż on jest starej daty i to jego tłumaczy, by z techniką nie być na ty. Jest ode mnie wiele lat młodszy, choć nie do końca w przeliczeniu na naukowe liczby. Nie zna obsługi komputera. Nigdy nie będzie miał ku temu predyspozycji. Ci, którzy są w jego skórze, dobrze wiedzą, że gdyby umiał ogarnąć klawisze, stałby się groteskowy.

Któregoś dnia ujrzałam go twarzą w twarz. Nie wierzyłam w miłość od pierwszego wejrzenia. Przecież do niej prowadzi kilka etapów. Najpierw jest „zachłyśnięcie się”, potem zauroczenie, dalej zakochanie się i zakochanie się, i zakochanie się... Po tym wszystkim – dopiero – serce łapie w swoje sidła.

A jednak stało się tak, jak w przypadku Romea i Julii albo Tristana i Izoldy, choć z innym finałem. W jednym przebłyску nieposkładanych myśli uświadomiłam sobie, że nasze oczy są takie same – ciemnobrązowe z czarną obwódką wokół tęczówki. Patrzył na mnie z wywieszonym językiem, jakby chciał mnie schrupać na deser po obiedzie. Patrzyłam na niego podobnie, tylko bardziej po człowieczemu. Czyżby to przeznaczenie? Wkomponowaliśmy się spojrzeniem w kadr, który z pewnością chcieliby uchwycić ekscentryczni malarze, a potem spisać go w swój niepowtarzalny obraz i zawiesić na jednej ze ścian domu, by ten mógł na zawsze oddychać ciepłem drewna z kominka.

Przy przywitaniu Bogdan nie wręczył mi kwiatów. Nie pocałował w rękę. Podał mi ją ledwo co. Zwiotczała i umazana po łokieć w błocie, które pachniało końskim zadkiem. Paznokcie miał długie. Takie jak kobieta, która robi „żelówki”. Tylko zamiast rózu albo brokatu był na nich powgryzany brud. Dziwny jest ten świat – pomyślałam – słysząc w głowie treść melodii słów Czesława Niemena.

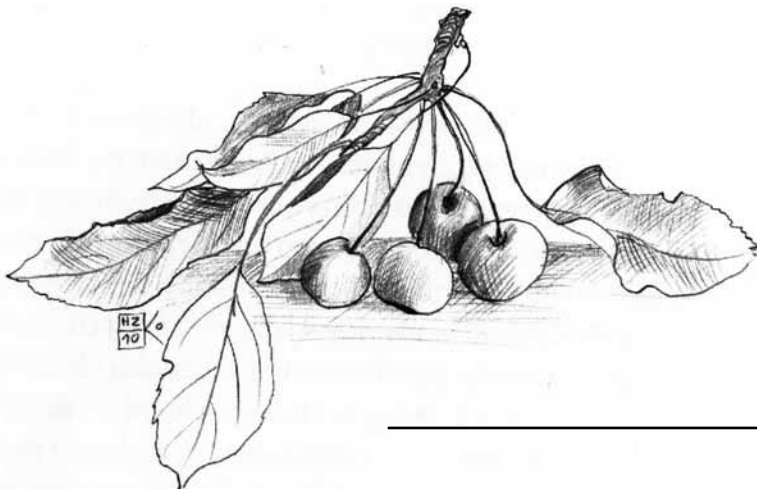
W domu Bodzia rozgoszczono mnie awangardowo. Zamiast do pokoju zostałam zaproszona do celiowskiej kuchni z piecem kaflowym i belkowym – antycznym – stropem. Jego osobista sekretarka przyrządziła nam wodę z imbirem, cytryną oraz miętą, podczas gdy on wyciągnął sobie z mojej rozklekotanej walizy – bez przyzwolenia – prezent, który miał ode mnie dostać dopiero następnego dnia. Nie wiem, jakim cudem wyczuł, iż to coś bardzo ekstrawaganckiego, schowanego w moim kufrze było przeznaczone dla niego, ale ten fakt potwierdza teorię, iż nie tylko kobiety mają szósty zmysł. Spodobało mu się to niewinne bawidełko. Wiedziałam, jak sprawić, by wciągnąć go do gry..

W nocy zakradł się do mojego łóżka. Położył się pod moimi stopami. Najpierw je obwąchał, potem zaczął je lizać. To lizanie przypominało mi smak dzieciństwa. Wróciłam do wspomnień kultowego lizaka w kolorowe paski o nazwie „Kojak”, którego można było kupić dawniej w kiosku z gazetami.

Bogdan nie próbował ściągać ze mnie kaszmirowej haleczki. Przez całą noc rozpychał się na naszym posłaniu, robiąc sobie dobrze. Gdy nastał świt, zastałam siebie zimną na podłodze, podczas gdy on rozciągał się w ciepłych pieleszach, szarpiąc silnymi zębami kołdrę z haftami richelieu. Zaraz po tym ekscesie wyleciał bez jakiegokolwiek okrycia ciała do ogrodu barokowego. W nim wyłożył całe swoje jestestwo na wczesnym słońcu, udając modela, szykującego się do sesji zdjęciowej na okładkę – przynajmniej – z „Elle Man”. Po kilku minutach wstał. Pomachał swoim sterczącym ogonem wzdłuż i wszerz. W ten sposób chciał pokazać całemu wszechświatowi, że nie czuje nic prócz radości. Widziałam tę scenę przez zazdrość z okna pokoju, w którym spędziliśmy noc i pozazdrościłam jemu tej cholernejswojby swobody życia...

Wybiegłam do niego w założonej w biegu bieliznie. Chwyciłam za prezent, który wywęszył w mojej walizce – różową piszczałkę w kształcie kości. Rzuciłam mu ją w dal i dałam polecenie: aport.

Bogdan – jest labradorem o czekoladowej maści. Jego imię w oryginale brzmi BO – z francuskiego: Piękny. Tak nazwała go osobista sekretarka, jego właścicielka i opiekunka. Jaka byłam głupia, myśląc, że Bogdan mógłby rzucić ją dla mnie.



W klepsydrze

Czeka na obrót
spraw kilka
na przewrót historii
dawkuje po ziarnku
zasypuje pustkę
piramidy tworzy
chowa słowa, uczynki i zaniedbania
odpływy i przyplawy
kobieta z połkniętą perłą

Jak pies

W braku słońca
w braku deszczu
przychodzisz do mnie melodią
jak pies patrzysz na pana i czekasz.
Zdążył nadgryźć nogę od stołu
napił się wody
oparł pysk o łapy
liczy z zegarem
minuty, godziny, dni,
miesiące i lata
Przychodzisz nieobecnością
dopełniasz wszystko wszędzie
a może jesteś psem

* * *

Smakujesz kobietę
kobietę bez trójki dolnej
w miejscu po zębie
dom dla fajki pokoju
czasem cygaro zagnieździ
pet co iskrę chowa
dla kobiety bez dolnej trójki
Kobieta na zakręcie
przysiadła na krawędzi chodnika
w niej bezradność litery
brak słowa

2022

* * *

Widoki
nie do zdobycia
nie do przewędrowania
samotne stają się trapersy
obok kocher rdzewieje
mnie czas ubiera
ogniska w niebie rozpalam
tak jest bezpieczniej
szukam kluczy
zdjęcia ze świata
dekorują czas rozstania
namiętność zmieniają w obojętność
pamięć i zaćma
nie domaga się horyzontu
co styk ziemi i nieba pokaże
są lustra w nich
nikt i nic

Fatima

Tego roku szybko przyszła jesień. Liście drzew mieniły się kolorami złota, a na niebie często gościły chmury. To ją przytłaczało.

Od rana stała nad kuchenką, we wspólnej kuchni, mieszczącej się na parterze ośrodka. Na śniadanie przygotowała płatki owsiane, a teraz gotowała makaron. Tu wszyscy jedli go wraz z sosem z torebki. Nie miała wyjścia, musiała czymś nakarmić swoje dzieci.

W ośrodku w Polsce przebywała od ponad trzech miesięcy. Uciekła wraz z dziećmi z Syrii, gdy zabił jej męża, a jej grozono śmiercią. Spakowała się jak na dwutygodniowe wczasy i ruszyła, pozostawiając dom, swoich braci i wspomnienia.

Teraz, mieszkając w Polsce, starała się o status uchodźcy, ale nie było to takie łatwe. Marzyło jej się uciec do Niemiec bądź Francji, gdzie – jak słyszała – taki ludziom jak oni żyje się znacznie łatwiej.

Mieszała makaron i rozpuściła w wodzie sos. Wiedziała, że dzieci będą narzekać, że jedzą wciąż to samo. Makaron, ryż albo kasza. Cokolwiek, aby tanio zapełnić żołądek.

Pomimo wszystko lubiła krzątać się w kuchni i przygotowywać te proste posiłki. Czuła się wtedy odrobinę jak w domu, który opuściła i do którego nie było już powrotu. Przypominało jej to prace domowe i odgłos bawiących się w domu dzieci, ich zapach, a także oczekiwanie na przyjście męża. To już minęło, nie myśl o tym, bo to nic nie zmieni – powtarzała sobie czasami rozczulona, ze łzami w oczach.

Kierownik administracyjny w ośrodku o imieniu Bogdan czasami zabierał ją na targ i do hurtowni spożywczej. Raz w tygodniu jechali oboje kilka kilometrów, aby zakupić ziemniaki, warzywa i inne podstawowe produkty. Podobało jej się to. Czuła się wyróżniona i starała się doradzać, jak mogła najlepiej. Czasami nieuważnie dotykała dłoni tego mężczyzny, ale ani on, ani ona nic sobie z tego nie robili. Rozmyślając wieczorami, przyznawała się przed sobą, że Bogdan jej się podoba, choć były to tylko jej sny na jawie.

– Fatima, twoje obiady pachną wyśmienicie – zagadywał ją czasami, przechadzając się po korytarzu, pachnący ostrą wodą kolońską.

Spuszczając wtedy głowę i uśmiechała się do siebie.

– Gotuję to, co wszyscy – powtarzała głośno łamanym językiem polskim, którego wciąż się z trudem uczyła.

Zapisała się na wszystkie kursy, które jej zaproponowano. Nie wiedziała, co może jej się przydać w nowym kraju. Miała więc zapełniony czas i nie nudziła się, jak większość przebywających w ośrodku uchodźców. Starła się, aby wytrwać i wydostać do normalnego życia.

Gdy nadszedł kolejny czwartek, Bogdan po śniadaniu znów zaproponował jej wyjazd. Zgodziła się z ochotą. Odstawiła dzieci na kurs polskiego, ubrała się ciepło i o umówionej godzinie stawiła w biurze.

Bogdan spoglądał na nią ukradkiem, siedząc przy biurku i przeglądając jakieś dokumenty. Długo nie zwracał na nią uwagi.

– Już jesteś. Zaraz ruszamy – powiedział w końcu, zamykając jeden ze skoroszytów.

Opuścili budynek, wsiedli do samochodu i ruszyli w drogę. Podczas jazdy prawie w ogóle nie odzywali się do siebie. Gdy byli już na miejscu, Roman uśmiechnął się do niej, po czym złapał za rękę.

– Dziękuję – powiedział cicho.

Fatima speszyła się. Spuściła wzrok, po czym ruszyła w stronę straganów. Roman pozwolił kupić więcej warzyw, o których braku mówili wszyscy w ośrodku. Zapakowali kartony z żywnością i wsiedli do auta.

– Jesteś cudowną kobietą, Fatima – oznajmił jej, gdy ruszyli.

Czuła, że to komplement, choć nie do końca rozumiała. Sprawdzi później w słowniku, zawsze schowanym pod poduszką. Tego dnia na kolację przyrządziła kalafior, który posmarowała niewielką ilością masła. Nie tylko jej dzieci były z tego powodu szczęśliwe.

Wieczorem, gdy kładła się już spać, sprawdziła w słowniku słowo „cudowny”. Po tym odkryciu zrobiło jej się gorąco. Zasnęła, myśląc o obcym mężczyźnie w obcym kraju.

Kolejne dni nie różniły się od siebie. Wciąż zajmowała się dziećmi, gotowała, chodziła na kursy. Bogdana spotykała najczęściej na korytarzu. Mijali się, witając się oficjalnie. Sądziła, że nie powinna, ale czekała na kolejny czwartek z niecierpliwością.

W środę wieczorem położyła się wcześniej. Dzieci były zmęczone i spokojne, więc miała trochę czasu dla siebie. Zamknęła oczy, ale nie spała. Przypominała sobie obrazy ze swojego kraju i domu, który opuściła. Wspominała chwile, w których była szczęśliwa, a przecież miała ich sporo, zanim rozpoczęła się ta okropna wojna.

Nie zauważyła, gdy ktoś stanął nad jej łóżkiem. Poczowała zapach ostrej wody kolońskiej. Powoli otworzyła oczy.

– Bogdan? Co ty tu robisz? – odezwała się zdziwiona, podnosząc z łóżka.

Mężczyzna usiadł na krześle, po czym zwrócił się do niej szeptem.

– Wiem, że niedługo otrzymacie status uchodźców i będziecie mogli opuścić ośrodek. Mam dla ciebie propozycję.

Fatima szybko nałożyła chustę na głowę, po czym usiadła na brzegu łóżka. Nie mogła uwierzyć w to, co mówił do niej ten mężczyzna.

– Jaką masz propozycję? – zapytała.

Bogdan przebiegł palcami po bujnej brodzie, bijąc się z wątpliwościami.

– Chcę, żebyście zamieszkali u mnie. Mam duży dom, mieszkam sam i jest mnóstwo miejsca. Nie będziecie musieli za nic płacić. Będzie wam dobrze – mówił spokojnie.

Syryjka chyba po raz pierwszy spojrzała mu prosto w oczy. Widziała w nich zakłopotanie i prawdziwą troskę.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł. Co powiedzą na to ludzie? Muzułmanka z dziećmi pod jednym dachem z obcym mężczyzną?

Mężczyzna pochylił głowę, odwracając od niej wzrok. Po chwili sięgnął i złapał ją za rękę.

– To nie jest Syria. To nic zakazanego. Po prostu chcę wam pomóc. Wiem, że jesteś dobrą kobietą. Jak znajdziesz pracę, to będziesz mogła zamieszkać, gdzie tylko zechcesz – powiedział.

Fatima nie odpowiedziała, tylko ścisnęła jego dłoń. Bogdan odszedł, a ona nie mogła zasnąć.

Kolejny wyjazd odbyli wspólnie, ale rozmawiali tylko na tematy związane z zakupami. Bogdan w ogóle jej nie dotykał, nie dopytywał też o nic.

Dwa tygodnie później została wezwana do biura, gdzie okazało się, że jej i dzieciom został przyznany status uchodźcy. Była rozpromieniona i szczęśliwa. Mogła teraz opuścić ośrodek, mieszkać gdziekolwiek i w końcu pracować. Tego dnia zadzwoniła do jednego z braci i podzieliła się tą nowiną.

Wieczorem w jej pokoju znów pojawił się Bogdan. Usiadł na krześle, uśmiechając się promiennie.

– A nie mówiłem? – zapytał radośnie.

Fatima miała ochotę go przytulić, ale przecież nie mogła tego zrobić.

– Miałaś rację, dziękuję – odparła.

Mężczyzna położył rękę na jej ramieniu. W pierwszym momencie chciała ją zrzucić, ale po chwili poczuła, że jest to miłe.

– Zamieszkacie u mnie? – zapytał z nadzieją w głosie.

Syryjka była szczęśliwa, ale nie umiała tego wyrazić. W końcu objęła rękoma głowę i rozplakała się.

– Tak, tak, dziękuję ci za wszystko – powtarzała przez łzy.

Bogdan zabrał ją do siebie wraz z dziećmi kolejnego dnia. Mieli dla siebie cały parter domu, w tym dużą kuchnię, której tak brakowało Fatimie. Rozpoczął się kolejny etap jej życia w tym nowym, dziwnym kraju.

* * *

Przyjaciółkom z Kiwanisu poświęcam

W niespokojnym czasie
zapala się światełko
dobroci ludzkiej
podarowanej uśmiechem
wspieranej słowem
i darem serca

Zielona Góra, 5 stycznia 2022

Wspomnienie

W ramionach rozdartych murów
unosi się zapach pieczonych jabłek
z zielonego pieca
szept wieczornych opowieści rodzinnych
i przewrócona choinka
z ostatnich świąt

„Pisałem wiersze i łudziłem się, że to wystarczy”

O poezji, czasach szkolnych i planach z Czesławem Sobkowiakiem rozmawia Mirosława Szott

„Ani jeden podmuch wiatru nie był pomyłką”? Tak napisałeś w wierszu *Już. Wierzysz w absolutny sens wszystkiego, co nas spotyka?*

O odpowiedź zupełnie jasną i obowiązującą trudno. Ująłbym tak tę kwestię: żadne zjawisko ani zdarzenie nie jest pomyłką. Żadnym własnym postanowieniem nie można sprawić, że dokonamy jego anihilacji, samo w sobie osiągnęło stan istnienia, sens objawia się w tym momencie, kiedy zmuszeni jesteśmy radzić sobie z doświadczaną materią, świat sprawdza nas, nasze człowieczeństwo. Do czegoś zobowiązuje. Poniekąd wszystko ma sens, gdy trwa. Oczywiście z różnych punktów widzenia na to można odpowiedzieć. Czy np. kontemplowanie krajobrazu, liścia, kropli wody ma sens? To człowiek nadaje swoją postawą ten sens. W moich wierszach tak to często wygląda.

Czy rozpoznajesz siebie w swoich pierwszych tekstach? Czy raczej masz poczucie obcości tego, co kiedyś odczuwałeś, myślałeś?

Rozpoznaję siebie w tych pierwszych wierszach, a także w tych nigdy nawet niedrukowanych. Rozpoznaję siebie w swoich wczesnego życia naiwnościach i uzurpacjach myślowych oraz wyobraźniowych snuciach, które wtedy mnie jakoś naznaczały. I wiem, że były one nieuniknione, bo motywowała je wtedy wiara lub nadzieja, że świat stoi otworem, że moce słowa są prawdziwie bezgraniczne, nic nie jest udawane, że dokonuję każdą literą czegoś wielkiego, ważnego i poezja albo raczej wiersz będzie do kogoś skutecznie docierać, że... jest tyleż samo ważny, co rzeczywistość zmysłowa, która stawia opór. Zawsze to byłem ja. Potem powoli następowały korekty w sprawach owej wiary.

W jaki sposób ta rzeczywistość, o której mówisz, stawiała opór? Co przez to rozumiesz?

N
o
l
i
z
e
n
i
a

W jaki sposób? Jednak trudno to w pełni określić, a więc dać odpowiedź. Stawiała opór w tym sensie, że dostrzegałem, jak niewiele w porównaniu z dorosłymi ja mogę i mi wolno. Byłem nieustannie pocuczany, pilnowany i powstrzymywany w swoim ja, w swojej emocji i pragnieniu. W ten sposób zapewne dochodziłem do respektowania reguł i zasad świata i życia. Mogłem nie popełniać jakichś groźnych błędów. Pozostały marzenia, które rekompensowały różne życiowe wtedy niedostatki, chociażby w sferze wyżywienia, posiadania, ubioru, doświadczenia. Realności po prostu musiałem się uczyć. Nie ma w tym niczego nadzwyczajnego. Teraz rzeczywistość też stawia opór myślom i marzeniom, pragnieniom – i to wielki opór, bez złotówki jesteś nikim, lekarz warknie na chorego, ksiądz zignoruje tego, kto racjonalnie interpretuje. Nie mam pieniędzy, więc nie kupię tego, co chciałbym w ogóle lub w danym momencie. Zresztą, teraz już bez sprzeciwu wiem, że mogę się bez tego obyć, nigdy jednak tak nie myślę o poezji, chcę poezji. Oczywiście słowo stawia opór, kłęska zdarza się i tutaj, na tym polu.

Cofnijmy się może do 1967 roku – wtedy debiutowałeś w „Nadodrze”, mając 17 lat. Mówisz, że naznaczały Ciebie pewne naiwności, wyobraźniowe snucia. Jak to się przekładało na Twoje relacje w szkole? Czułeś się inny od kolegów i koleżanek? Na jakiej płaszczyźnie miałeś z nimi kontakt (nie mówię o Mietku Warszawskim, bo Was łączyła m.in. poezja)?

Tak się składa, że w domu raczej nie opowiadałem rodzicom o szkole, bo szło mi zawsze dość średnio. Zapytałaś o samopoczucie i relacje. Czułem swoją inność, dosyć dalece. Mimo to z niektórymi kolegami starałem się nawiązywać bardziej znaczący kontakt, czułem jednak ze strony innych, że nie jestem dla nich nawet kolegą, i ja się temu wewnętrznie nie sprzeciwiałem, ponieważ uznawałem, że są na wyższym niż ja poziomie, a swoje czucie i jakieś racje podmiotowe musiałem w sobie chować. Na tym styku rozdziło się napięcie. Dawała o sobie znać samotność. Niższość. Ale szkoła – i ta podstawowa, i ta licealna – a nawet uniwersytet to nie było wszystko, na-

ukę i natchnienie czerpałem z natury, życia codziennego, ludzi, różnych osobistych doświadczeń. Każda ze szkół była jednak ważna, bo skupiałem się na zagadnieniach, a każde skupienie pokonuje chaos.

To dla kogoś w wieku szkolnym ogromna frustracja, bo jednak poczucie akceptacji ze strony rówieśników stanowi ważny aspekt nastoletniego życia. Naprawdę nie czułeś wtedy złości?

Interesuje Cię ten czas, powiedziałbym, szkolny. Czas szkoły średniej jest ważny; to dojrzewanie, pierwsze namiętności, myśli pełne pożądania, też już własna postawa, którą lubiłem prezentować nawet w wypracowaniach szkolnych, ale nauczyciele tolerowali to. Czułem, że moje miejsce jest takie a nie inne – taki już mój los, że trochę mniej jest mi dane niż innym, jednak nie chciałem upaść, nie złościłem się z tego powodu. To, co moje, wartościowałem pozytywnie, więc nie była mi po drodze wizja przegranej, lecz w miarę swoich sił demonstrowałem siebie, czyli nie byłem wycofany, ale także ekspansywny. Mimo różnych smutków usilnie umiałem zabiegać o to, na czym mi zależało. Pisanie wierszy oczywiście wprowadzało nową perspektywę w spojrzeniu na życie. Tak, poezja migotała silnym światłem i jednak odводziła mnie od myślenia o przyszłości życia.

Czy to szkolne poczucie odrzucenia pojawiało się w dorosłym życiu też?

Zawsze dość trudno radziłem sobie z bieżącym życiem, nie umiałem być tak mocno ułożony lub ustawiony ani zaradny jak inni, lecz specjalnie z tego powodu nie cierpiałem, jakaś zgoda na wszystko towarzyszyła mi, wszystkim moim niepowodzeniom i potknięciom, i stratom, i zagrożeniom, i niespełnieniom. Gdy w latach 80. dyrektor pewnej instytucji powiadał mi, że praca tu się kończy, nie wywołało to żadnej buntowniczej reakcji, powiedziałem tylko: „no taki mam los”. Ta postawa oczywiście nie jest tylko postawą życia, ale przenosi się również do wierszy, do czegoś takiego, co wyrażają np. słowa, że kłęska to nagroda czy że muszą wystarczyć puście ręce. Wygrana nie jest mi za bardzo po myśli i nie

lubię wygrywać, zabiegać o siebie. W gruncie rzeczy przegrywam. Jeśli coś mnie nagradza i daje siłę, wiarę, nadzieję, radość, to poezja, gdy przyjdzie do mnie.

Chyba inaczej odebrałam te „puste ręce” („A teraz wystarcza mi / Że wytrwam dzień z pustymi rękami”) z Twojego wiersza. Czy one nie są wyrazem jakiejś głębszej samoświadomości, poczucia, że nie trzeba mieć niczego ani niczego zdobyć, aby doświadczać sensu, że samo bycie jest sensem (że to właśnie wygrana)?

Tak jak powiedziałaś, chodzi w cytowanych słowach wiersza o jakiś głębszy sens i jego samoświadomość, ale też często (bo nie tylko tutaj) chodzi o przymus dostrzegania sensu, godzenia się z trudami, także wtedy, gdy człowiekowi (tu podmiotowi) odebrane są różne splendory, bogactwa emocji, zasoby wyobraźni, chęci realizowania zadań. Oczywiście dopóki żyjemy, dopóty jesteśmy wygrani, nawet na tym bardzo niskim pułapie.

W jakim zawodzie czułeś się spełniony?

W żadnym. Nie czułem się spełnionym. To było zawsze jakieś nierobienie czegoś, co by mnie interesowało, jakieś zmaganie, by wytrwać w trudach, nudach, jałowości, więzieniu czasu. I mimo wewnętrz-

nej wręcz udręki jakoś wypełniałem różne obowiązki. Chodziło o to, by mieć chleb.

Czy nie uważasz, że sam czasem tworzyłeś niektóre niepowodzenia? W sensie – niemal oczekiwałeś ich. Może jest tak, że bałeś się ułożenia z bieżącym życiem? Jakoś tak się przyjęło, że poezji bliżej do klęski niż sukcesu.

Nie wiem, czy sam tworzyłem niepowodzenia. Jeśli nie tworzyłem tego, co by miało smak sukcesu, to można i tak spojrzeć na swój los, nie udawało się wiele, może to, czym się zajmowałem zawodowo, nie dawało mi nic wewnątrznie. Zapewne nie zawsze tak było, ale w jakiejś części tak. Gdzie poezji bliżej? Do dramatu istnienia, do smutku, do marzenia zaledwie, do samotności. Jednak myślę, że napisałem dość wyczerpująco o swoim doświadczeniu życia, o swojej biografii, i to daje mi jakąś namiastkę spełnienia.

Gdybyś podsumowywał swoje życie, co byś uznał za swoje najważniejsze dokonanie?

Dokonanie i postawę. Dokonanie jakieś jest. Nie mnie oceniać jego doniosłość, orka mogła by być pewno głębsza. Jednak coś zrobiłem: kilka książek, zbudowałem bez niczyjej pomocy, nic za darmo od



nikogo, własnymi rękami dom, by wyjść z mieszkania w ruinie, ciasnocie, bez żadnych urządzeń, a też nie byłem sam, ale z dziećmi, z Natalią, nie mogłem stać z założonymi rękami. Dokonaniem jest też postawa w patrzeniu na świat. Nie zbiegł mi czas na głupstwach i teraz mam poczucie, że mogę krytycznie patrzeć na lekkomyślność ludzi, na odchodzenie od spraw duchowych, uczciwości, relatywizm, wirtualność itp., bo wiem, że to droga donikąd.

A jaką rolę odegrała w Twojej twórczości rodzina? Masz troje dzieci, żonę Natalię, którą widuję na większości Twoich spotkań autorskich i która patrzy na Ciebie z takim uznaniem i fascynacją, jakbyście się dopiero przed chwilą poznali. Czy Natalia jest pierwszą recenzentką Twoich tekstów?

To dobrze, że Natalia w Twoim odczuciu patrzy z akceptacją, w końcu gdyby najbliższa osoba miała obojętne spojrzenie, to może nie służyłoby ono należycie motywacji twórczej, a może nawet natchnieniu, rzecz przecież w tym, że natchnienie, tak to określe, nie funkcjonuje dobrze, jeśli jest zakłócające jakimiś krytycyzmami czy poczuciem braku sensu pracy. Gdy czytamy biografie, to ta kwestia bardzo się potwierdza. W samotności się tworzy, a w tym akcie jest tylko autor, materia i nikt więcej, lecz potrzebna jest też zewnętrzna aprobata.

Czy któreś z Twoich dzieci poczuło pisanie? W jaki sposób dzieci odbierały poezję swojego taty?

Jakieś próby tworzenia podejmowane były (lub są) przez córkę Paulinę, wiem, że jest z poety dumna. Natomiast Natalia czyta, co napiszę dosyć często i wyraża swoją opinię. Raczej trafnie. Niekiedy coś podpowiada. Jednak nie sugeruję się, decyzję o ostatecznym kształcie poezji podejmuję samodzielnie.

A synowie w jaki sposób odbierali Twoją twórczość?

Nie chciałem i nie starałem się, by w moim zajęciu i słowie poetyckim uczestniczyły dzieci (synowie). Chyba też zanadto nie wykazywały takiej chęci. Młody człowiek o czym innym myśli. Nie chciałem też wywołania kompleksu niższości, co się zdarza dzieciom twórców. I zarazem dodam, że w grę tu wchodziło towarzyszące mi ciągle uczucie pewnej wstydlivości. Pisanie poezji to dla mnie zajęcie bardzo intymne i czuję się lepiej, jeśli nie ma żadnej presji, inwigilacji, dopatrywania się miar i sensów nieistniejących.

Domyślasz się, dlaczego Twojemu tworzeniu towarzyszy to poczucie wstydlivości?

Być może przywołane słowo – wstydlivość – nie jest to adekwatne do sygnalizowanego stanu emocji. Pytasz o jego źródło. Nie chodzi mi o to, że czuję się sam przez siebie obnażony, ze wszystkimi swoimi cieniami itp., a nawet gdyby, to nie chodzi o nagość w potocznym znaczeniu, np. cielesnym, o eksplorację erotyczną. Jednak poeta się obnaża, a nawet powinien zapewne obnażać, zdjąć ciężkie ubiory, bo chodzi o prawdę, jakąś prawdę ze sfery jego życia, duszy i nagość (a więc szczerość, odwaga pokazania siebie) temu zamiarowi może służyć, jakaś nagość winna ciągle poecie towarzyszyć, odślaniać go, a nie zasłaniać. Byleby to nie była ścieżka trywialna, prostacka, prymitywna, wykombinowana, co się przecież zdarza. Może to nieco skomplikowane. Powiedziałem o wstydlivości, bo wiem, że czytelnik może oczekiwać słowa w wielkim znaczeniu, a tu, u mnie, znajdzie słowo zwyczajne, powszednie, z codzienności najczęściej. Podobne do jego słowa i życia.

Dobrze rozumiem, że chodzi Ci o taką nagość emocji, odślonięcie „miękkiego podbrzusza” i jednocześnie przeciętnego losu. Mówisz, że starasz się bardziej o prawdę w poezji (niekreatację). Nie boisz się, że w ten sposób pokazujesz swoje podatne na zranienia miejsca?

Tak, bardziej interesuje mnie wymiar prawdy. Czemu zostawiać i odchodzić od ogromu rzeczy-

wistości, choćby tej wewnętrznej lub otaczającej, na rzecz kreacji. A tak na marginesie, nigdy całkowicie z kreacji nie da się zrezygnować. Zakładasz, że w takim podejściu pokazują swoje miejsca podatne na zranienie. Nie bardzo rozumiem, czemu miałyby być zraniona moja podmiotowość. Oczywiście wchodzenie w twórczość stanowi jakieś ryzyko, gdyż komuś styl, myśl, diagnoza rzeczywistości może wydać się obca, a nawet nie do przyjęcia z wielu względów. Trzeba wiedzieć, dlaczego broni się swojej racji, trzeba mieć dozę pewności, że wyraża się coś ważnego. Pewne sprawy dadzą się odnieść do dzieciństwa i dorastania, gdyż zostają w obrazie biografii, ale nie wszystko takim kluczem da się wyjaśnić. Chodzi nie tylko o psychoanalizę śladów w podświadomości, ale o system refleksji i wartości, któremu słowo poetyckie chce dać wyraz. Ten dyskurs jest w moich wierszach obecny.

Zamknij oczy i opowiedz Twój szkolny dzień sprzed 54 lat. Pamiętasz jakieś szczegóły? Zapach? Kolory? W której ławce siedziałeś?

Kontakt i różne pasje w szerokim wymiarze w pełni miałem tylko z Mietkiem. Ale to niekoniecznie były wielce intelektualne dialogi. Raczej emocjonalna więź. Poczucie wspólnej sprawy. Mietek bardzo nasz kontakt cenił aż do końca życia. Ostatnią jego książkę zredagowałem z rękopisu wraz z biograficznymi fotografiami, które obrazują całe jego życie. Trzeba, jak widać, robić zdjęcia, bo one też znaczą. Liceum jednak dało mi dużo, nie tyle na płaszczyźnie pilności i sumienności uczenia się, bo szło to z oporami i różnie, każda zaległość, np. matematyczna, skutkowałą dalszymi kłopotami, ale reguła szkolna wyposażała w coś niezwykłego, w smak dojrzałości – bym powiedział, w konieczność wysiłku, w tym czasie dotarło do mnie, że trzeba się dyscyplinować i pracować. Zasada życia samodzielnego oznaczała wysiłek, tego ciężaru nie doceniałem, pisałem wiersze i łudziłem się, że to wystarczy, a to inne potrzebne nawet samo jakoś pojawi się. Tak się toczyło wszystko. A reszta życia, którą już znam, była dopiero przede mną. Pamiętam dobrze, w której klasie i gdzie siedziałem, w jakiej ławce, pamię-

tam twarze nauczycieli, ich miny, głos, stosunek do mnie, jedni byli wyrozumiali, inni mniej wyrozumiali, pewien nauczyciel bez żadnego powodu uderzył mnie otwartą dłońią w twarz, a inny wyświadczył ogromną pomoc, więc na ogół były relacje pozytywne. Zachowuję o tym wzruszającą pamięć. Nie zostałem robotnikiem budowlanym tylko dlatego, że do liceum, gdzie dyrektorem był Zbigniew Czarnuch, we wrześniu 1964 roku zaprowadził mnie mój niedawno zmarły brat Kazimierz. To było z jego strony świadome, ogromnie skutkujące dokonanie, największe wobec mnie. Bieg całego mojego późniejszego życia tu miał swój początek.

Możesz coś więcej opowiedzieć o Twoim bracie i relacji z nim? Dzieliło Was sporo lat? Wspominałeś kiedyś, że powiedział kolegom, że o Tobie jeszcze usłyszą. Czy rodzicom wtedy podobała się ta ingerencja brata w Twoje losy?

Ja jestem najmłodszym z dzieci moich rodziców, a brat Kazimierz, o którego pytasz, był najstarszy. Urodzony w 1935 roku. Nie poddawał się sentymentalom, uzalaniem. Łamał różne przeszkody i opory. Był odważny, dochodził prawdy i sprawiedliwości. Z tego powodu też często imają się go różne kłopoty. Tak się złożyło, że tylko z nim przez wszystkie lata utrzymałem stały, żywy kontakt, zwłaszcza w kilku ostatnich latach życia, gdy zostawiła go i nękała na różne sposoby jego rodzina, mimo podeszłego wieku. Starałem się więc, na ile potrafiłem i miałem czas, być obecnym, gdy mnie potrzebował. I jego różne sprawy i myśli są mi znane, chociaż nie wszystkie. Jeszcze w dzieciństwie on jakoś mnie zauważał. Mówił, kim będę. Interesował się. I miał intuicję. To był wybitnego charakteru i umysłowości człowiek, przechodził ciężkie realia życiowe (np. wypadek, ciężka praca), ale w wytrwały sposób sobie z nimi radził, że tylko mogę żywić uznanie i podziw. Twardy człowiek, który do wszystkiego doszedł codzienną pracą, może aż z nadto – był ciągle zapracowany. Ja w jego sytuacji już dawno poniósłbym klęskę. I jego dotykały klęski, ale się z nich podnosił. On w moje losy zasadniczo nie ingerował, a jeśli już mu się zdarzało, to były to dobre ingerencje. Nic do tego nie mieli ro-

dzice, prości ludzie, oni sami niewiele sobie uświadamiali, z tego, jak żyję, co myślę, co mnie dotyka itp. Nie otwierałem się zanadto. Nawet ze swoją poezją. Ale ich sprawy bardzo odczuwałem. Widziałem trudy życia, biedę, staranie się o byt. A z bratem było tak, że on też mógł na mnie liczyć, bo byłem pod ręką, więc pomaganie sobie nawzajem wchodziło w grę – to ważne. Bywałem w jego warsztacie, pomagałem mu w budowie domu, w chorobie, w załatwieniu spraw. Więć i rozumiałem.

Czy bardziej realna (konkretna, dotykalna) wydaje Ci się przeszłość (dzieciństwo), czy współczesny (często wirtualny) świat? Mam wrażenie, że każde „tutaj” przypomina Ci jakieś „tam” i że zderzenie tych dwóch perspektyw nie wypada korzystnie dla „teraz”.

Oczywiście wtedy, w przeszłości, w dzieciństwie, żyłem realnie, tak jak teraz realnie, oddycham, jem, jestem zmęczony. Wtedy uczyłem się znaczenia i właściwości świata, którego liście, wodę, drewno, piasek pierwszy raz brałem do ust, dotykałem ognia. Ale już tej dotykaności, a raczej tamtej dotykaności nie doświadczam, czasem nawet chciałbym sobie ją przypomnieć, uzmysłowić jej treści, które także były jakimiś smutkami i tęsknotami, związanymi z tym, co odczuwałem jako najbliższe. Jednak tamta rzeczywistość już się zasnuwa jakby mgłą, zacierają się fakty, kształty, przestają być pamiętane słowa, twarze i zbiory rzeczy, wyglądy rzeczy, ich lokalna topografia i imiona ludzi. Jednak pozostała pewność, że to nie był świat wymyślny, wirtualny, tak jak nam teraz jakieś moce zewsząd próbują podpowiadać prawdziwość wątpliwą, bo nic jej nie poświadcza ani nie gwarantuje obowiązywalności, ale prawdziwy, i w tamtej prawdziwości oczywiście bywałem szczęśliwy i także cierpiałem z powodu określonych zawodów lub niespełnień. Wtedy poznawałem i nie bałem się, wiedziałem lub raczej czułem, że to wszystko, co widzę, jest na miarę człowieka, może być przyjmowane. Teraz natomiast nie wiem, na jaką miarę jest konstruowany ten świat i prawdę mówiąc, czasami boję się, że konstruowany jest, by zastąpić rzeczywistość, a to już jakby przeciw człowiekowi, jakby nie

były na serio brane skutki ani konsekwencje, jakby nie trzeba było się zastanawiać ani przejmować, nawet przestępstwa próbuje się widzieć relatywnie. Weszliśmy więc w inny zupełnie świat, którego znaczenia tak naprawdę nie znamy. Bo ten świat już nie trwa w oparciu o jakieś stałe miary, ale konstytuuje go zmienność. Wirtualności i relatywizm – to jest nowe, kiedyś w kulturze, w życiu społecznym zupełnie niebrane pod uwagę w wielkiej skali.

W jaki sposób pierwszy raz doświadczyłeś kruchości istnienia? Kiedy poczułeś tak głęboko, że przeminiesz jak wszyscy, że ten las, do którego chodzisz, obędzie się bez Ciebie, że Twoje sprawy, kłopoty znikną? Czy ta myśl napędza Cię twórczo?

Moim zdaniem każda refleksja, która ma znaczenie, wynika z doznania znikomości człowieka. Poeci niekiedy, a może nawet często, bywają zafascynowani w swoim tworzeniu. Już zbiorek *Okolica słońca* wydany w 1978 roku, a więc gdy byłem jeszcze dość młody, podnosi kategorię kruchości istnienia nie tylko podmiotowego, ale i otaczającego świata. Nie było to zwątpienie w sens i ważność pracy ani abnegacja, ale przekonanie, że nie obejmuję całości spraw świata, nie odsłaniam jego tajemnicy, lecz zapisuję fragment, chwilę, obraz, aspekt, jedno spostrzeżenie. Obok jest nieobjęta wielość piękna i dramatu, i tragedii, która nie weszła do moich zdań. W ogóle myślenie o życiu uzyskuje prawdziwą miarę, gdy obejmuje jego tymczasowość, przemijanie, znikanie. Trzeba ten ład mentalnie przyjąć, bo co innego? To, owszem, nie takie łatwe. Wyzwalają się retoryczne pytania. Dużo by mówić. Problemem, który w tej sytuacji mnie obchodzi, jest to, czy nie rozmiyam się ze swoim doświadczeniem, czy nie konfabuluje, czy nie oddalam się od tego, co można nazwać prawdziwością głosu poetyckiego. Pracuję, by jakąś część siebie, to, co się mi udało, wyrazić, zostawić, a już zupełnie inną kwestią są nawiedzające mnie nieuchronnie, bo nie żyję bezmyślnie, jakieś wewnętrzne, eschatologiczne rozważania o śmierci, że teraz jestem, a potem? Nic? Jednak tym wszystkim się nie obezwładniam, chcę robić swoje. Jeśli czytasz moje wiersze, to wiesz, jaki jest tego kształt.

W ostatnim Twoim tomiku *Późne lata* zmierzasz w kierunku podsumowań. Ale każde *résumé* pozwala też na swobodniejsze spojrzenie w przód. Jakie masz plany twórcze na kolejne lata?

Tak, w pewnym sensie te wiersze mają charakter jakiegoś podsumowywania, ale niekoniecznie, bo nie ma tu mowy o odkreślaniu żadną linią minionych lat tworzenia, chodzi w akcie twórczym o to samo, co było od początku, nie ma we mnie nowej rzeczywistości, świat jest jakoś ten sam, kiedyś był widziany w określony sposób, może wzbudzał fascynację, i wiarę, że jego ukazanie, czyli wyrażenie, daje odkrycie jedynie możliwe, może skłaniał także do naiwności, teraz ten sam kształt zdaje się odświeżać dalszą perspektywę, więc warto pisać o tym samym, nie wymyślać niczego innego, ale chodzi o pogłębienie poetyckiej orki, co nie oznacza powtarzania siebie, ale oczyszczenie jej z tego, co już nieko-

nieczne, czasem zbędne, nie cała rzecz w obrazowaniu, lecz w dodaniu refleksji, która ustala wartość, sens, opatrzenie tego, co jest akcentem ostateczności. Spojrzenie w przód nie jest swobodniejsze, nie da się bowiem zostawić ani wyrzucić w siebie niczego. To jest sprawa także zakorzenienia. Tożsamości, pamięci. To spojrzenie może raczej oznaczać chęć odkrycia szerszego obrazu, bogactwa ontologicznego, o którym może czytelnik powiedzieć, że to coś nowego, a tak naprawdę to nic nowego, krąg jest ten sam, lecz wzbogacony o doświadczenie całego życia. Tylko temat może być inny, właśnie, jakby nowy, jednak autor zawsze będzie, powinien być, ten sam. O ile poetycki mój świat nie ulegnie z jakiegoś powodu destrukcji, to chciałbym, no właśnie, bardzo, jeszcze coś powiedzieć, nie da się jednak tego zaplanować, wyznaczyć, napisać inaczej coś innego.

Dziękuję za rozmowę.



Małgorzata Mikołajczak

Nagroda Literacka im. A. K. Waśkiewicza dla Krzysztofa Fedorowicza za całokształt twórczości (laudacja)



Zacznę od refleksji osobistej. Kiedy rozpoczynaliśmy pracę w międzyuczelnianym zespole do badań nad literaturą regionalną, z pewną zazdrością spoglądałam na tzw. przedmiot badań, którym zajmowali się literaturoznawcy z innych akademickich ośrodków. W naszym regionie tworzyło wprawdzie wielu ważnych autorów, ukazało się tu również sporo interesujących książek, nie było jednak w tym czasie – a był rok 2012 – literatury, która proponowałaby wielowątkową, zanurzoną w przeszłość opowieść o miejscu, mającym bogatą i niezwykle ciekawą historię. Takiej ponadto, która ujmowałaby tę opowieść w nowatorską formę. A choć znane były już wówczas tomy poetyckie Krzysztofa Fedorowicza: *Apokryfy i fragmenty* (1994), *Martwa natura* (1998), *Podróż na zachód, podróż na wschód* (2010), wyróżniające się ze względu na ich tematykę i artyzm, to dopiero rok 2013 przyniósł utwór, który otworzył nowy rozdział literatury lubuskiej – i który za pomocą nowej poetyki mierzył się z niemiecką historią Zielonej Góry, oferując narrację o mieście „permanentnej jesieni”, o „ciepłej wyspie”, kiedyś niemieckiej, dziś polskiej, słynącej z upraw winnej latorośli.

Utwór *Grünberg*, bo o nim mowa, zainicjował nieobecny dotąd w polskiej literaturze gatunek: powieść enograficzną, tj. taką, która wysuwa na plan pierwszy motywy wina – winogron – winnej latorośli, by przy ich udziale ukazywać historię miejsca oraz zamieszkującej je społeczności. Kontynuacją tego nurtu stały się wydane w ubiegłym roku *Zaświaty. Opowieści o nieprzemijaniu*. W tym wypadku mamy do czynienia już nie tylko z artystycznie udaną próbą reaktywowania winiarskiej tradycji, ale z rozpisaną na wiele wątków i postaci wędrówką w przeszłość, w której to, co było, przenika się z „tu” i „teraz”, a to, co rzeczywiste, miesza się z fantazją. Dodajmy, że zawarte tu mikropowieści dotyczą różnych momentów z dziejów miasta (i okolic) i że ich splot został zaprojektowany tak, by wyrazić aurę miejsca.

Dzięki tym powieściom Zielona Góra objawiła się niejako na nowo. Na nowo też zaistniała w czytelniczej świadomości – stała się rozpoznawalna nie tylko poprzez swoje tradycje winiarskie, ale także ze względu na literaturę, która artystycznie przetwarza jej winiarską przeszłość. To za sprawą Krzysztofa Fedorowicza, co na koniec należy podkreślić, zielonogórska narracja enograficzna stała się zauważalnym nurtem w polskiej prozie. I to dzięki jego literackiej topografii, mistrzowsko ukazanej w powieściach i wierszach, nasz region zajął znaczące miejsce na mapie literackiej Polski. Dlatego nagroda, którą otrzymuje dzisiaj Krzysztof Fedorowicz, jest nagrodą nie tylko za *Zaświaty. Opowieści o nieprzemijaniu*, ale za całokształt.

Dorota Kaczmarek

11. Festiwal Literacki im. Anny Tokarskiej Proza Poetów w fotoreporterskim skrócie

W listopadzie 2021 roku zorganizowany został jesienny cykl spotkań i wydarzeń kulturalnych w ramach Festiwalu Literackiego im. Anny Tokarskiej Proza Poetów, którego pomysłodawcą i kuratorem programowym jest dr Andrzej Buck. Warto zaznaczyć, że to jedna z największych w regionie inicjatyw promujących literaturę. Przeprowadzony został w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze oraz w Parku Książęcym w Zatoniu w wariacie hybrydowym (bezpośrednim i online).



Na program tegorocznej Prozy Poetów złożyło się kilkanaście spotkań autorskich z uznanymi prozaikami i poetami, laureatami ogólnopolskich nagród literackich, autorami bestsellerów. Poniżej prezentuję gości Festiwalu z krótkimi o nich informacjami i osiągnięciami.

Imprezę zainaugurowano spotkaniem autorskim z **Łukaszem Orbitowskim**, pisarzem, publicystą i dziennikarzem, autorem opowiadań i powieści, m.in. *Horror Show*, *Tracę ciepło*, *Święty Wrocław*, *Szczęśliwa ziemia*. Jego powieści wielokrotnie były nominowane i wyróżniane w prestiżowych konkursach literackich. Jest laureatem Nagrody im. J. Zajdla, Paszportu „Polityki” za powieść *Inna dusza* (2016) oraz Nagrody Literackiej m.st. Warszawy za powieść *Kult* (2020). Spotkanie przeprowadzone w Sali im. Janusza Koniusza Biblioteki Norwida moderował Roman Wojciechowski.



W następnym dniu – 9 listopada zorganizowano spotkanie z **Piotrem Łopuszańskim**, filozofem, dziennikarzem, publicystą. Autor studiował historię sztuki i polonistykę. Od ponad 30 lat bada twórczość i życie Bolesława Leśmiana. Jest autorem pięciu książek o poecie: *Leśmian* (2000), *Zofia i Bolesław Leśmianowie* (2005), *Bolesław Leśmian. Marzyciel nad przepaścią* (2006), *Bolesław Leśmian w Warszawie* (2017), *Bywalec zieleni. Bolesław Leśmian. Biografia* (2021). Rozmowę z Piotrem Łopuszańskim prowadziła prof. Małgorzata Mikołajczak w siedzibie Biblioteki Norwida.



Kolejnym gościem Festiwalu była **Zofia Turowska**, pisarka, dziennikarka i reportażystka, autorka bestselleru *Agnieszki. Pejzaże z Agnieszką Osiecką*, współautorka kultowego reportażu *Kto tu wpuścić dziennikarzy?* oraz biograficznej opowieści Beaty Tyszkiewicz *Nie wszystko na sprzedaż*. Napisała również opowieść o Zofii Nasierowskiej *Fotobiografia*, biografię Janusza Majewskiego *Majewski. Film – kobieta jego życia* oraz kolejny literacki portret polskiej poetki *Osiecka. Nikomu nie żal pięknych kobiet* (2020). Premiera jej najnowszej książki *Gustaw. Opowieść o Holoubku* miała miejsce w marcu 2021 roku. Spotkanie poprowadziła Katarzyna Meller-Rebelska w dniu 10 listopada.



Ciekawym wydarzeniem cyklu Proza Poetów okazała się **Noc z Norwidem**, która odbyła się w Parku Książęcym w Zatoniu w nocy z 10 na 11 listopada 2021 roku. Gości powitali pomysłodawcy imprezy – dyrektor WiMBP dr Andrzej Buck i dr Jarosław Skorulski – gospodarz obiektu. Wydarzenie było okazją do obejrzenia oryginalnych rysunków Norwida, które w swoich zbiorach posiada zielonogórska księżnica oraz możliwością odkrycia niezwykłej twórczości tego wybitnego artysty. O cennym zbiorze opowiadała Maria Radziszewska, kierownik Działu Zbiorów Specjalnych zielonogórskiej WiMBP. Ponadto wystąpili artyści (Magdalena Faron, Alicja Stasiewicz, Lech Mackiewicz) prezentujący twórczość Cypriana Norwida. Spotkanie trwało do późnych godzin nocnych.



Spotkanie autorskie z **Radosławem Młynarczykiem**, to kolejny punkt cyklu. 12 listopada publiczność miała okazję posłuchać rozmowy z absolwentem polonistyki na Uniwersytecie Gdańskim, odkrywcą i edytorem młodzieńczej powieści Marka Hłaski *Wilk*, a także tomu juveniliów pisa-

rza *Najlepsze lata naszego życia*. Autor uczestniczył w pracach nad wydaniem listów i pamiętnika Hłaski, a także serii jego utworów wybranych. Ponadto jest współzałożycielem działającej przy Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Gdańskiego pracowni naukowej „Literackie Trójmiasto. Pracownia badań nad literacką obecnością Gdańska, Gdyni i Sopotu od początku XX wieku do współczesności”, stypendystą Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Stworzył biografię *Hłasko. Proletański księżę* (2020). Spotkanie poprowadził Klaudiusz Mirek. Wydarzenie zostało szerzej omówione w numerze w artykule Darii Żytyńskiej pt. *Hłasko, proletariacki księżę. Wydarzenie 11. Festiwalu Literackiego im. Anny Tokarskiej Proza Poetów* (s. 69).



Kolejny festiwalowy dzień – 15 listopada – i kolejny gość – **ks. prof. Andrzej Draguła**. Tym razem promowana była publikacja *Posty A*. Draguły, teologa i publicysty, stałego współpracownika „Tygodnika Powszechnego”, znawcy kultury popularnej, profesora nadzwyczajnego Uniwersytetu Szczecińskiego, pełniącego funkcję Przewodniczącego Rady Naukowej Instytutu Nauk Teologicznych. Spotkanie prowadziła dr Iwona Peryt-Gierasimczuk w Sali im. Janusza Koniusza WiMBP.



Wanda Michalak spotkała się z publicznością festiwalową 16 listopada 2021. Michalak jest autorką książki *Literackie Noblistki. Piętnaście lasek dynamitu*, wydanej przez Vis-a-Vis w 2020 roku. Promowana książka to oryginalny opis życia i dzieła 15 pisarek, które w latach 1909-2018 otrzymały za swoją twórczość najbardziej prestiżową nagrodę świata. Dlaczego właśnie one? I dlaczego jest ich tak mało, skoro aż 101 literackich Nagród Nobla trafiło w ręce mężczyzn? Na te i inne pytania odpowiadała Wanda Michalak na spotkaniu moderowanym przez dr Joannę Kapicę-Curzytek.



Dzień później odbyło się spotkanie autorskie z **Anną Król**, scenarzystką i reżyserką spektakli teatralnych i projektów audiowizualnych, wydawczynią, pomysłodawczynią i dyrektorką festiwalu literackiego – Big Book Festival, autorką książek: *Rzeczy. Iwaszkiewicz intymnie*, *Spotkać Iwaszkiewicza. Nie-biografia oraz Kamienny sufit*. *Opowieść o pierwszych tatenniczkach*. Spotkanie prowadziła Magdalena Faron.

18 listopada odbyło się zdalnie spotkanie autorskie z **Justyną Sobolewską**, krytyczką literacką, pisarką i dziennikarką związaną na stałe z tygodnikiem „Polityka”. Autorka zbioru esejów *Książka o czytaniu*, wyboru opowiadań Kornela Filipowicza *Moja kochana, dumna prowincja* i biografii Kornela Filipowicza *Miron, Ilia, Kornel. Opowieść biograficzna o Kornelu Filipowiczu*. Autorka jest laureatką PIK-owego Lauru przyznanego przez Polską Izbę Książki za popularyzację czytelnictwa w kategorii mediów drukowanych. Zasiada w jury Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej „Silesius” oraz w kapitule Nagrody Literackiej im. Witolda Gombrowicza i Nagrody Literackiej m.st. Warszawy.

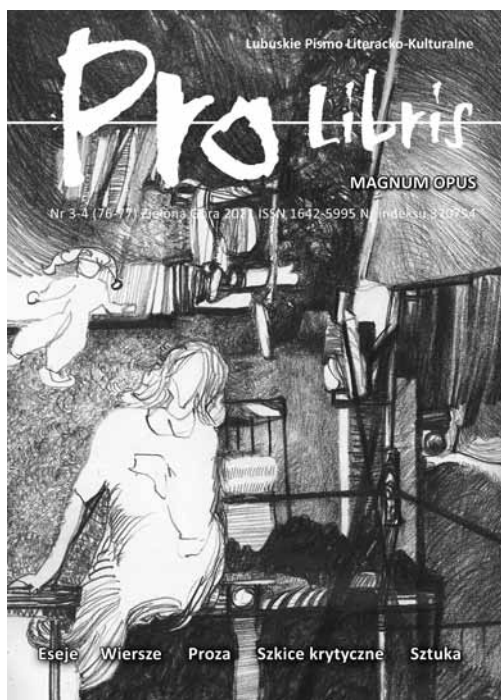


Premiera powieści *Szwindel w Grünbergu* **Alfreda Siateckiego**, prozaika, dziennikarza, redaktora, publicysty, reportażysty, autora słuchowisk, odbyła się jako kolejne wydarzenie Prozy Poetów 19 listopada. Spotkanie autorskie poprowadził Andrzej Flügel.



23 listopada zorganizowano **Turniej poetycki na interpretację wiersza Anny Tokarskiej**, który poprowadziła Agnieszka Ginko-Humphries.

Podczas Turnieju odbyła się ponadto **promocja czasopisma „Pro Libris” numeru 3-4 (76-77) 2021** zarekomendowanego przez sekretarza redakcji Ewę Mielczarek.



Dzień później, 24 listopada, zorganizowano **CZYTELNIĘ DRAMATU** w tonacji grozy – *Warkocz Amelii* Stefana Grabińskiego z muzyką Jakuba Kotowskiego. Koordynacją wydarzenia zajął się dr Janusz Łastowiecki, natomiast pomysłodawcą cyklu jest dr Andrzej Buck.



25 listopada odbyło się zdalne spotkanie z **Kordianem Piwowarskim**, reżyserem filmowym i scenarzystą, artystą sztuki video, kompozytorem muzyki elektronicznej. Zrealizowane przez artystę filmy to m.in. *Miszmasz czyli Kogel Mogel 3*, *Baczyński*, *Jaskinia Filozofów*. Za scenariusz do oparte-

go na życiorysie Stanisława Przybyszewskiego filmu *Żółty płaszcz* K. Piwowarski otrzymał Nagrodę Fundacji im. Andrzeja Munka. Rozmowę o książce *Nagie dusze* (2021) moderował dr Janusz Łastowiecki.



Koncert Galowy Prozy Poetów i Zielonogórskiego Salonu Poezji otworzył jego gospodarz, a zarazem prowadzący – dr Andrzej Buck, promując płytę *Tequila i sól* z udziałem duetu: Grzegorz Tomczak – poeta, kompozytor, autor tekstów piosenek, artysta estradowy oraz Iwona Loranc, śpiewająca aktorka związana z Teatrem Buffo i Teatrem Komedia. Koncert z wieloma bisami artystów miał miejsce 30 listopada w Sali im. Janusza Koniusza w Bibliotece Norwida.



Kolejną i już ostatnią atrakcją była premiera książki *Umami. Opowieści i przepisy* **Joanny Brodzik**, aktorki filmowej i telewizyjnej, który odbył się 2 grudnia jako Postscriptum Festiwalu.

Organizatorzy: Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, Dyskusyjne Kluby Książki oraz Fundacja Ogrody Kultury i Park Książęcy w Zatoniu.

Patronat Honorowy: Marszałek Województwa Lubuskiego Elżbieta Anna Polak.

Zrealizowano przy pomocy finansowej Instytutu Książki oraz Urzędu Marszałkowskiego Województwa Lubuskiego.



Cennym aranżacyjnym tłem towarzyszącym Festiwalowi była **wystawa Krakowiak – malarstwo, rysunek, ceramika**. Podczas Prozy Poetów zorganizowano wernisaż wystawy (4 listopada 2021) z okazji 80. urodzin znakomitego malarza, rysownika, pedagoga. Henryk Krakowiak studiował na Wydziale Malarstwa w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Gdańsku (1961-1967) – malarstwo, ceramikę i pedagogikę. Dyplom uzyskał w pracowni prof. Krystyny Łady-Studnickiej i prof. Hanny Żuławskiej (1967). Od 1967 roku jest członkiem Zielonogórskiego Okręgu ZPAP. Wystawa czynna do końca listopada cieszyła się dużym zainteresowaniem licznie zgromadzonej publiczności.



Daria Żytyńska

Hłasko, proletariacki książę.

Wydarzenie 11. Festiwalu Literackiego im. Anny Tokarskiej Proza Poetów

12 listopada 2021 roku miało miejsce spotkanie z Radosławem Młynarczykiem, autorem najnowszej biografii *Hłasko, proletariacki książę*. Promocja książki była powiązana ze spotkaniem autorskim z okazji 11. Festiwalu Literackiego im. Anny Tokarskiej Proza Poetów.

Godzinna rozmowa rozpoczęła się od przybliżenia sylwetki pisarza oraz odkrytej przez niego, nieznaney dotąd powieści *Wilk* Marka Hłaski. Prowadzący spotkanie zwrócił szczególną uwagę na aspekt edytorski *Wilka*, bowiem podstawą książki była praca magisterska Młynarczyka, do której napisania i opublikowania zachęcił go jego wykładowcy. Autor w wyczerpujący sposób opowiadał o aspektach pracy biografisty i życiu Hłaski. Postać jest na tyle barwna, że twórczość Hłaski jest w stanie porwać, czy nawet uwieść młode pokolenia. Rozmowa była urozmaicona nie tylko anegdotami z życia Hłaski, ale również spostrzeżeniami na temat renesansu biografizmu i popularności samego autora, ta ostatnia bowiem ma charakter sinusoidalny, raz przeżywa swój szczyt, by za dziesięć lat zaniknąć i odrodzić się w kolejnej dekadzie.

Młynarczyk bez ogródek przyznał się również do pewnego rodzaju „bezcelności”, czyli personalnych wycieczek i bezpardonowej oceny działań obiektu swojej biografii. Jak dowodził, trudno pozostać obojętnym wobec tak ekscentrycznej postaci, szczególnie opisując jego stosunek do kobiet. Ta biografia jest również wyjątkowa pod tym względem, że nie uwłacza, ani nie wybiela postaci opisywanej. Młynarczyk przedstawiał „proletariackiego księcia” jako twórcę przede wszystkim napędzanego mrokiem, mierzącego się w swoim pisarstwie z kilkunastoma problemami psychicznymi, do tego cenzurą i własną legendą.

Szczególnie ciekawymi momentami spotkania była opowieść o kwestii odmitologizowania samej postaci, a także przekazanie publiczności ustaleń na temat śmierci Komedy. Radosław Młynarczyk opowiadał również o swoich podróżach po polskich archiwach, poszukiwaniu i zestawianiu ze sobą źródeł, a także problemach z nimi, zmuszony był bowiem dokonywać scaleń między pęknięciami w legendzie. Powoływał się na to, że nie sposób ustalić więcej niż tylko kilku informacji z podróży Hłaski. Stojąc przed takim dylematem, autor zdecydował się fabularyzować niektóre wątki, ukazując najprawdopodobniejszą wersję wydarzeń. Zależało mu też na opisanu obiektu swojego zainteresowania nie tylko jako człowieka, ale również twórcy.

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Cyprjana Norwida w Zielonej Górze

11. Festiwal Literacki
im. Anny Tokarskiej

Spotkanie autorskie
RADOSŁAW MŁYNARCZYK

Spotkanie autorskie z Radosławem Młynarczykiem o książce *Hłasko, proletariacki książę* i powieści *Wilk* Marka Hłaski.

Prowadzenie **Klaudiusz Mirek**

12 listopada 2021, godz. 18.00
Sala im. Janusza Koniusza, Biblioteka Norwida, al. Wojska Polskiego 9
Wstęp przy zachowaniu zasad reżimu sanitarnego

Informacja@biblioteka.agns.pl www.biblioteka.agns.pl fb.com/biblioteka.norwida fb.com/10aracki.norwida

Organizator: Biblioteka Publiczna im. Cyprjana Norwida w Zielonej Górze
Partnerzy: Urząd Miasta Zielona Góra, Biblioteka Publiczna im. Anny Tokarskiej w Zielonej Górze, Biblioteka Publiczna im. Józefa Piłsudskiego w Zielonej Górze, Biblioteka Publiczna im. Mikołaja Kopernika w Zielonej Górze, Biblioteka Publiczna im. Stanisława Brzysławy w Zielonej Górze, Biblioteka Publiczna im. Władysława Gorkiego w Zielonej Górze, Biblioteka Publiczna im. Władysława Reymonta w Zielonej Górze, Biblioteka Publiczna im. Władysława Stanisława Reymonta w Zielonej Górze, Biblioteka Publiczna im. Władysława Stanisława Reymonta w Zielonej Górze, Biblioteka Publiczna im. Władysława Stanisława Reymonta w Zielonej Górze

Robert Rudiak

60-lecie Oddziału ZLP w Zielonej Górze – podsumowanie

13 października 1961 roku uchwałą Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich powołano do życia jako 13 w kraju zielonogórski Oddział ZLP, wcześniej niż w takich miejscowościach jak Rzeszów, Koszalin, Białystok... 4 listopada w Zielonej Górze nastąpiła inauguracja działalności nowego Oddziału, składającego się z 6 członków-założycieli, a dwa dni później ukonstytuował się jego pierwszy zarząd, na czele którego stanął Bolesław Soliński, ówczesny redaktor naczelny dwutygodnika „Nadodrze”. Wśród pierwszych, przyjętych w poczet ZLP członków znaleźli się m.in. Janusz Koniusz, Zdzisław Morawski, Eugeniusz Wachowiak, Irena Dowgielewicz i Henryk Szyłkin – młodzi pionierzy lubuskiej literatury oraz Włodzimierz Korsak – gawędziarz i przyrodnik, przedwojenny członek Związku oraz Bronisława Wajs znana jako Papusza – pierwsza na świecie romska poetka, najbardziej rozpoznawalna dziś autorka lubuska.

Pierwsza część obchodów jubileuszu 60-lecia Oddziału ZLP zainaugurowana została dokładnie 13 października 2021 roku w Bibliotece Uniwersytetu Zielonogórskiego. Najpierw otwarto wystawę fotograficzno-książkową „Literaci Oddziału ZLP 1961-2021 – Dorobek literacki członków ZLP w Zielonej Górze”, dokumentującą dorobek najwybitniejszych zmarłych pisarzy, którzy byli jego członkami, jak: Andrzej K. Waśkiewicz, Zygmunt Trziszka, Mieczysław Warszawski, prof. Jan Kurowicki, dr Michał Kaziów, Tadeusz Jasiński, Jan Gross, Ireneusz K. Szmidt, Kazimierz Furman, Witold Niedźwiecki czy Bronisław Słomka. Wystawę przygotowaną przez Donatę Wolską – córkę pioniera literatury lubuskiej Janusza Koniusza i Roberta Rudiaka, otworzyła dyrektor księgarni Ewa Adaszyńska.





Następnie w sali konferencyjnej biblioteki odbyła się konferencja literacko-naukowa pt. „Literatura osadnicza jako narracja założycielska Ziemi Lubuskiej”, która miała się odbyć już w roku ubiegłym z okazji 100-lecia ZLP, jednak z uwagi na pandemię przeniesiono ją na tegoroczne obchody jubileuszu Oddziału. W trakcie konferencji wystąpili pracownicy naukowcy Uniwersytetu Zielonogórskiego: prof. dr hab. Małgorzata Mikołajczak – współorganizatorka konferencji, prof. dr hab. Wiesław Hładkiewicz, dr Kamila Gieba, dr Katarzyna Meller-Rebelska z Uniwersytetu A. Mickiewicza, Barbara Nau z Zielonogórskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku i przedstawiciele ZLP: dr Robert Rudiak – prezes Oddziału zielonogórskiego, Eugeniusz Kurzawa – prezes honorowy ZLP w Zielonej Górze, Andrzej S. Cieślak – prezes Oddziału ZLP w Olsztynie. Obecna była także prezes Oddziału ZLP w Koszalinie Ludmiła Janusewicz. Profesor Mikołajczak przypomniała również postać niedawno zmarłego prof. Czesława P. Dutki – teoretyka i socjologa literatury, który przez wiele lat pracował naukowo w Wyższej Szkole Pedagogicznej im. T. Kotarbińskiego w Zielonej Górze, gdzie pełnił funkcję prodziekana Wydziału Humanistycznego, a następnie jako pierwszy rektor Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej im. Angelusa Silesiusa w Wałbrzychu.

Z kolei Barbara Nau przypomniała postać Eugeniusza Paukszty z Poznania, piewcy i epika tzw. Ziemi Odzyskanych, pierwszego pisarza, który w latach 50. wprowadził Ziemię Lubuską i jej stolicę na karty literatury krajowej oraz wspomagał merytorycznie krystalizujące się w Zielonej Górze środowisko literackie. Konferencję zakończyła debata z udziałem pisarzy – Zofii Mąkosy i Alfreda Siateckiego.

Stan kadrowy zielonogórskiego Oddziału ZLP w październiku 2021 roku wynosił dokładnie 30 osób, gdyż nową członkinią została Halina Bohuta-Stapel, poetka, autorka ballad, legend, fraszek, satyr i limeryków oraz słuchowisk. Wydała sześć tomików wierszy oraz zbiorki scenariuszy i esejów, a także wydała płytę z piosenkami kabaretowymi. Członkami zielonogórskich struktur ZLP są pisarze pochodzący głównie z południowej części województwa lubuskiego, ale także autorzy zamieszkali w województwach ościennych: wielkopolskim i dolnośląskim. Pisarze z północnej części województwa lubuskiego należą do Oddziału w Gorzowie Wielkopolskim, wyodrębnionym ze struktur zielonogórskich najpierw jako Klub Literacki ZLP, a następnie, od 2004 roku jako 22 oddział terenowy w kraju.

26 października 2021 roku w Sali Kolumnowej Urzędu Marszałkowskiego Województwa Lubuskiego w Zielonej Górze w trakcie uroczystej sesji sejmiku lubuskiego wręczone zostały przez przewodniczącą-

go sejmiku i marszałka lubuskiego Odznaki Honorowe za Zasługi dla Województwa Lubuskiego. Przyznano je sześciorgu pisarzom lubuskim: Władysławowi Klępce, Alfredowi Siateckiemu i Zbigniewowi Kozłowskiemu za 2020 rok i Katarzynie Jarosz-Rabiej, Jolancie Pytel i Robertowi Rudiakowi za 2021 rok.

Z kolei 25 listopada na wniosek zielonogórskiego Zarządu Oddziału ZLP Sejmik Dolnośląski uhonorował we Wrocławiu dwóch pisarzy zamieszka-

buskiego odznaczeń Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego – brązowy medal Zasłużony Kulturze – Gloria Artis otrzymali prof. Wiesław Hładkiewicz i dr Robert Rudiak, a Odznakę Honorową Zasłużony dla Kultury Polskiej – poetka i redaktorka Jolanta Pytel.

Odnaczenia branżowo-związkowe, czyli Odznaki Honorowe ZLP dla pisarzy-członków Oddziału o najdłuższym stażu wręczył prezes Zarządu Głównego



łych w Głogowie – Tadeusza Kolańczyka i Krzysztofa Jelenia, wręczając im srebrne Odznaki Honorowe Zasłużony dla Województwa Dolnośląskiego. Również na wniosek zielonogórskiego Oddziału ZLP kolejny jego członek został wyróżniony, bowiem Sejmik Województwa Wielkopolskiego w Poznaniu swoją Odznakę Honorową „Za Zasługi dla Województwa Wielkopolskiego” przyznał Adamowi Żuczkowskiemu z Wolsztyna.

Druga część obchodów jubileuszowych Oddziału połączona była z 12. Galą Literacką, która tradycyjnie odbyła się w ostatni piątek, 26 listopada w Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze. Tegoroczną galę Oddział ZLP współorganizował z Towarzystwem Miłośników Zielonej Góry „Winnica”, które od siedmiu lat przyznaje własne nagrody literackie. Galę rozpoczęto od wręczenia przez wojewodę lu-

nego ZLP w Warszawie Marek Wawrzekiewicz. Srebrne Odznaki otrzymali: dr Włodzimierz Kwaśniewicz – wiceprezes, Katarzyna Jarosz-Rabiej – sekretarz, Dorota Muszyńska, Adam Żuczkowski i Alfred Siatecki, były prezes Oddziału w latach 1992-1996 i autor z drugim najdłuższym stażem związkowym (od 1985 roku), natomiast Złote – redaktor Anna So-



becka z Gdańska i prezes Oddziału dr Robert Rudiak – członek ZLP od blisko 30 lat.

Po raz dwunasty Kapituła pod przewodnictwem prof. dr hab. Małgorzaty Mikołajczak przyznała Nagrodę Literacką im. Andrzeja K. Waśkiewicza. W tym roku otrzymał ją Krzysztof Fedorowicz – poeta, prozaik, eseista, ostatnio także nominowany do Nagrody Nike. Pozostali nominowani to: powieściopisarka Zofia Mąkosa, dwukrotna zdobywczyni Waw-

wrzone przez Donatę Wolską powędrowały do gości spoza Zielonej Góry – dr Krystyny Kamińskiej z Gorzowa Wielkopolskiego, krytyczki literackiej i redaktor naczelnej „Pegaza Lubuskiego” oraz prezesa ZLP Marka Wawrzekiewicza za wieloletnie wspieranie działań środowisk pisarskich na Ziemi Lubuskiej.

Nagrody przyznawane przez Towarzystwo „Winnica” w tym roku trafiły w ręce dwóch twórców zielonogórskich. Kapituła pod przewodnictwem pre-



rzynu i Marcin Radwański, prozaik i poeta, autor powieści sensacyjnych. Fedorowicz to czterokrotny zdobywca Lubuskiego Wawrzynu Literackiego, autor lub współautor dziesięciu książek i arkuszy poetyckich, członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, na co dzień zajmujący się uprawą winorośli i produkcją wina. Kryształową statuetkę i dyplomy wręczyli wspólnie: red. Anna Sobecka – wdowa po patronie nagrody i prezes honorowy Eugeniusz Kurzawa.

Po raz trzeci wręczono także uznaniowe nagrody – Laur Literacki im. Janusza Koniusza. W tym roku statuetki



zesa TMZG „Winnica” Ryszarda Błażyńskiego przyznała Zielonogórską Nagrodę Literacką „Winiarka” prozaikowi Przemysławowi Piotrowskiemu, autorowi poczytnych powieści kryminalnych, thrillerów politycznych i horrorów w ostatnim czasie sygnowanych przez wydawnictwo Czarna Owca. Piotrowski to były dziennikarz „Gazety Lubuskiej”, autor dziesięciu książek, tegoroczny laureat Nagrody Kulturalnej Prezydenta Miasta Zielona Góra.

W kategorii zbiorowej Zielonogórską Nagrodę Literacką „Winiarka” przyznano po raz drugi, w tym roku otrzymała ją Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, a statuetkę winiarki z rąk prezesa Towarzystwa odebrał rektor UZ prof. dr hab. Wojciech Strzyżewski. Oficyna UZ kierowana przez Franciszka Ruńca w ostatnich latach wydaje poza książkami naukowymi także publikacje beletrystyczne, nagradzane w konkursach za walory edytorskie, a ich autorzy otrzymywali lub byli nominowani do regionalnych nagród literackich.



Towarzystwo „Winnica” ufundowało także nagrody dla laureata Konkursu Literackiego na Utwór o Zielonej Górze, czyli statuetkę, nagrodę finansową i wydanie książki. Jury w składzie prof. UZ dr hab. Marta Ruszczyńska, Eugeniusz Kurzawa i Alfred Siatecki nagrodiło troje autorów. Zwycięzcą konkursu został zielonogórski historyk, satyryk i autor komiksów Igor Myszkiewicz, a nominacje uzyskali: Klaudia Potoczek z Krzeszowic koło Krakowa i Eugeniusz Adam Lutycz z Krosna Odrzańskiego.



Galę swoją obecnością zaszczylili m.in. wicewojewoda lubuski dr Wojciech Perczak, kierownik Departamentu Kultury Urzędu Marszałkowskiego Województwa Wielkopolskiego Włodzimierz Mazurkiewicz i prezes Oddziału ZLP w Poznaniu Ares Chadzinikolau.

Jako przerywnik muzyczny gali wystąpił zespół Atawizm, którego wokalistką jest Zofia Ścigaj, która śpiewała liryczne piosenki. Zosia jest uczennicą liceum, gra na gitarze, sama tworzy teksty utworów i komponuje muzykę, a także pisze wiersze i zamierza rozwijać swoje uzdolnienia artystyczne i pasje poetyckie.

W czasie uroczystości promowano również najnowsze publikacje Towarzystwa „Winnica” i Oddziału ZLP – najnowszy numer czasopisma „Na Winnicy” redagowanego przez Alfreda Siateckiego oraz almanach członków ZLP – *Literackie początki... Wypowiedzi i utwory pisarzy lubuskich* pod redakcją Roberta Rudiaka, a także zbiór materiałów pokonferencyjnych *Literatura osadnicza jako narracja założycielska Ziemi Lubuskiej* pod redakcją naukową prof. Wiesława Hładkiewicza i dr. Roberta Rudiaka, wydany przez Uniwersytet Zielonogórski i ZLP. Oba

wydawnictwa ukazały się w ramach obchodów jubileuszowych Oddziału ZLP z bogatym materiałem zdjęciowym oraz rysem historycznym zielonogórskiego Oddziału i aktualnymi wykazami statystyczno-personalnymi.

Spośród 76 autorów, którzy byli członkami zielonogórskich struktur w latach 1961-2021, 35 już nie żyje, a 12 odeszło do innych oddziałów ZLP (Gorzów Wlkp. i Poznań) lub do SPP, bądź całkowicie zrezygnowało z członkostwa. Oddział przez ten czas miał siedmiu prezesów, wydał kilkadziesiąt książek, antologii, almanachów i różnych publikacji, wydaje własny kwartalnik „Pasje Literackie” i filmy dokumentalne o pisarzach lubuskich, upamiętnia zmarłych i zasłużonych dla Związku twórców, współorganizuje kilka konkursów literackich (im. E. Paukszty w Kargowej i o Laur Dziewina w Żarach) i jest partnerem wydarzeń kulturalnych (Lubuski Wawrzyn Literacki, Festiwal Literacki Proza Poetów im. Anny Tokarskiej). Za swoją działalność otrzymał m.in. zespołową Nagrodę Kulturalną Prezydenta Miasta Zielona Góra, Odznakę Honorową za Zasługi dla Województwa Lubuskiego i Zielonogórską Nagrodę Literacką „Winiarka”.



Urszula M. Benka

Pozwól tej miłości płynąć, ale nie wchodź do wody

– zaklinała Ewa Sonnenberg.

Cóż, ściągłam sandały. Zastanawia mnie rzeka, której żwir jest zupełnie jak szlachetne kamienie. *Rok ognistego smoka* z 2009, tomik pod wieloma względami niezwykły, nie odbił się echem, coś wessało go w próżnię. To zdumiało autorkę. Błyskotliwy debiut, *Hazard* (1995, po prawie czteroletniej nieugiętej korekcie samego Marka Garbali), z Nagrodą Literacką im. Georga Trakla – i nic? Później *Kraina tysiąca notesów* i *Planeta* (oba tomiki w 1997), z tą przecież szprycą śmiałych semantycznych zdereżeń, asamblażu mott, cytatów, aluzji, wybiły się! Także bywanie wszędzie, gdzie krytycy (co wyzna w już nerwowych lirykach proza: „właściwie nie marzyłam, raczej planowałam¹⁾), odrzucanie powściągliwie głębokich refleksji, jakie nacechowały poezję w kręgach aksamitnych rewolucji Środkowej Europy – i nic? Świat „dopierdalania, przypierdalania, i pierdolenia²⁾ potoczył się po pochylni. „Poezja jak instrukcja obsługi prawdy [...] prawda jest jak dupa”, wołała w tychże miniaturach, odredakcyjnie zestawionych momentalnie z Anne Sexton i Sycylią Plath. Tak, cisza. Ale wyda przecież kolejne i kolejne tomiki-okrzyki, „ogniste wozy napełnione wersami jak rozżarzonym węglem”, co przez tę jedną linijkę pięknie iskrzy w jej *Opowieści wigilijnej*, choć samorecenzja puentowana „nadludzką miłością” pośród gwiazd umierających, zgłiszcz i Piekieł, smakuje jak zebrane na bruku ogryzki zakazanych owoców³⁾. Dlatego od razu: poetki odtąd już nie odstąpi poczucie, że „Wiem że muszę wybrać życie między zdrajcami lub śmierć⁴⁾. Biada światu, jaki naruszył zawdzięczany

¹⁾ „Salon Literacki” 2017, Internetowa Gazeta Literacka, <http://salonliteracki.pl/new/new/prezentacje/869-ewa-sonnenberg/>.

²⁾ E. Sonnenberg, „Schizofrenia” limo i szach mat *Projekt*, „Helikopter” 6/2015, <https://opt-art.net/helikopter/6-2015/ewa-sonnenberg-szesc-wierszy/>.

³⁾ To metafora z wiersza Michała Fostowicza-Zahorskiego. Niżej wyjaśnię zasadność przywołania właśnie jego.

⁴⁾ E. Sonnenberg, *Świat miejscem prawdy*, „Helikopter” 5/2013, <https://opt-art.net/helikopter/5-2013/ewa-sonnenberg-siedem-wierszy/>.

ojcu ideał świata. Na „list ojca”, „żebrzący o miłość i litość dla swojej córki”, odpowie ona trwałym, nieodwracalnym potwierdzeniem ojcowskich pewników:

[...]

Ojcie jestem cała listem płonącym w odpowiedzi na twój list
Wiem że muszę wybrać życie między zdrajcami lub śmierć
Cała jestem listem jak ptaki przenoszone twoim oddechem
Krzyk przestrzeni w której to co zawołane jest wołającym
Rzucasz piasek moich wierszy pod stopy prześladowanych
Pustynia jest zbyt niema by nie znać jej wyboru
Pustynia jak krzyk przyjaciela piaski serca
Kamień inkrustowany łzami ojca jest moim piórem
Podłużne wejście błękitnego światła na moich ustach
Skrzynka pocztowa tego świata jest jak rozbity wrak⁵

Tak oto, pod romantyczną draperią, natykam się na fideizm – postawę, która wyklucza niesubordynację, która infantylizuje dziecko w jego wymiarze czystości, mianowicie braku skażeń wręczanymi mu gotowymi ustaleniami. I wzbudza nie stan wyzwolicielski psychiki, a ledwie adaptacyjną anarchię słowa: to właśnie potulność wymiatająca idoliów i flagowe slogany, lecz nie dająca tknąć mechanizmu zarządzania nam archetypami psychiki i brania jej na smycz przez wielkie media. Smycz to coś, co snuło się w wyobraźni Sonnenberg, aż stwardniało osobnym tytułem.

Tchnęła nienasyconym. Ładna, rozrzutna, wojażująca po konkursach lokalnych, po Europie, stale w kapryśnie krzykliwych strojach, recytująca z pamięci swoje wiersze na tle tańca panów w slipkach lub w ciemności, lub na tle japońskich wachlarzy, ekscytowała, imponowała, wzruszała. Po wrocławskiej Akademii Muzycznej – fortepian – obok pisarstwa u Macieja Słomczyńskiego studiowała na Jagiellońskim filozofię (w internecie podaje, że przez 10 lat); dyplom poświęciła Hildegardzie z Bingen⁶, chcąc w jej pojmowaniu człowieka ujrzeć problem na wskroś współczesny. Owszem, podjęty w dziesiątkach prac filozofów, jak Jean-Noël Vuarnet (*Ekstazy kobiece* 1980), teologów, dietetyków, w serii średniowiecznych kryminałów Edgara Noske. Głośna Margarethe von Trotta rzuci na ekrany kin *Wizję z życia Hildegardy* (2009). Tysiące z nas ulega przekonaniu, iż wybitnym postaciom średniowiecza pod chrześcijańską maską ma aż kłębić się od poglądów postmodernistycznych. W *Córach Renu* norweskiej pisarki Cecilie Løveid, słuchowisku z 2015, które wyreżyserował u nas Tomasz Cyz, Hildegarda udziela sakramentu ślubu siostrze zakonnej i ocalałemu z rzezi katarowi; „chce napisać moralitet – psychomachię – o Animie wodzonej na pokuszenie przez Diabolusa. Szuka aktora. Szuka ofiary. Walcząc z herezjami, sama popada w herezję⁷”. Czy komentował: „Owa głęboka i ryzykowna potrzeba głębokiej wiary to jeden z wielu wspólnych mianowników dla średniowiecza i XXI stulecia. Czy żyjemy w czasach nowej krucjaty?”

Bez wątpienia, łączą nasze czasy hojne szafowanie postprawdą oraz ludźmi na przemiał. Walka tedy z odchyleniami, hece i bzdury wierutne, neurozy, bezapelacyjność, zbrodnie wojenne i za jednym zama-

⁵ E. Sonnenberg, *Świat miejscem prawdy* (2012), „Helikopter” 5/2013, <https://opt-art.net/helikopter/5-2013/ewa-sonnenberg-siedem-wierszy>.

⁶ Do rejestru Doktorów Kościoła i świętych włączył ją w 2012 Benedykt XVI; praca Sonnenberg powstała w klimacie wahań, we wciąż półoficjalnym kulcie i właściwej mu romantyce. Pracę Sonnenberg znam z jej opowieści, podobno zaginęła także na UJ.

⁷ *Hildegarda udziela ślubu. Herezja w słuchowisku?*, Portal Polskiego Radia, 1 marca 2015, <https://www.polskieradio.pl/8/404/Artykul/1384794,Hildegarda-udziela-slubu-Herezja-w-sluchowisku>.

chem natarczywość zbawiania, leasing aureoli. Wenecja, Piza, Genua, Barcelona i ich filie walczyły o jedwab, bawełnę, kadzidło, o rabaty w muzeum mańskim świecie. Wz bogaceni mieszczenie wykupili sobie ziemię od zbiedniałych królów, i to tam kapitał lokując, na wsi a nie w handlu czy rzemiośle, odtąd już (niejako na wzór opatów) skąpili krzyżowcom rekruta, wołąc użyć go do tłumienia aspiracji klasy średniej w swoich dobrach. Z drugiej strony – opactwo Hildegardy w Rupertsbergu rozebrano w końcu na budowę obór i warsztatów, a potem linii kolejowej. Fascynacjami rządzi podświadomość... to nasze intymne problemy. Żyjąca w XII wieku nad Renem benedyktyńska, prorokini, lekarka, kompozytorka i poetka ucieleśniła specyficznie kobiece doświadczenia sakralne, ale też kobiecą siłę. Jej wizje spisane w *Scivias* (skrót od *Sci vias Domini*, tj. *Poznaj ścieżki Pana*) papież na synodzie w Trewirze, z miodopłynną przychylnością św. Bernarda z Clairvaux, pobłogosławił pomimo pryncypialnej wtedy nieufności wobec umysłowej i psychicznej autonomii kobiet.

Co więc wspólnego może mieć chorowita mniszka, której duchowość od ósmego roku życia pod pieczęcią ciotki pustelniczki formowano w zakonie męskim, z Ewą Sonnenberg, poetką męską⁸? Politowanie dla kobiecości archetypalnie przyziemnej, płciowej, czy raczej wiara w kobiecość uciemioną, a jak klejnot w paszczy węża rozświetlającą czerń męskości? W kobiecość jako dominantę, która ożywiła całokształt kultury, pozwalając zrozumieć jej polityczne istnienie (*polityczne* oznacza wszak *ekonomiczne* oraz *militarne*)? Intelkt? Wyniesienie ponad marnościami? Ponad miernotą? A może muzyka, względnie zaufanie do ciała, jakiemu dała wyraz nowatorska feministka i krytyczka kultury, Camille Paglia („to kompletny absurd, myśleć, że jedyna droga ku poznaniu wiedzy nas poprzez słowa”), estymą wobec archaicznych filozofii i de Sade’a, niewiarą w „metafizyczne” wypychanie ducha poza obręb natury? Aczkolwiek u Hildegardy i Sonnenberg już od razu napotkam całą serię zgrzytów między ciałem a słowem. W Ewangelii (bez której szkoda gadać o chrześcijaństwie albo kobiecie Zachodu) Słowo przeciw urasta do rangi... Ciała.

A zatem co poetka próbowała przejąć z Hildegardy lub przypisała sobie? Nieustającą tajemnicę⁹? Sztukę na powściągnięciu erotyki? Sztukę jako narzędzie władzy, dyrygenturę duszyczkami podległych sióstr? Obie skupione na własnym powołaniu „spomiędzy wielu”, rosły znając świat w matowym kloszu; może klucza do ich „tajemnic” szukać w uczuciowym piekle losu oblatki, dziesięćki, jaką rodzice składają na ołtarzu wartościom tym czy innym? To intuicyjnie wyczuł i pokazał Goya w cyklu *Sabatów*: koźlonogi Szatan z rozlaną na obliczu próżnością idioty przyjmuje od młodej matki dziecko – w krąg siedzą już podobne, teraz staruchy, z trupkami. Goya unaoczniał dewastację podświadomości (bez podświadomości nie przeżywa się sacrum): „negatywy” mianowicie sytuacji zaszczytnej, dziewczynka-ofiara bowiem, „wybrana spomiędzy wielu”, odtąd musi swoje ciało, czyli po prostu sensualność (zmysły to poznawcze receptory), pełniącej percepcji, podporządkować wymalowanym na kloszu niebiosom Słowa – płaskim i w istocie p o w i e r z c h o w n y m . „Akwarium, jak wiadomo, jest takim zaciszem, gdzie się nigdy piosenek i płaczu nie słyszy”¹⁰.

Dla Goi piekło. Dla Hildegardy piekło. Piekło to miejsce nieodzowne Orfejom. Jest ich archetypem. Tam zapędzają swoje animy, swoich animusów, smyczą wloką po dnie, migocącym zupełnie jak szlachetne kamienie. Osamotnione dziewczynki rosły w kloszu arcydzieł literackich, och, Biblii, liturgii, w kloszu kanońskich lektur (będą z całą mocą talentu je uatrakcyjniać) i nago-goło-słownego olśniewania, które w gruncie rzeczy stanowi motyw przewodni poezji Sonnenberg.

⁸ We wspólnym felietonie Sylwia Chutnik i Grażyna Plebanek podniosły „problem z kobiecą twórczością – czy to spychanie do getta, podkreślanie unikalności czy wspólnota doświadczeń? A może kolejna pułapka generalizowania?”, „Polityka” nr 51 (3343), 15-20 grudnia 2021. Odżegnanie się przez Sonnenberg od swojej płci poetyckiej to albo głęboko uwewnętrzniony mizoginiczny slogan z czasów jej młodości, albo złośliwość wobec krakowskich środowisk feministycznych, za których guru wciąż się uważa, pomimo ich „zdrady”.

⁹ P. Semka, *Hildegarda, czyli nieustająca tajemnica*, „Rzeczpospolita”, A26-A27, 19-20 grudnia 2009.

¹⁰ Źródło: <https://quotepark.com/pl/cytaty/1017158-josif-brodski-szepcze-zegnaj-lecz-komu-to-przekazac-nie-wiem/>.

Tęsknię za tobą wiosenny znaku wiersza
przytrzymujący by wołać ciałem
Jak litera która chce się przedostać do właściwego słowa
Tęsknię za echem pokoi w których grzbiety książek były jak mosty [...]
Światło księżycza prowadzi¹¹

Ale co to znaczy: literaturoegocentrycznie? Pod kloszem tworzy się coś boleśniejszego od niedoboru informacji, bo uzupełniając je, tylko zaognimy problem – rozciągniemy ten klosz na przyswajane sobie dziedziny. Rilke ujął to w Ósmej *Duinejskiej elegii*: „Bo już małe dziecko / zmuszamy, aby odwróconym wzrokiem / widziało formy, nie otwarty przestwór, / tak głęboki u zwierząt”¹².

Hildegardzie przydzielono osobistego biografa Gotfryda oraz nauczyciela Volmara, który został jej spowiednikiem, przewodnikiem duchowym, sekretarzem, wreszcie dożgonnie wielbił jej poczynania; to też forma kontroli, permanentnej kontroli, kar w postaci modulowania natężeń uwielbienia; jeśli łagodnieją, przy literaturoegocentryzmie wpadamy w popłoch, ponieważ dochodzi do zarządzania odmiennościami – do duchowego rasizmu. Szukaniem ulgi od albo-albo bywa konstrukcja alternatywnej komunikacji, tożsamości potajemnej. „Być może dla zabawy, a może dla wewnętrznych potrzeb mniszek, które chciały pewne treści przekazywać sobie w zaszyfrowany sposób, Hildegarda ułożyła serię wymyślonych słów *lingua ignota* i alternatywny alfabet *litterae ignotae*. [...] Mniszki w jej klasztorze ubierały się na biało i zielono, mogły nosić kwiaty i klejnoty, nie musiały obcinać włosów. Boga wielbiły tańcem”¹³. Tak więc mniszka eskaluje i estetyczną siebie, i swoje oratoryjne dramaty, np. *Ordo Virtutum* (*Zastęp Cnót* lub też *O sztuce cnoty*), hymny, responsoria, antyfony z ich ekonomią wpisywania psalmów¹⁴ w dopuszczone odczytania Nowego Testamentu, arcytrudne w śpiewie, melizmaty liczą sobie ponad 70 nut, a skala głosu przekracza niekiedy aż dwie i pół oktawy (w kościołach dla ozdabiania mistycznej stosowności wystarczała jedna). Jak więc głęboko ta pętla się zaciska? Bo z kolei Sonnenberg (już filializmem formowana w domu babki, którą co wieczór musiała całować w dłoń z pierścionkiem – „Po jej śmierci brakowało mi pocałunku w jej chłodną rękę / Rękę która karmiła mnie niemożliwym / Jeszcze bardziej brakowało mi chłodnego i groźnego kamienia”¹⁵) pojawiła się, gdy z ustaniem państwowego mecenatu dolnośląska czołówka pisarska traciła grunt, musząc przyjąć do wiadomości, że jest i będzie zbędna w kulturowym obiegu idei nawet na poziomie towarzyskim, po prostu wyparuje z dziejów kultury¹⁶, nie stać jej na kawę w kawiarni, na wejściówkę gali Angelusa (zo-

¹¹ E. Sonnenberg, *Wyznanie na cyfrowym nośniku pamięci*. „Helikopter” 5/2013, <https://opt-art.net/helikopter/5-2013/ewa-sonnenberg-siedem-wierszy/>.

¹² Przeł. A. Lam.

¹³ I. Budziak, *Wstęp*, [w:] Hildegarda z Bingen, *Słowa pełne światła*, Kraków 2011.

¹⁴ Takiego określenia użył infułat archidiecezji gnieźnieńskiej, profesor liturgiki, ks. Jerzy Stefański.

¹⁵ E. Sonnenberg, *Dzieciństwo to nie zabawa*, „Helikopter” 6/2017, <https://opt-art.net/helikopter/6-2015/ewa-sonnenberg-szesc-wierszy/>.

¹⁶ W PRL obowiązywała zasada, iż każda z d e środowisko ma prawo otrzymać od władz swoje łamy, a każda publikacja jest wynagradzana pieniędzmi albo karami, jeśli uznano ją za szkodliwą, nie było kategorii zbędności tego, co opublikowane. Po likwidacji cenzury znikły kary, pojawił się natomiast błyskawicznie rosnący obszar lotnych piasków zbędności, nie mający nic wspólnego ani z jakością literacką, ani „pożytkiem”, względnie „szkodliwością”. I nawet z rynkiem, bo zaniechano jakichkolwiek edukacyjnych i promocyjnych strategii wspierania czytelnictwa. Biblioteki i księgarnie pozbywały się klasyki, a luki na półkach uzupełniały np. pozycjami serii Harlequin. Nagroda im. G. Trakla dla Sonnenberg z kolei zbiegła się czasowo z Noblem dla Wisławy Szymborskiej, autorki sympatyzującej, ale nie utożsamianej z opozycją, co ożywiło aspiracje pisarzy niezaangażowanych („uniwersalnych”); właśnie wtedy Sonnenberg przenosi się na stałe do Krakowa, gdzie już ignoruje jakiekolwiek więzi koleżeńskie z Wrocławiem.

staliby wyproszeni przez obsługę), na telefon¹⁷, internet itp., tym bardziej zamówienie recenzji o sobie czy o kimś innym równie zbędnym. Zresztą pism, jako zbędnych, ubywało. „Ostatnie dziesięciolecia to recenzje pisane dla wydawców, właściwie tylko peany. Nie ma krytyki jako takiej [...] Negatywne krytyki zwykle poniewierają maluczkich, a przecież tym na piedestale są najpotrzebniejsze, bo oni kosztują od ciągłych pochwał, nudnieją, degenerują się”¹⁸. Na tym więc tle Ewa Sonnenberg rosła w zamożnej rodzinie gwałtownie bogacącego się miasteczka albo raczej zarządu kopalni, odłączona od rówieśników także lekcjami muzyki. Nigdy nie rozwijała takich napomknąć jak o babce – zastępującej jej rodziców. Co na tylko nieco innych przykładach objaśniała Alice Miller w *Dramacie udanego dziecka*. Niemniej, współczujący freudyzm Miller gubiłby z oczu to, że – przywołam nieznaną wtedy Dolnoślązkom esej *Kapitalizm i schizofrenia* –

nie istnieją dziedziny czy obiegi względnie niezależne: produkcja jest natychmiastową konsumpcją i zapisem, zapis i konsumpcja bezpośrednio ustanawiają produkcję, chociaż determinują ją w ramach samej produkcji. A zatem wszystko jest produkcją: produkcje produkcji, działań i pasji; produkcje zapisów, dystrybucji i układów odniesienia; produkcją konsumpcji, zmysłowej rozkoszy, lęku i cierpienia. Wszystko jest produkcją, w której procesy zapisu są natychmiastowo spożytkowane i konsumowane, a procesy konsumowania bezpośrednio odtwarzane [...]. Oto pierwsze znaczenie procesu: nieść zapis i konsumpcję w produkcji, czyniąc z wielu produkcji ten sam proces. Ponadto utrzymywanie rozróżnienia na człowieka i naturę nie ma już sensu: to, co jest ludzką istotą i naturalną istotą człowieka, staje się tożsame w naturze jako produkcji czy prze-myśle, a zatem również w życiu gatunkowym człowieka. [...] Człowiek nie jest już królem stworzenia, a raczej tym, kto styka się z ogromem życia we wszystkich formach i rodzajach, kto odpowiada nawet za gwiazdy i zwierzęta, kto nieprzerwanie podłącza maszynę-organ do maszyny-źródła, drzewo do swojego ciała, pierś do ust, słońce do tyłka, kto jest wiecznym sługą maszyn świata. Oto drugie znaczenie procesu: człowiek i natura nie są przeciwstawnymi terminami, nawet jeśli rozpatruje się je w odniesieniu do zasad przyczynowości, zdolności rozumienia czy ekspresji (przyczyna i skutek, podmiot i przedmiot itd.). Są raczej jedną i zasadniczo tą samą rzeczywistością producenta i produktu. Produkcja jako proces wykracza poza wszelkie idealistyczne kategorie i ustanawia cykl, który odnosi się do pragnienia jako zasady immanentnej. Dlatego produkcja pragnąca jest rzeczywistą kategorią materialistycznej psychiatrii [...]”¹⁹.

W rzeczy samej, sytuację psychokulturową Dolnego Śląska najlepiej oddawały wtedy obsesyjne kosmiczne labirynty na obrazach Wańka: jeśli patrzymy na ich symbole alchemiczne, mijamy przynajmniej świadomość, iż każdy oznaczał karalną herezję i wyłom w zastawanej labiryntalności, aczkolwiek wyłom wiodący w nieco tylko inne wymiary meta-Labiryntu. Sonnenberg sprawiała wrażenie, jakby unosiła się ponad odrażającą maszynę agregatu literackości, ponad strefą kar zionących z każdego wyłomu (w jednym z wierszy całym słowotokiem daje wyraz obrzydzeniu do tego, co Inne), jak gdyby otwarte skrzydło fortepianu poetki-pianistki nie uczestniczyło w procesie produkcji spraw ciężkich, a przeciwnie, pozwalało na uniknięcie trudnych porozumień, ustępstw, poświęceń, wikłania się w wysłuchiwanie innych piszących, rozszyfrowywania ich dzieł i relacji wzajemnych – w końcu była to już epoka łatwo dostępnych skrótów, estetycznych paskudnych uproszczeń, w jakiej zbędna *psyche Innych* należy do dóbr konsumpcyjnych drugiej świeżości, a w praktyce do łakomie rozgarnianego śmietnika. Owszem, środowisko dolnośląskie

¹⁷ Brak telefonu i niemożność wezwania pogotowia były powodem śmierci Marka Garbali, podkreślał prof. Waldemar Okoń we wrocławskim Kalamurze.

¹⁸ K. Rudowski, list do mnie.

¹⁹ *Anty-Edyp. Kapitalizm i schizofrenia*, Gilles Deleuze & Félix Guattari, przeł. T. Kaszubski, Warszawa 2017, <https://docer.pl/doc/sx5esse>.

właśnie wtedy zęgało dopiero co rozbudzone nadzieje na wolność wreszcie prawdziwej kultury, witało samą istotę przemiany piękna w niczym nieskrępowaną estetykę nieistotności. Sonnenberg czuła, że może eskalować swój solipsyzm, nawet jeśli trąci on myszami i tyfusem pierwszej wojny światowej – bo „skok barbarzyńcy, który poczuł Boga”²⁰ nie napotka oporu ze strony niczyjego więcej „pragnienia produkcji”. Zarazem, jak najbardziej podchwyciła – krótkoterminowe – dyskursy zapożyczone, „zlepione garstką komunałów anarchizmu i desperacjami drobnomieszczaństwa, które straciło głowę”, że sparafrazując jedną z uwag Ciorana o indolentnej Francji.

Poeta niejednokrotnie chce osadzić swoje „powołanie” w jakimś punkcie zwrotnym, w kategoriach egzystencjalnych, kiedy np. poczuł strzałę Amora, otarł się o śmierć, musiał zarzucić znajome role albo opuścić ciepłe kąty (odniesieniem jest dlań wciąż „znane” i odpowiednio ustraszona przemiana go w „nieznane”, aż po „wampiryczność”, mającą wynieść ponad powinności, przecież już bezzasadne – „wampir z samej swojej natury” pozostanie „ży”, nadto „oni” są zbędni tr w a l e, nie ma więc powodu ich zachowywania ani tym bardziej respektowania). Sonnenberg też mówi wciąż o utracie bądź zdobyciu: wszelka utrata jest krzyżującą niesprawiedliwością, wszelka zdobycz należąca. Zongluje ideą Ładu wyposażonego we wszystkie możliwe walory całokształtu dorobku ludzkości i jednocześnie nie umie pogodzić się z tym, że „znany” świat czy też ład, jest też efemerydą... czystych zbiegów okoliczności. Przykładem to, jak ujęła własny punkt zwrotny:

Ścigana niewidzialną sforą much poślizgnęła się
Ścigana oddalającym fenomenem okularów wbiegła
pod samochód bo kocha się tylko umarłych
(i ja ją wtedy pokochałam od pierwszego uderzenia)
Zabawnie przefrunęła nad maską Niejeden kaskader
mógłby pozazdrościć Teatralnie
I było w tym coś z dramatów Szekspira Być może
dosłowność Romeo i Julia tylko że Romeo
nie miał czasu na zakończenia Wyszedł za potrzebą
Pierwsza i ostatnia premiera odbyła się 21 stycznia 1990
we Wrocławiu (miasto na poł.-zach. Polski) na scenie —
ul. Powstańców Śl. o dwunastej dwadzieścia podziwiano
asfalt-matkobrzuch ulicę-szpital drzewa-lekarzy
latarnie-pielęgniarki los-akuszerkę
Urodziła się Poród z drobnymi komplikacjami
Metrykę zastąpił raport milicyjny
Urodziła się na nowo Odnalazła swojego wampira
słodkiego jak tabliczka czekolady Rasowego
z zadartym nosem Zachorowała na anemię
Wampir [...] Wcielił się w ogrodnika
Właściciela 365 róż Obdarzył wszystkie
taką samą miłością Drżał o każdą kroplę czerwieni
Ona śniła szklane klatki skrępowane zachłannym
krwioobiegiem Nie było wyjścia
Wessała go w siebie Podwójnie wampirza odeszła

²⁰ J. Tuwim, *Poezja*. Wiersz ten powstał w latach 1914-16.

założył swój własny ogród A każda róża
prócz czerwieni miała imię²¹

A teraz próbka typu wrażliwości z niejako inicjalnych lat w wierszu *Zakonnica* (1992):

Płaska jak jedna z kartek modlitewnika Nierealna
że pragnęłam dotknąć na ile prawdziwa
Tajemnicę ukryła pod żałobą Płakała
Kobiety w czerni umieją płakać tak jak ona
perfekcyjnie Utonęłam Płonęłam
lamentem Łzy były wewnątrz mnie
żywiłam się rozpaczą Zachłannie
połykałam jej płacz Odtąd brakowało mi łez

Wirydarz Róże omdlałe z odosobnienia [...]
Przysięgła że nie spotka wody
nie będzie się w niej przeglądać
Uschnie w monotonii zabobnych fresków Giotta
zamknie na klucz swoją wieczność

Jeśli byłoby to już o Hildegardzie, zauważmy, fresków Giotta jeszcze nie było. Jeśli to o oblatce ośmioletniej, dziecięctwie, mamy n i c, rozległą scenografię na deskach, gdzie odwołano spektakl: nie ma – zbędnego już – dramatu. Odbiorca oczywiście może przyjąć uogólnienia – podjąć tę estetyzację, bagatelizując niewidzialne, rezonować okazale widome świętości przejawy, właściwe polskiej sakralnej rezurekcji schyłku XX wieku, emfazy bez entuzjazmu, odmienianie przez wszystkie przypadki ogólników „niestereotypowy”, „niekonwencjonalny”, „wyjątkowy” z przemilczeniem, z czym konkretnie (i co) się zestawia. Może też jednak mieć na uwadze, że doznaniu sakralnemu, powtórzę, zawsze towarzyszy podświadomość, drażnić ją tedy. Narzucałoby się choćby zapytanie o Boga (dla Hildegardy człowiek poza Bogiem nie miał sensu), o urzeczenie nie tyle płaską niewinnością biustu, co hierofanią, czyli odczuciem mocy kształtującej ciżbę, oślepieniem, błogimi poruszeniami struktur albo też szablonów materii, strachem. Pada u Sonnenberg w *Opowieści wigilijnej* określenie „przemoc ciszy”, jakkolwiek nad rozgdakany galimatiasem tropów, a to ku cieniowi królowej, a to ku „płonącemu widzeniu zmierzającemu z prędkością myśli na Wschód” (bo i motto ze zwojem japońskim, choć koniecznie i z video oraz taceo), a to ku „opowieści wigilijnej o angielskim porcelanowym dzbanku w fiołki” – i znowuż czemuś przez „śnieg w szponach wiatru z ptakiem księżycą nad głową” ku kamerom w ścianach, śledzącym każdy krok, do tego „papeteria z królewskimi znakami gdy między brudem a upodleniem [...]”, przy czym „między bezdusznymi filarami ukryci snajperzy czekają na każdą słabość by zdobyć cię i trzymać wciąż na tę samą odległość”, a to ku „mój gniew jest nadludzki”.

Wróć do jej Hildegardy, do kłosa. Jakiego zatem Boga, jakie Boga doznanie Sonnenberg, studentka jednego z czołowych polskich metafizyków, przypisała mistyczne? Katechizmowe? Nie znało średniowiecze ani spójnej, ani wspólnej Boga idei, nie miało nawet wiedzy o Nim. Jakże inaczej, kiedy w Imperium Christi religią Księgi żyli... analfabeci, a jej Słowo szwargotało... głoskami żyda czy schizmatyka, same te ich alfabety wyglądają jak czarci cyrograf, zresztą łacina – też obca – była tylko Pisma *wulgatą*, wątpliwą pod-

21 E. Sonnenberg, *Rytuał przeżycia czyli jak się zostaje wampirem*, <https://milosc.info/ewa-sonnenberg/rytual-przezycia-czyli-jak-sie-zostaje-wampirem/>.

róbką? Warstwy w większości krajów etnicznie sobie obce, wręcz wrogie, pozostawały sakralnymi przeciwnościami, wzajemnymi aberracjami. Wysokie duchowieństwo, inkwizytorzy, możni, proste rycerstwo, ekskluzywne profesje jak kowale, budowniczowie, kaci, biedota zakonna, tj. służba i niewolnicy klasztorni, nadto kmięć czy przymusowy przechrztą karany stryckiem za wspólny posiłek, choćby to było nakarmienie matki-wdowy – z opuszczaną grupą wyznaniową; nawet mieszkańcy gór lub nadmorskich krajów względnie stepu, względnie puszczy – mieli nie tylko zgoła odrębny ogląd, ale też dostęp do praktyk. Gdy Hildegarda kładła nacisk na orkiszowy chleb i wytrawne wino, miejscowy świetny riesling, dla harmonii duszy, bliska odkrycia, że „popędy biologiczne, stan ciała oraz emocje są niezbędnymi elementami w podejmowaniu decyzji i myśleniu”²², także kreatywnym myśleniu, co czyni ją dziś w naszych oczach tak świątłą, to chłopci, których, powie Leśmian, „dusza z niczego zrodzona nad jarem”, w jej dobrach żuli oczywiście czarny chleb z grubo mielonej grochowej mąki, a po robocie w jej winnicach pili kwaśne wytlóczyzny; za wyniesienie ukradkiem miarki tegoż orkiszu odrąbywano im ręce. Zresztą, przywołam za prof. Dorotą Heck uwagę Michała Fostowicza, ważną w odniesieniu do Sonnenberg: „Wolność mędrca, wolność od czasu, [...] jest w istocie wolnością od własnego Ja, wolnością od ograniczonej tożsamości czyniącej człowieka rzeczą pośród rzeczy. Wolność oznacza po prostu nieograniczoność. Nie w sensie porzucenia warunków i zerwania więzów, tylko w sensie duchowej partycypacji w tym, co więzy i warunki przekracza, co jest z natury swej nieskończone”²³. Wolnością poza albo-albo, a tylko poprzez i-i, jak skropiła filozofię autora tych słów prof. Heck. Antynomia zbawienie-potępienie to właśnie przykład postawy odwodzącej od wolności, kiedy otwartą kwestią pozostanie już tylko, co uzna ktoś za „zbawienie” albo „piekło”, albo „zakatowanie”, jak też kipi w wywiadach z Sonnenberg. Powtórzę: cóż Sonnenberg łączyłoby z Hildegardą, ale i metafizykami, z Lao Tse czy kimkolwiek, kogo na przestrzeni lat nazywa swoimi mistrzami, duchowymi braćmi, kochankami itp.? Płynna niejasność? Rekwizyty? Leksykon? Więź z Fostowiczem podsumowała sama z okazji sympozjum poświęconego jego pamięci: „kiedyś napisał do mnie: nie sprzedawaj mojego nazwiska w kra- miku z poezją. Ja odpisałam mu: odkąd nie używam twojego nazwiska wiersz dużo lepiej się sprzedaje”²⁴.

Sakralną sensualnością średniowiecza rządziły przemożne, obalające z nóg kratofanie. Dlatego skądinąd traciła na znaczeniu rzetelność przekazu; treścią przekazów była Moc, a nie historia. Dominus (Hildegarda woli tę formę od Deus) przywódców to pan oraz wódz wieczystej wojny ze złem; Bóg plebsu przestacza się w dobrego pasterza. Bóg kobiet to mama i orędowniczka. Reguła zakonna izolowała dopuszczanych do życia Bogiem, po ich ubezwłasnowolnieniu ślubami posłuchu, od zagospodarowywanej reszty ludności, której wolną wolę, sumienie, myślenie i prawo do łaski traktowano ze zgorzeniem, wręcz odrazą.

Sonnenberg sprawia wrażenie podzielać ten pogląd. Od pierwszych chwil – później już tylko kompletuje argumenty. Zgaduje „osamotnienie” zakonnicy pośród siostr zgromadzenia, zarazem ból („żałobę”) po opuszczonym świeckim świecie. Tam, gdzie o Bogu napomyka, kreuje grube, gnilne, konfliktogenne sytuacje męsko-damskie, ma opór przed uśmiechniętym życiem na sposób monastyczny, to jest pojedynczy albo pozakonsumpcyjny. O samej sobie z zapałem mówi jako o wygnańcu, wręcz jak owo średniowiecze, które od zarania opłakiwało raj komfortu utraconego wraz z cywilizacją, które galwanizowało antyk elektrodami racjonalizmu. Odrodziło więc boże Imperium jak w jajku brunatny ślad po kogucie, tym wszakże różniąc się od antyku, że łączyło barbarzyństwo już nie z bezprawiem, a ze słabością ofiar, ze zbędnością odmiennych myśli. Uklękło przed glorią majątku i prawem do bezprawia. Wyzuło miasta ze swobody

²² Pogląd profesora neurologii behawioralnej Antonio Damasio, [w:] T. Witkowski, *Umyst zjednoczony*, „Polityka” nr 50, 8-14 grudnia 2021.

²³ M. Fostowicz, *Świat bez prawdy*, wyd. II popr. i poszerzone, Wrocław 2009, s. 206.

²⁴ E. Sonnenberg, *PLANETA. Historia wierszy 18*, <http://www.wforma.eu/planeta-historia-wierszy-18.html>. Uściślenie: używanie nazwiska w znaczeniu powoływania się na osobę.

teatru, kultów i debat na agorze, czyniąc je miejscem produkcji. Wygnanka w boa z różowych sztucznych piór Sonnenberg galwanizuje utracony jakowś raj konsumpcji „dziadków za wielkim stołem lasu i rodziców takich jacy byli zanim przemoc odebrała nam wszystko” elektrodami swoich wierszy o swoich wierszach.

„Ludzie mi się kojarzą z gorszą odmianą sprzętu”²⁵. Urzekła ją koncepcja sakralnego Zamku nad sakralnym podgrodzieniem – elitaryzmu, ekskluzywności z mandatem do bezprawia wobec zagospodarowanych – „parszywej masy”²⁶, także o ileż subtelniejsza sztuka tworzenia dystansu za pośrednictwem muzyki, zmieniającej wszystkich poza kompozytorem, bo wykonawców równie jak słuchaczy, w instrumentarium: „...ja stronię od wszystkiego, co wiąże się z tłumem. Jestem indywidualistką i wierzę tylko w siebie i w swoją sztukę. Nie znoszę tłumu, motłochu, plebsu, od dziecka brzydziłam się czymś takim. Zawsze czułam się na Ziemi jak księżę. Można nawet powiedzieć: ‘jak księżę ciemności’, jeśli to komuś sprawi przyjemność, a mam nadzieję że są tacy”²⁷. Najwyraźniej nieświadoma tego, jakich pigmentów dosypuje sobie do palety, jak bardzo zero-jedynkowo względnie ksenofobicznie, zamordystycznie widzi „brane za mordę” swoje i cudze życie²⁸.

Zawsze trzymałam się z boku, na dystans i nie lubiłam się spoufalać. Nie miałam przyjaciół czy znajomych, a jeśli – byli to ludzie zawsze dużo starsi ode mnie. Tylko tacy ludzie mi imponowali i potrafiłam w nich znaleźć odpowiednich partnerów do rozmów i przebywania. Facebook przez jakiś moment stał się ważny dla upowszechniania mojej poezji, ale niestety od jesieni tamtego roku mam zablokowany dostęp na mój profil. Tak że wynika z tego, że to nie ja lubię obserwować ludzi, a raczej ktoś lubi obserwować mnie i posty jakie umieszczalam na Facebooku. Blokada trwa już jakiś czas, ale też jakoś już nie zależy mi na tych facebookowych prezentacjach artystycznych. Niekiedy kieruję się takim założeniem, że jeśli ktoś wykonuje jakiś gest w moją stronę, nawet negatywny, należy to pozostawić samemu sobie. Dlatego też jakoś nie histeryzuję, że nie mam już tego obszaru, jakim był Facebook, i że już niestety nie pozwala mi się umieszczać postów z moimi wierszami i zdjęciami dla moich czytelników. Dzięki temu zyskałam około 5 godzin więcej w ciągu dnia, bo tyle mniej więcej przebywałam codziennie na Facebooku. Facebook przez jakiś czas był wielką przygodą, pamiętam jeszcze w sobie te emocje dzielenia się z czytelnikami tym, co aktualnie przeżywałam, tym, co stanowiło dla mnie największą wartość, tym, co miało moich czytelników naprowadzić na wolne i prawdziwe myślenie²⁹.

Internet. Cóż, to forma zbiegowiska, gdzie gawieź podniecana rasizmem ducha depcze się w imię robiarskiego *kto kogo*.

A muzyka – czy też raczej jej brak w życiu osobistym? Pianino zawalone sukienkami, butami, niedopałkami, kartonami z zupą. Sonnenberg, tuż po dyplomie fortepianu zniecka pozbawiona szans na sukces pianistyczny³⁰, zdawała sobie sprawę, że niedosiężna egzorcystka Hildegarda, ta *nowa Lorelei*, namiętnymi kazaniem gromadziła tłumy na miejskich placach, rugała biskupów, strofowała skłóconych antypapie-

²⁵ E. Sonnenberg, *Czy trzeba przejść kwalifikacje, by być człowiekiem*, „Helikopter” 7/9 2014, <https://opt-art.net/helikopter/7-9-2014/ewa-sonnenberg-cztery-wiersze/>.

²⁶ „Salon Literacki” 2017, Internetowa Gazeta Literacka, <http://salonliteracki.pl/new/new/prezentacje/869-ewa-sonnenberg/>.

²⁷ E. Sonnenberg, *Moja poezja jest czystym pięknem* – wywiad, „Eprawda” 2020, <https://www.eprawda.pl/ewa-sonnenberg-moja-poezja-jest-czystym-pieknem-wywiad,ortografia-oryginalna>.

²⁸ Zob. „Salon Literacki” 2017, Internetowa Gazeta Literacka, <http://salonliteracki.pl/new/new/prezentacje/869-ewa-sonnenberg/>.

²⁹ E. Sonnenberg, *Moja poezja...*

³⁰ Gdy została potrącona przez samochód, musiała poddać się długiej rehabilitacji ręki. To właśnie zdarzenie sprawiło, że powstał zacytowany tu wiersz o stawianiu się wampirem.

ży; starzejącego się Anastazjusza IV napominała: „Człowieku, który siedzisz na papieskim tronie, gdy nie odrzucasz zła, znosząc je milcząco w złych ludziach, gardzisz Bogiem samym”³¹ – nie mniej stanowczo cesarza Barbarossę. Wpływała zatem na „wszystkich”, co obecnie odruchowo mieni się „charyzmatycznością”. Owszem, poeci jej pożądają, Sonnenberg nie jest wyjątkiem – jej ikona Poety idzie w parze obok poety-Ofiary jak Orfeusz. A jednym z charyzmatów władzy jest seks, dostęp mianowicie do „każdego” i „przekraczanie granicy”. U Hildegardy da się wypatrzyć potencjalną saficzność: oto bowiem, gdy jej nieodłącznej sekretarce, margrabiance Rychardis von Stade

arcybiskup Hartwig [brat Richardis – UMB] zaproponował funkcję przeoryszy w innym klasztorze, Hildegarda pisała doń listy nie szczędząc słów ostrych i nawet obraźliwych porównań, skierowała stosowną prośbę do papieża Eugeniusza, niestety bez skutku. Ryszarda, idąc za głosem ambicji przyjęła awans i odeszła. Wkrótce pożałowała. Jej śmierć była nagła. Przetrwał znamienny okrzyk Hildegardy: *Bóg* „Nie chciał więc oddać swej ukochanej rywalizującemu oblubieńcowi”³².

Jej własnej śmierci towarzyszył znak na niebie: zawisłe nad klasztorem ułożone w krzyż dwie tęcze. New Age po prostu, w pigułce. Płyty kompaktowe z muzyką Hildegardy można nabyć w księgarniach LGBT, w sklepikach zdrowej żywności i magii ziół, a nie tylko tam, gdzie sprzedaje się książki religijne. I w rzeczy samej, Sonnenberg na łamach „Studium” i „Zadry” zmanifestowała się pod sztandarem wyzwolenia... miłości – „mój gniew jest nadludzki tak jak moja miłość”. Tu sięgnę po inne nieco ujęcie, skoro bycie kreskówką, wampirem, królową, hologramem itd. daje prerogatywy nadwrażliwym, a wszak myślącym transakcyjnie; dla jasności: młodzietkie osoby mają powab i dowolnej zgoła płci, i autoerotyki:

[...] Nie mogła oderwać wzroku od stóp jasnowłosego chłopca
w Paryżu
Ci wszyscy mali chłopcy z których chciałaś spić blask wolności
Ten jeden mały chłopiec za dwa księżycowe kamyki podarował ci
siebie na jedną noc
Potem odchodził długo z wycuciem każdego niuansu tęsknoty
Ta naiwna wiara w zwycięstwa wojny podboje
Marzyciele
Rysują kwiaty na ścianie domu dla ukochanej dziewczyny
Te na serio ustawiane barykady potyczki z bezlitosnym ciosem
Codziennosci
To szukanie bratniej duszy upijanie się z każdym
Bezsenne noce małych chłopców gdy wychodzą na balkon
by patrzeć na księżyc
Sentymentalne Julie szukające w sobie prawdziwego kochanka [...]

³¹ J. Kracik, *Kruche narzędzie słabej płci*, „Tygodnik Powszechny” 24 listopada 1998.

³² A. Walkowska, *Życie i działalność św. Hildegardy z Bingen (1098-1179)*, „Perspectiva”. Legnickie Studia Teologiczno-Historyczne, R. 4 (2005), nr 2. Przytaczam w moim streszczeniu.

³³ E. Sonnenberg, *A może gdy tańczył to jakby tańczył cały wszechświat*, „Helikopter” 7-9 (2014), <https://opt-art.net/helikopter/7-9-2014/ewa-sonnenberg-cztery-wiersze/>.

Przy takich piruetach serca lodowa tafla sztuki-lustra pod ciężarem baletnicy Sonnenberg zapada się w przereble. Bo kiedy faktycznie mrą całe rzesze, to najbardziej pospolicym uczuciem jest właśnie obrzydzenie do „reszty” „w tym więziennym chlewie” (*Droga*) – chlew skądinąd bywał miejscem, gdzie śnili, choćby w takiej archangielskiej okolicy, jacyś śmierdzący skazani na ciężkie roboty Brodscy, albo padali ze zmęczenia na chłopskiej słomie Miłosze na drodze z Wilna zajętego przez Armię Czerwoną do Warszawy. Więzienny chlew tak, to brutalne wyrażenie. W każdym społeczeństwie jest jakaś część ludzi, którzy lubią przemocowość słowną i coraz śmiejiej to pokazują. Lub pytają jak Sonnenberg w kawiarni Empik w 1992 roku, czemu właściwie ci pisarze tracą czas na jakąś politykę? Mówię o stadium, jakie prof. Radosław Markowski zwie patologiczną normalnością – normalne patologie pozostają marginesem; w patologicznej normalności przyzwoite postawy są wyjątkiem, piętnowanym, a w najlepszym wypadku mijanym jak napuszona ekstrawagancja, jak heroizm dla rozrywki produkowany w Hollywood. Innymi słowy, normalność patologiczna kopniaki samolubstwa nazwie subtelnością, ba, przywoła filmy Quentina Tarantino: choreografia tanecznych ciosów. Ciosów w świat. Wersety jak pociski wystrzeliwane z klawiatury. Synonim piękna, kiedy przeświadczeni o własnym czystym pięknie biorą się wzajem na celownik.

Klosz mentalny, o jakim mówię, izolował od sakralnego fermentu w XII wieku, choćby powodowanego przez katarów: oglądani przez klosz stają się *teoretyczni*. Podobnie mętnieją idee określane w uproszczeniu „ponowoczesnością”. Są dlatego po-nowoczesne, gdyż odkryły toksyczne złoża u samych fundamentów kultury: ześrodkowanie uwagi na człowieku i na „ja”, na konflikcie, na wydajności. Pozornie uświęconą jednostką – teoretyczną dla patrzących spod klosza teorii, czy też w kloszu doskonała *pia discipula* – nie może, nie wolno jej i nie jest w stanie sięgnąć po owo „non possumus”, jakie katarzy wypowiedzieli ekonomii politycznej sacrum, łączeniu sacrum z triumfem cywilizacyjnym, czyli wszechobecnością medialną w czasie i przestrzeni i bycie daniem pierwszej konsumpcyjnej potrzeby. Dlaczego właściwie Hildegarda nienawidziła katarów, przeciwników wzrostu konsumpcji? Dlaczego ten rodzaj nienawiści nie wykluczała się z upoejzowaniem cnoty miłości, a został dopuszczony do oficjalnego kultu? Osobno – dlaczego w Hildegardę narcyzm miękko się wtopił, jak dowiodła ta dająca... poetce stopień naukowy rozprawa u, powtórze, jednego z najbardziej szanowanych w kraju metafizyków?

Narcyzm to strach. To zespół cech osobowości, jaki opiera się na systemie dobry-zły, czarny-biały, przy jednoczesnym zbywaniu innych ludzi, uteoretycznianiu ich bądź adorowaniu. Uwodzi proklamacjami absolutu. Kościół długo nie chciał jej kanonizacji, ale bynajmniej nie dlatego, że zgromadziła Hildegarda w klasztorze Eibingen kolekcję relikwii, w tym głowy św. Guduli, św. Berty z Bingen, św. Waleriana i św. Wiperta, ani że poparła rzeź katarskich miast i wsi, że powołując się na wizje, nazywała katarów zwiedzionymi przez Diabła³⁴ tudzież legionem Diabła, które to połączenie sublimacji z bezduszością cechuje często ludzi z nerwem artystycznym. Co oczywiście nie umniejsza wspaniałych kompozycji ani wersetów, w których Duch okazuje się Pasem cnoty honoru i Drogą, która wszystko przenika, muzyka Żywą Światłością, a Piekło światem „bez muzyki”; Volnar pisał: „Któż by się nie dziwił, że ułożyła ona pieśni o słodkiej melodii i cudownej harmonii?”. Ano, klosz czasem tworzy świetną akustykę, ogłuszając zarazem na sygnały spoza. W wypadku Sonnenberg czysta nuta tylko wyjątkowo przekracza granicę wersu – już w następnej linijce załamuje się, piszczy, gubi wątki. Po prostu owa Droga jest w bezpośrednim doświadczeniu czymś, co osobliwie spłaszcza się w imitacjach. Zionie strachem. Grubiej do obłądnych skrzeków i operetkowych arii: któż tak pięknie składałby długopalce upierścienione dłonie do modlitwy? Czyż Duch nie odczuwa onieśmielenia na widok wysmukłej wymagającej kobiety o tajemniczej psychice, która potrafi prychnąć „Ty mnie w ogóle nie rozumiesz!”? A wtedy „Bóg daje do ręki cyrkiel i mówi: Teraz ty. Spróbuj jeszcze raz”³⁵; aczkolwiek nie wia-

³⁴ List św. Hildegardy do Elżbiety z Schönau, siostry Ekberta, autora kazań przeciw heretykom w 1163.

³⁵ E. Sonnenberg, *Cocteau cocktail. Dygresje, mity, opium i sztuka*, [w:] tejże, *Moi papierowi kochankowie*, Wrocław 2016, s. 63.

domo, czy każąc wykreślić ezoteryczne kręgi, czy – wbić, niczym prosto w serce ostry francuski obcas. Na pytanie, które pojawiło się w wywiadzie dla „Eprawdy”: „Jesteś religijna? Chodzisz do kościoła? Co sądzisz o Papieżu Polaku — w świetle nowych faktów, podnoszą się krytyczne głosy, że Jan Paweł II nie zasługuje na status świętego, ponieważ kazał kryć afery pedofilskie wśród księży?” – Sonnenberg odpowiadała:

Właściwie to bliżej mi do tych pedofilii kościelnych niż do kościołów. Właściwie to bardziej rozumiem pedałstwo kleru niż te ich mury kościelne. Bo w sumie nie wiadomo, kto bardziej zasługuje na czułość mury kościoła czy pedały kościelne, instytucja gkościoła czy pedofile z trzęsącymi się rękami na widok ślicznych małych dziewczynek w kątach krucht. Ale nic mi do tego — na pewnym etapie mojego życia odrzuciłam religię katolicką i kościoły. Nic mnie już nie łączy z katolicyzmem i z kościołami, z ich problemami i grzechami. Ja nie jestem spowiednikiem kościoła katolickiego. Zresztą z tą pedofilią to chyba jest różnie³⁶.

Ba, rozmówca nie pytał, czy aby każdy jeden katolik względnie kapłan dopuszcza się tej podłości. Otrzymał mętny frazes. I, przy okazji, ostępujące przeświadczenie, że istnieją jakieś grzechy „katolickie”, że wystarczy nie być (nie czuć się) katolikiem, aby dostać moralną *carte blanche*. Sonnenberg tedy identyfikowała się z wybitną katoliczką, wybitną umysłowością. Promotor, co sama podkreśla na swojej stronie Google'a, och, poczciwy serdeczny znajomy, rocznik skądinąd 1933, doktor honoris causa Akademii im. Karola Szymanowskiego w Katowicach (2019), meloman pielęgnujący związki z Katolickim Uniwersytetem Lubelskim, kawaler jednego z najwyższych odznaczeń przyznawanych osobom świeckim za aktywność w dziele apostołskim, skwitował jej dezyderat w czasach mody wszak na wzniosłe religijne nuty: „to jest nowoczesna poezja”.

A teraz sama w sobie poety, orfika, filozofa, piesków przydrożnych na każdej via Domini, mijanych przez karawany bywałe w świecie – wolność myślenia.... Już jako kobieta dobiegająca pięćdziesiątki, w 2015, po nominacji do Nagrody Orfeusza, zapytana o bliskie jej zjawiska estetyczne, Sonnenberg powie: „No, Ingarden, oczywiście, a to dlatego, że byłam uczennicą prof. Władysława Stróżewskiego, ucznia Ingardena. On był promotorem mojej pracy magisterskiej. I trudno, żebym odstąpiła od tego kierunku [podkr. UMB] [...] Z racji studiów filozoficznych orientuję się w tych koncepcjach, natomiast nigdy nie zakładałam, że jakaś mi się podoba na tyle, że będę pod nią pisała”. Mówi poetka o użytych teoretykach piękna – lecz o żadnym z dzieł albo zjawisk pięknych. W rozmowie z „Eprawdą” czytamy:

Ja w ogóle nie lubię sztuki wytwarzanej przez ludzi. Uważam, że to zbyt techniczny produkt pseudo uczuć, udawanego przeżywania świata i ludzi oraz ubożego obcowania z wewnętrznym ja. To mnie nie obchodzi, te wszystkie ludzkie próby i usiłowania dotarcia do miejsc dla ludzi zakazanych i przesłoniętych. Do obszarów, gdzie mieści się to prawdziwe piękno. To, co robią ludzie to dla mnie nie jest sztuka tylko jakieś mierne próby robienia sztuki. Zresztą o tym też pisze Platon w którymś ze swoich dialogów³⁷.

Tyle że w *Planeta. Historia wierszy 2* zaklinała się: „Brodski stał się moim nauczycielem. Uczylałam się poezji na jego wierszach. Godzinami czytałam go i marzyłam by kiedyś być taka jak on. To znaczy tak doskonale operować językiem. Tak jak on umieć posługiwać się emocjami”.

Ale dlaczego posługiwać emocjami zamiast czuć? Na marginesie perfekcji władania językiem?... Miłośnik pytał, czy umiemy, tak jak Brodski, czcić naszych poprzedników, czy tylko wydziwiać i kąsać.

³⁶ E. Sonnenberg, *Moja poezja...*

³⁷ Tamże.

Pupilka Mistrza zaczyna postrzegać się w roli larwy mającej stać się motylem, opiekun zaś swoistym pa-
ziem królowej. Takie skojarzenia przemykają, gdy patrzę na jej bajkę „dla zakochanych” (2006), gdy otwie-
ram *Hazard*, a w nim wiersz *Wstęp*: „Jestem małą dziewczynką w białej komunijnej // sukience Biała //
komunijna uniosła się Moje uda // Czy to są moje uda? W kościele dzwonili // na Anioł Pański Pisałam pa-
miętnik czarnymi kulfonami na różowych kartkach Kocha lubi // szanuje nie chce nie dba zartuje Kocha”.
W roku 2015 Sonnenberg powie w rozmowie z Pawłem Kaczorowskim: „To bardzo dobry wiersz... Później,
po przyjeździe z Paryża, zrobiłam parafrazę i napisałam wiersz: »Jestem przeklętą dziewczynką w czarnej
sukience«...”³⁸. Na pytanie wprost, czy – jako „ikona lesbijskości” czuje się lesbijką, Sonnenberg odpowia-
da: „Bardzo często piszę teksty liryczne do kobiet, ale też nie lubię zamykać się w swojej płciowości; uwa-
żam że pisanie jest przekraczaniem pewnych granic. Pisząc, trzeba przekraczać granice emocjonalne, du-
chowe, fizyczne, a nawet granice samego siebie. I tutaj przekraczam granice swojej płciowości. Poza tym
tomik *Planeta* był bodajże pierwszy tomikiem lesbijskim w Polsce!” A na uwagę: „Stałaś się figurą, którą
środowiska związane właśnie z gender, z emancypacją, z różnymi innymi prądami – zaczęły się legitymizo-
wać, podpinąć pod twoją twórczość, używać ciebie jako ikony”, odpowiedź poetki: „To prawda. Do tej pory
w kanonie lektur lesbijskich są moje książki: *Kraina tysiąca notesów* i *Planeta*. *Płonący tramwaj* też mógł-
by się tam znaleźć... Moje wiersze mają się też ukazać w *Europejskiej Antologii Poezji Lesbijskiej* w tłuma-
czeniu Tatiany Jamnik”³⁹. Z całą pewnością nie ma w tej wypowiedzi śladu uczuć. Szukam punktu oparcia.
Nie przecząc samym w sobie pragnieniom ani możliwościom transgresywnym, dobrze jest brać pod uwa-
gę, że, wedle twórcy teorii transgresji, Jana Kozielleckiego: człowiek, który wykracza poza typowe grani-
ce działania, tworzy nowe struktury bądź niszczy te już ustabilizowane. Co zresztą dotyczy także kultur:
każda z nich okazuje się swoistą transgresją: przedstawia jakieś ograniczenia, wypiętrzenia, tąpnięcia – ale
i wynika z nich perspektywy lub sprawności. Historia nie tyle ostrzega i podsuwa rozwiązania, co najzwyc-
zajniej oswaja, iż błędzić można na *n* sposobów. Obaliwszy zmurzone systemy, rozwiązuje się problemy
dotychczas nieuleczalne, płacąc za to utratą zdolności wcześniej posiadanych. A zatem istnieje cała gama
artystycznych rezultatów, zresztą i cała gama domniemywań na ich temat. Postmodernizm to tylko kolej-
ny w dziejach renesans, pakiet umownych pów, jakimi zastąpiliśmy idee, i nie ułatwia odróżnić „dysfunkcji”
mystycznych od dysfunkcji narcyzmu, przynajmniej w sztuce. To też łączy patologiczną normalność z Hilde-
gardą-uzdrowicielką, egzorcystką, a wykwitło w zbiorze esejów *Moi papierowi kochankowie* z 2016, peł-
nym wytartych frazesów w rodzaju „Dlaczego? Dlaczego? Ale sztuka niekiedy nie ma odpowiedzi!”, gdzie
Sonnenberg na załączonym zdjęciu wystąpiła w męskim garniturze, pod krawatem, jako Androgyn, co po-
zwala traktować kobiecość... po męsku. Nazywać dziełka swoich fanek „bękartami”.

Skoro szukam ciągłości lirycznego ja, włączę oczywiście i Hildegardę do grona papierowych kochanków:
Stróżewskiego, Fostowicza, Brodskiego, Kaliguli, Leonarda, Michała Anioła, Rimbauda, Warhola, Cocteau;
tę menażerię na pokaz i tak już Sonnenberg uatrakcyjniła oszalała w puszcze jaszczurką z przyprawioną
sztuczną brodą oraz snem w ramionach szkieletu. Rozpoczęła eseje zdaniem, iż „sztuka pożąda i odrzuca”.
Otrzepana ze złota Renu, z kościelnych i akademickich, tak jak zresztą pianistycznych zbędności, chce być
teraz z kolei do łez pożądaną wybranką... miernoty chciejstwa, Sztuki mianowicie, wedle jej własnych słów.

U zaprzątniętej habitami-sukienkami-wachlarzami Sonnenberg Bóg czy artyzm ma w sobie coś posęp-
nego: jest odmianą spoliczkowania męskości. Nie wolno mężczyźnie pominąć, zbagatelizować żadnego
z wdzięków duszy kobiecej, nikomu niczego w jej wierszach, a wszelkie wątpliwości mają przemawiać na
jej korzyść. Przypomnę Camillę Paglia, nadto Barbarę Sukową, grającą Hildegardę, ale też i Hannę Arendt

³⁸ P. Kaczorowski, *Wielowłatkowa rozmowa z Ewą Sonnenberg*, <http://dolnoslaskosc.pl/rozmowa-z-ewa-sonnenberg,673.html>.

³⁹ Tamże.

oraz Różę Luxemburg, ponieważ feminizm ma, najogólniej mówiąc, dwa odcienie: lesbijski i polityczno-filozoficzny. Ewy Sonnenberg erotyki?

Każdy poeta powinien mieć swoją księżniczkę. Ja swoją poznałam w Paryżu. Muzy muzami, ale księżniczka to rzecz konieczna. Bez miłości jest zimno. Po prostu zimno. Świat rozbiera się przed nami do szkieletu. Jego biel jest oślepiająca. Budzi niepokój i lęk. Wszystko takie nieporuszone w swoim chaosie. Miłość porządkuje świat. Nadaje kolejność każdemu gestowi. Zupełnie jak w japońskiej Ceremonii Parzenia Herbaty. Zdecydowanie jestem za miłością. Jakby delikatny śnieg otulał wszystko co wokół nas. Zmienia się perspektywa miasta. Daleko blisko jest jakby jednym. Bez miłości wszystko jest takie oczywiste. Bez cienia wątpliwości, że może zaistnieć coś więcej, bardziej, mocniej. Świat bez miłości jest płaski nie ma w nim głębi. Nadaremnie próbujemy tworzyć historię swojego życia. Tak, to właśnie z nią tworzyłam historię swojego życia. Może właśnie wtedy gdy czekała na mnie w bramie przemoknięta na deszczu. Stała i czekała a deszcz padał i padał. Czekąca. Patrzyła nieruchomo przed siebie. [...] Paryż dodawał pikanterii do całej sytuacji. To na moście Pont Royal przyszyły mi do głowy pierwsze frazy wiersza *Współczesna wersja kuszenia* z tomiku *Płonący tramwaj* (2001). Na tym samym moście odczułam, czym jest pocałunek księżniczki. Delikatny i zaczepny w sam środek policzka. Może stąd wiersz składa się z kilkudziesięciu anafor zaczynających się od słów zgrzesz... Ale my grzeszyliśmy tym, że zbuntowałyśmy się wobec czasu. Że nasza przyjaźń nazywałyśmy „słodką obietnicą”. Że pomimo różnicy wieku tak samo odczuwałyśmy świat i byliśmy tak samo szalone. Że wszystko mija a my wbrew temu we dwoje byliśmy jak wieczność. Czuję się jakby ulice Paryża były budowane z myślą o nas. Jakby niebo runęło na ziemię i porwało nas do siebie. Wszędzie błękit, błękit oczu, błękit słów, błękit dotyku. Dobrze mi było z tym błękitem. Czuję się jak u siebie. Jakbym wreszcie dotarła do swojego łądu, który nazwałam Nowym Łądem Mentalnym⁴⁰.

Brr. Pełne tkliwości, liryzmu zawołania to świadome lub bezwiedne cytaty z osób cokolwiek od Sonnenberg wrażliwszych. Dziewczyna na wariacko wysokich obcasach, która czyni z wierszy, użyję jednej z jej najlepszych metafor, rozchyłaną przez zafascynowanego czytelnika waginę, trwa, tu nie ma wątpliwości, w miłości do siebie wyłącznej, zazdrosnej, zaborczej („Chcę być jedyną dobrą osobą na świecie” – rzuciła do „Eprawdy”), w zawziętej walce bez przeciwnika. Namiętne przekonania rzadko, bo rzadko, ale układają się w mocne hasła, w rodzaju: „Polacy, wstydźcie się za to, co uczyniliście Żydom!”. Sonnenberg utrzymuje, że zamknięto jej blog za te poetyckie słowa. Ba, poprzestała na pustym wykrzykniku, przemilczając, że nigdy nie wystąpiła w obronie hejtowanych żydowskich lub tęczowych kolegów po piórze. Lapidarnie, choć w innych pojęciach, wyraził to Zbigniew Mikołajko: „...ci, którzy mówią 'moja chata z kraja' i którzy stanowią ogromny 'zasobnik' ludzi o złych odruchach kulturowych, politycznych i moralnych [...]. Rozpoznamy tych osobników po tym, że w sondażach odpowiadają: nie wiem, nie jestem świadomy, nie słyszałem. Są radykalnie partykularni, radykalnie egocentryczni, niczym ławica drobnych, drapieżnych ryb”⁴¹. Konsumpcja to metabolizm, przekształcanie w odchody – „moje wiersze są jak odchody Buddy”. Tworzy wciąż jeden wiersz-rzekę, strumykami różnych napięć, nadziei, newsów, hitów, konfliktów, wciąż z wycofanym do świadectw – przy pracy nad tekstami nadal wynajmuje usługi polonistów: daje im bruliony tekstów do dokonania skrótów, nawet przebudowy utworów. Sonnenberg notuje hurtem. Taka sztuka, taka literatura, jest tworzeniem świata wspak. A w okresach upadku kultur, zauważał Piotr Kuncewicz, lawinowo przybywa dzieł, zresztą nikt, włącznie z redaktorami, wydawcami, autorami, nie odróżnia ekstremów od marazmu. Wydawanie tomików poetyckich staje się oczywiście aktem rozpaczki lub zidiocenia. Proszę tego nie

⁴⁰ E. Sonnenberg, *Planeta, Historia wierszy 4*, <http://www.wforma.eu/planeta-historia-wierszy-4.html>.

⁴¹ <https://wydarzenia.interia.pl/felietony/szubarowicz/news-obojetni-czyli-trzecie-plemie>.

odbierać jako ponurej prognozy. Poezja triumfuje – lecz śpiewana, steatralizowana, poeta wskakuje na estradę, która elektryzuje silniej niż ołtarz w kościele. Celebrans i bóstwo jednocześnie, otwarcie zwane własnie idolem, przy sztucznych wzmacniaczach ekspresji, „Tak, jakbyś walczyła ze sobą” – otóż na Facebooku Sonnenberg faktycznie tańczy, przegina się, szepta o możliwości własnej śmierci, zaprasza do reality show. Do filozofii „niepojętej – dla was”; uwodzi chwilami świetnymi bez wątpienia wybłyskami fake-bystrości: one błyszczą jak psychodeliczne barwy plastikowych towarów. Mają wszelkie dane, aby „zaistnieć” – pod warunkiem wyprowadzenia w unerwioną przestrzeń estradowego wykonania. Środków niewerbalnych. Są w pewnych swoich frazach zbyt onirycznie czyste, ponadto zbyt lepkie, sądząc z ilości powtórzeń zaimków *ja* i *moje* w każdej już wypowiedzi, aby oczekiwać, że autorka wyrazi jakieś myśli, a nie wyłącznie jęk, iż jej unikalne, bezcenne ego „wszyscy depczą”. Weszła w nurt bezpowrotny, ku własnemu nieodptakane-mu dzieciństwu w kloszu, w jakim trwa nie krzyk dziecka, ale matki, jak wymknęło jej się w jednym z wierszy. Oddaje więź nie tyle z Muzami – inspiracją, co z Pięknem – produktem. To oznacza imitację skowytu na milionach winylowych płyt sztuki rozpaczy, których wielkie fotografie zdobią Times Square. Uśmiechnę się do poetki wierszem Bursy:

[...]

Gdy będziesz siedział na Brodwayu
w barze piękniejszym niż oczy szatana
spytają cię niezawodnie
czy twój ojciec pali fajkę
wtedy odpowiedz z uśmiechem
Yes, my father smokes the pipe
Widzisz
jak to będzie cudowne⁴²

⁴² A. Bursa, *Języki obce*, <https://www.biuroliterackie.pl/biblioteka/cykle/andrzej-bursa-jezyki-obce/>.



Cywilizacja i kultura. Czy literatura jest wytworem kultury, czy literatura tworzy kulturę? Co niszczy co?

Siedziałem na brzegu
Łowiąc ryby, z jałową równiną poza mną,
Kiedyż na ziemiach moich zaprowadzę ład?
Most Londyński wali się wali się wali
[...] O jaskółko jaskółko [...]
Te fragmenty wsparłem o moje ruiny
Dobrze, niech będzie tak. Hieronim znów szalony.
[...] Pokój ponad wszelkie pojęcie.¹

1.

Odkrycia i wynalazki ułatwiające ludziom życie powodują zachwyty i pewne zachłyśnięcie się nowoczesnością, gdyż każde z pokoleń przeżywa coś takiego, co jest dla nich zaskoczeniem, przełomem, novum. Żyjąc w danym czasie, trudno jest zauważyć, jak ważna ze względu na kierunek dalszego życia jest dostrzegalna zmiana, jakie skutki przyniesie w przyszłości. Kolejne pokolenia społeczności żyją w owych „skutkach”. Odwołując się, nie zawsze jednak można dotrzeć do przyczyn tego, co istnieje obecnie. Jeśli już człowiek dotrze do przeszłości, odkryje, zinterpretuje, to nadaje temu spostrzeżeniu nazwę. Człowiek stwarza pojęcia, terminologię, definicje. Zachowanie takie ułatwia poruszanie się w teraźniejszości, rozszerza jego przestrzeń.

Termin kultura, jak podaje Władysław Tatarkiewicz, wywodzi się z rolnictwa, cywilizacja – z administracji.

Profesor Philip Bagby² wprowadza określenie cywilizacji jako czegoś większego, zawierającego w sobie bardziej złożone kultury. Cywilizacja to kultura życia miejskiego. Cechą miast jest to, że większość mieszkańców nie trudni się rolnictwem. Cywilizacje służą do opisu życia w miastach, a kultura – na wsi. Powstanie miast zbiega się w czasie z pojawieniem się nowego systemu wartości i nowych instytucji, a więc nowej kultury.

„Zrozumiałe, że miasto różni się od wsi nie rozmiarem, lecz tym, że ma duszę”³. Kultura w pojęciu Oswalda Spenglera oznaczała wzrost, dynamiczny rozwój, realizację możliwości, natomiast cywilizacja była synonimem obumierania, schyłku. „Człowiek odczuwa wielki sens życia w wyniku walki natury wewnętrznej przeciwko naturze zewnętrznej. Człowiek stał się twórcą swojej taktyki życiowej. Jest ona jego wielkością i jego przeznaczeniem”.

Człowiek tworzy kulturę i cywilizację. Ma świadomość przenoszenia życia, trwania, poszukuje formy, buduje „przetrwalniki”, i z reguły stara się zabezpieczyć na jak najdłuższe istnienie, zabezpieczyć przed atakiem z zewnątrz. Stworzył więc miasto.

¹ T.S. Eliot., *Ziemia jałowa*, Kraków 1989, s. 33.

² P. Bagby, *Kultura i historia*, Warszawa 1958, s. 226-280.

³ O. Spengler, *Historia, kultura, polityka*, Warszawa 1990, s. 240.

Zniszczenie miasta jest równoznaczne z regresem do Chaosu⁴. Człowiek wówczas ucieka w irracjonalizm, magię. W pierwszych kulturach człowiek charakteryzuje się naiwnością, nie wierzy, nie wie, że zło pochodzi od człowieka. Buduje fortyfikacje, zabezpieczając się przed demonami, złymi mocami, nie zdając sobie sprawy, że tego demona nosi w środku siebie. Ciemność niszczy ład, następuje powrót do chaosu. Ale też wszelka budowa i wszelkie zainaugurowanie nowej siedziby są poniekąd równoznaczne z nowym początkiem, z nowym życiem.

„Pomimo triumfów naukowej techniki, współczesny świat nadal zawdzięcza swój koloryt sztuce, muzyce i poezji, a swoje hasła czerpie z historii i literatury. Ludzie chętniej zrezygnują z nauki niż ze śpiewu, tańca i opowieści; dla osiągnięcia emocjonalnych i intelektualnych satysfakcji wystarcza pędzel i sztalugi albo czytana w kącie książka”, tak pisze Rene Dubois w książce *Pochwała różnorodności*.

Tworzymy świat, żyjąc w nim. Kreujemy własną kulturę, przymierzając różnego rodzaju „sukienki”. Ta pasuje, a tę warto lepiej dopasować, a tę przerobić.

Ernst Cassirer w *Eseju o człowieku* następująco definiuje kulturę: „kulturę jako całość można nazwać procesem postępującego samowyzwalania się człowieka. Język, sztuka, religia, nauka są różnymi fazami tego procesu”. Proces samowyzwalania się człowieka polega na wielorakiej i zróżnicowanej twórczości, aktywne siły człowieka konstruuja z przypadkowej rzeczywistości rzeczywistość sensowną – ludzką. Człowiek wyzwala się w oparciu o swoją duchowość, tworzy odpowiednie narzędzia, znaki, gesty, symbole i posługuje się nimi. Dążenia ludzi określają istotę człowieczeństwa i granice istnienia świata kultury. Z giniącą świadomością zamiera, niszczyje kultura. Część jej pozostaje w postaci zarchiwizowanej w różnych formach. Piśmiennictwo jest jedną z tych form. Literatura zamknięta w słowach staje się otwarta dla człowieka w momencie, gdy on sięgnie po nią. Dwie połowy, on – człowiek i ona – literatura, w jednym spoiwie uruchamia całość.

Wola życia w ostatecznym rozrachunku tworzy społeczeństwa, pokoleniowość, która jest nośnikiem kultury poprzez jej wartości, przetrwalniki.

Tworzenie, odtwarzanie, ekspresja czy interpretacja jest odkrywaniem rzeczywistości wciąż na nowo.

2.

Współcześnie definiuje się cywilizację w skojarzeniu z historią. Pozwala to powiązać wydarzenia w wewnętrznej całości. Cywilizacja ma też przekazywać treści uniwersalne, także służyć opisowi indywidualnych zachowań mniejszych zbiorowości. Władysław Tatarkiewicz podaje: „cywilizacja jest wytworem ludzi posiadających kulturę, ale jest też głębią, na której wytwarza się dalsza kultura”⁵.

Józef Bańka⁶ natomiast zwraca uwagę na dwa sposoby wartościowania cywilizacji i kultury: anglo-francuski i niemiecki. Pierwszy stawia wyżej cywilizację, wiążąc ją z postęphem i osiągnięciami Zachodu, drugi wynosi kulturę ponad cywilizację. Profesor przedstawia własną teorię relatywizmu, gdzie cywilizacja jest pochodną kultury i ma tendencję wykraczania poza jej obręb. Recentywizm (teraźniejszy) jest synonimem bycia-teraz-tutaj i sprowadza się do odnoszenia wszystkich problemów indywidualnej i zbiorowej egzystencji człowieka do teraźniejszości. Czas historyczny, jako główny nośnik życia cywilizacji, zostaje w tej koncepcji wyparty przez czas antropologiczny, czas poszczególnych ludzi i wielkich zbiorowości.

Bagby wykazał, iż „cywilizacje są naczelnymi zjawiskami na obszarze dziejów i że najpewniejsza droga do zrozumienia opisywanych przez historyków zdarzeń jest empiryczna analiza regularności kulturowych”. Odkrył regularności – zasadę sąsiedztwa geograficznego, współczesności trwania. Pewne człony naczelnych

⁴ M. Eliade, *Sacrum, mit, historia*, Warszawa 1970, s. 81-83.

⁵ W. Tatarkiewicz, *O filozofii i sztuce*, Warszawa 1986, s. 150.

⁶ *Encyklopedia socjologii*, t. 1, s. 103.

dziwięciu cywilizacji przenikają się, jedne czerpią z drugich myśli, wartości, wzory zachowań. „Bliźniactwo” cywilizacji polega na ogólnym charakterze i stopniu rozwoju, nie dotyczy kultury w stopniu bezpośrednim.

Kultura według Bagby'ego jest wynikiem ludzkich zachowań. Czynnikiem, który można by wyodrębnić jako zmienną wciąż pojawiającą się w dziejach, jest rozwój, usprawnienie życia ludzkiego.

W dzisiejszych czasach innowacyjność staje się miarą rozwoju, tempa biegu życia społeczno-technologicznego. Owo tempo jest tak szybkie, iż zdawać by się mogło, że tracimy z oczu sam sens biegu. Po prostu biegnij, bez sensu, ale biegnij – do przodu, bo szybkość zamaskuje potencjalne błędy wykonawcze i rozumowe. Uwierz, że ktoś pomyślał za ciebie, ty nie myśl, ty biegnij i gnaj. I co się wydarza? Czy zauważamy, że wpadliśmy w sidła myślenia totalitarnego?

A więc: łapiemy się na słowo wędkę: rozwój. Jednak nie zastanawiamy się nad sensem znaczeniowym ani nad skutkami decyzyjnymi, w których istnieje NASZE TERAZ. Pęd, czyli szybkość stała się w świecie współczesnym walorem i wartością niematerialną, ale nie – duchową. A hasłem napędowym modne słowo: rozwój. A przecież moda jest związana z czymś przemijającym i chwilowym, formą sposobu bycia, zwyczajami związanego z tradycją szczególnego zachowania, czyli przyodziewku, przybrania się, ubrania, odziania. Mówimy: ta sukienka stała się już niemodna... Tak właśnie żyjąc współcześnie, wykreowaliśmy modę na materializm i materialność jako wartość do szybkiego zburzenia. Bowiem jeśli zechcielibyśmy spojrzeć na obecny wytwór pod kątem dystansu czasowego, bo przecież przyszłość niezadługo stanie się terażniejszością, w której my zdążymy jeszcze trochę pożyć, a na pewno żyć w niej będą nasze dzieci, to nasuwa się pytanie: do czego potrzebna jest ludzka wyobraźnia?

W tym kontekście interesującą zdaje się być koncepcja falowości Alvina Tofflera. Według niej, obecnie żyjemy na progu tzw. trzeciej fali cywilizacji przemysłowej. Pierwsza fala miała miejsce ok. 8000 r. p.n.e. do około 1650-1750 roku. Druga fala, przypadająca na okres 1650-1750, osiągnęła szczyt w Stanach Zjednoczonych około 1955 roku, w momencie przewagi „białych kołnierzyków” nad „niebieskimi kołnierzykami”. Bardziej złożony podział pracy potrzebował wielu bardziej wyspecjalizowanych rodzajów przestrzeni – nowa architektura – biurowce, remizy, domy towarowe itp. Powstałej masowej produkcji odpowiadać musi masowy obieg informacji, którym stare kanały nie mogły podostać. Ponownie umiera stare, rodzi się nowe. Widoczna jest klęska całego industrialnego sposobu myślenia. Powstaje załazek świata jutra. Podstawowym surowcem *trzeciej fali* będzie informacja połączona z wyobraźnią.

Co się właśnie obecnie dzieje. Toffler wyrokuje: „nastąpi dalsza depersonalizacja stosunków międzyludzkich (indi-video-system komunikacji niemasywowej) pociągnie on za sobą zmiany w systemie znaczeniowym uczuć, systemie pracy człowieka, powstanie nowa profesja – manager informacji”. Dom nabierze nowego znaczenia, nastąpi rozwój „prosumpcji”, zmiana korporacji w organizację kompleksową, zaistnieje wielość celów zasadniczych, dążność społeczeństwa do odmasowienia – dekoncentracja i różnicowanie, nastąpi też rozszerzenie elit. Wykreuje się nowy typ człowieka; *prosument*, człowiek typu *zrób dla siebie*. A zmiany prowadzą do *praktopii* czyli nie wymaganowanej utopii.

Spengler obawiał się o przyszłość istnienia człowieka. „Lecz tragedią naszych czasów jest, że pozbawione więzów myślenie ludzkie nie jest już zdolne ogarnąć swych własnych konsekwencji”⁷.

Toffler interpretuje tę niewiadomą konieczność z innej perspektywy – z perspektywy trwałości życia. Zgadza się, że obecnie odczuwamy chaos. Odczucie to wywołuje poczucie samotności, utraty poczucia struktury i sensu życia, musi więc odbudować się wspólnota, gdyż i pęd do zachowania życia jest naturalną skłonnością człowieka. Czynnikiem, które zakłócają dotychczasowy sposób widzenia świata przez większość z nas, jest ogólnie: „klęska całego industrialnego sposobu myślenia”⁸.

⁷ O. Spengler, dz. cyt., s. 76.

⁸ A. Toffler A., *Trzecia fala*, s. 558.

Toffler przenosi nas poza standaryzację, synchronizację, centralizację, koncentrację energii, pieniędzy i władzy i tworzy własny, odmienny światopogląd, na swój sposób traktuje czas i zasady przyczynowości. Bowiem światem przede wszystkim rządzi globalizacja.

3. Społeczeństwo ponowoczesne

„Pokażę ci strach w garstce popiołu”⁹.

Powyższym cytatem Elżbieta Hałas podnosi problem etosu chrześcijańskiego w społeczeństwie ponowoczesnym¹⁰.

Nie żyjemy teraz, żyjemy w wyobrazeniach przyszłości. Jaka ona będzie, nikt nie jest w stanie przewidzieć.

Zauważamy obecnie relatywizm ideałów i wartości, zmieniają się obyczaje i style życia. Paradoksalnie zagraża nam wolność. Wytwarzamy chaos informacyjny i nie potrafimy się w nim poruszać. A więc etos nowoczesnego społeczeństwa jest „zagrożony przez kryzys cywilizacyjny”¹¹. Sformalizowana religia nie stanowi „konkurencji we współzawodnictwie wartości”. Kulturze zawsze towarzyszyła religia, a obecnie nastąpiła sekularyzacja życia. To w rodzinie przekazywane są wzory wiary i zachowań. Byłoby to daleko idącą spekulacją myślową, iż pewnego rodzaju izolacja rodziny pełni funkcję pozytywną (powyżej: wizja Tofflera odrodzenia wspólnoty). Ludzie dokonują wyborów.

W rozmowie z Jarosławem Naliwajko¹² Zygmunt Bauman charakteryzuje kulturę ponowoczesną w jej najwiękzych zagrożeniach i nadziejach, proponując najpierw odpowiedź na pytanie.

Po pierwsze: W jakim świecie żyjemy? Po drugie: Jakie strategie życiowe są skłonni wybierać ludzie w tym świecie zanurzeni? Właściwie należałoby o tych kwestiach rozprawić w stylu muzyki Wagnera, w której melodie nie mają początku ani końca, a motywy uparcie z wypraw na boku powracają i lekce sobie ważą wszelkie granice... Jeden z moich mistrzów, Theodor Adorno, skarżył się na liniowość języka: lepszy byłby do opisu rzeczywistości nie istniejący niestety język kolisty. Co tu powiem będzie więc uproszczeniem, jak wszystkie próby naprostowania tego, co zawile”.

Już Z. Freud twierdził, że dzięki cywilizacji coś się zyskuje, ale też coś się traci. Cywilizacja nastawiona jest na zapewnienie bezpieczeństwa kosztem ograniczenia wolności. Teraz ludzie czują się zbyt wyzwoleńcy, by nie buntować się przeciwko cierpieniu.

Wartością, która panuje ponad wszystkie inne, jest wolność i ona przynosi najwięcej cierpienia. Zgryzoty i cierpienia ludzi ponowoczesnych są dolegliwościami ludzi skazanych na wolność¹³.

Każda decyzja związana jest z ponoszeniem ryzyka. Staliśmy się wędrowcami z musu. Bowiem:

Wszystko jest coraz bardziej płynne i tymczasowe – miejsca pracy i posady, instytucje, które je niegdyś gwarantowały, zapotrzebowanie na kwalifikacje zawodowe i umiejętności, wiedza potrzebna do ich posiadania, reguły, jakie w życiu popłacają i czyny, jakie szkodę przynoszą, ubezpieczenia zbiorowe, na wypadek, gdy poślizgnie się noga... Nawet przeszłość nie jest dziś bezpieczna – co się niegdyś za cnotę poczytywało, uznane jest za wadę, winy za zalety, zasługa za grzech... Trzeba mocno zęby zaciskać, by trwać przy raz obranej drodze, by traktować życie jako jedną wytrwałą pielgrzymkę do obranego celu, by trasę pielgrzymki zawczasu nakreślić

⁹ T.S. Eliot, dz. cyt., s. 8.

¹⁰ E. Hałas, *Symbole w interakcji*, Warszawa 2001, s. 231.

¹¹ Tamże, s. 232.

¹² Z. Bauman, *To, co najważniejsze, nie zostało jeszcze powiedziane*, „Przegląd Powszechny” nr 1/1999, s. 34.

¹³ Tenże, *Ponowoczesność jako źródło cierpienia*, Wydawnictwa 2000, s. 367.

i jej się trzymać. Wielu ludzi nie stać na to. Kusi, by żyć chwilą, nie myśląc zbyt o przyszłości i nie rozważając następstw dzisiejszych czynów; wszak i tak nie da się ich przewidzieć. A jest ta pokusa podszeptem nie diabła, ale rozumu: **człowiek rozsądny nie zawraca sobie głowy tym, na co i tak wpływu nie ma**. Żyć chwilą to tyle, co spodziewać się natychmiastowej satysfakcji i tylko nią mierzyć walory wszystkiego, co się czyni...¹⁴

W tym kontekście książka w rękę czytelnika nabiera dodatkowego znaczenia. Może być wyrazem, i z pewnością jest wyrazem, wyboru dokonanego przez człowieka. Z jednej strony, czytając, wchodzimy do nieznanego i tajemniczego świata. Lektura wchłania nas bez reszty, pozostawiając świat daleko poza granicami naszego „ja”. A z drugiej strony, zyskuje się wolność, wolność od świata, od jego problemów. Jednocześnie kształtuje się nasze „ja”, niezniszczalnego mola książkowego.

¹⁴ Z. Bauman, *To, co najważniejsze...*, s. 38-39.



Adam Lizakowski

Przemyślenia własne na temat książki Magdaleny Grochowskiej pt. *Różewicz. Rekonstrukcja* (tom 1)

Aby zrozumieć poetę i jego poezję, trzeba go zobaczyć poprzez jego życie, które było nie tylko inspiracją, ale także siłą napędową jego twórczości. Różewicz to barwny krzak róży w ogrodzie życia w kraju, gdzie największe święta państwowe to dni wielkich przegranych bitew, wojen, porażek na przestrzeni wieków. Barwny krzak róży w szarym i biednym kraju przestraszonych ludzi, wiecznie się szamotających lub mocujących z wrogiem, którym były: polityka, religia, literatura, kultura, własne korzenie tożsamości, wewnętrzne urazy na psychice, uczucia niespełnienia i niemocy.

Różewicz. Rekonstrukcja to historia opowiedziana swobodnie, czasem nawet mało dyskretnie, ale prawdziwie o życiu jednego Polaka, które równocześnie było życiem milionów Polaków; jednego poety, którego poezję czytały miliony czytelników. Podobną biografię do poety Tadeusza Różewicza miały miliony jego rodaków urodzonych u progu uzyskania przez Polskę niepodległości. Nieufność do ludzi, podejrzliwość, wzajemna niechęć do siebie, nawet „dziwna agresja” widoczne są gołym okiem – tacy są Polacy, tak odnosimy się do siebie nawzajem. Polacy niemający zaufania do władzy, obojętnie kogo by nie wybrali, zawsze mają jakieś „ale”, problemy z Polską i polskością, własną tożsamością.

Magdalena Grochowska napisała książkę o poecie z Wrocławia, ale jest to także opisanie moich rodziców, ich rówieśników, dwóch, a nawet trzech pokoleń, które „wszczepiły” traumę tamtych czasów swoim dzieciom i wnukom. Różewicz pisze o wojennych przeżyciach w czasie teraźniejszym, to one były ważnym elementem kształtującym jego oso-

bowość, ale w przeciwieństwie do większości Polaków nie zachował ich tylko dla siebie. Otworzył się na teraźniejszość i przyszłość, zaczął uczestniczyć w życiu kraju, jako dziennikarz i jako poeta. Zdał sobie szybko sprawę z tego, gdzie jest jego miejsce, nikogo ostro nie osądzał, a swojego życiowego wyboru nie traktował jako poświęcenia się „wyższej sprawie”, niczego nie idealizował ani niczemu się nie dziwił. Wielu czytelników może zadać sobie pytanie: skoro rodaków były „miliony”, to dlaczego właśnie on? Dlatego, że jak mało kto on potrafił pisać naprawdę ważne wiersze zwrócone do świata, który wraz z nim stwarzał nową polską rzeczywistość po II wojnie światowej. Jak mało kto on miał wewnętrzną swobodę i zdolność wystowienia tego, co było nowe w polskiej poezji w drugiej połowie XX wieku. Był nowoczesny, a zarazem duch czasu przeszłego „miał go w swoim posiadaniu”, bo on należał do garstki poetów, którzy słyszeli ducha czasu, dźwigając na swoich ramionach wszystkie polskie obciążenia związane z historią i polityką. Z tego powodu odczuwał zmęczenie. Jego ironia i cynizm dawały często znać o sobie, unikał ludzi ze swojego kręgu, nie brał udziału w zebraniach i jeśli musiał coś już zrobić lub „wykonać”, nie robił tego z uśmiechem, ale z grymasem – taki był.

Opisać to, opowiedzieć o tym – to bardzo interesujące przedsięwzięcie, w którym autorka próbuje przekraczać granice dopuszczalnego opisu, czasem nawet wywoływać dyskomfort u czytelników, poprzez interpretowanie wierszy poety, zagląda pod łóżko i do łóżek, szafy, kredensu, za poetą jeździ po jego miejscach, szpera w listach osobistych i do przy-

acji, dopytuje się o przebyte choroby, historie rodzinne, a nawet powołuje zmarłych, aby potwierdzili jej słowa lub przepuszczenia.

Czytelnik zdaje sobie sprawę z tego, że twórczość Różewicza to jedna strona medalu, a jego życie osobiste to druga, chociaż wielu badaczy twórczości tego poety uważa, że czytając jego wiersze, jesteśmy w stanie dzień po dniu, kilometr po kilometrze towarzyszyć mu w jego rzeczywistym życiu. Autorka opisuje życie poety: pierwsze lata w Radomsku, jak było przed wojną, w czasie wojny, gdy Różewicz był pracownikiem magazynu, w którym dawał sobie raczej średnio radę. Jako partyzant, kapral podchorąży „Satyr”, jeśli nie musiał strzelać, to pisał wiersze. Grochowska pisze o śmierć Janusza, ukochanego starszego brata poety, który został rozstrzelany na kilkanaście tygodni, zanim dotarła do Łodzi Armia Czerwona. Po wojnie i po ujawnieniu się w Piotrkowie Trybunalskim, Tadeusz powraca do życia cywilnego. Lata powojenne też nie należą do łatwych, m.in. umiera matka poety. Nie brak też opisów relacji osobistych poety z jego najbliższymi: synami, Janem i Kamilem, żoną, bratem, matką, ojcem.

Znaczący jest tytuł biografii Różewicza: *Rekonstrukcja*. Rekonstrukcja to znaczy odtworzenie, renowacja czegoś ważnego, zabytkowego, doprowadzenie czegoś do stanu sprzed zniszczenia – co dokonuje się w tym przypadku na podstawie zachowanych wierszy, dramatów, tj. twórczości. Do tego można dodać jeszcze listy, fotografie, wspomnienia bliskich i dalekich poety, z którymi los go zetknął, albo skrzyżował drogi.

Grochowska opisała poetę, przywołując do opowiedzi jego bliskich i znajomych na przestrzeni jego długiego życia. Dzięki ogromniej pracy autorki książka powołała żywych i umarłych do opowiedzenia o kimś, kogo właściwie znał każdy Polak urodzony po II wojnie światowej poprzez lektury szkolne, gazety, teatry, słowem – mass media.

Wielu czytelników poezji Tadeusza Różewicza będzie zdziwionych tym, że jego matka była córką rabina i w wieku 12 lat uciekła z domu lub została z niego uprowadzona, lub świadomie, jako dziecko zdecydowała się na życie poza społecznością żydowską. Trafia do księdza w miejscowości Osjaków

koło Wielunia, który ją ochrzcił i wychował, przyuczył do zawodu, a z czasem wydał za mąż w wieku 18 lat za o 10 lat starszego od niej przyszłego ojca poety. Władysław jest nie tylko od żony starszy, ale o „trzy głowy” wyższy. Do dzisiaj nie wiadomo, dlaczego matka poety opuściła swój dom. Tę tajemnicę zabrała ze sobą do grobu.

Na przestrzeni stu lat rodzina matki „roziewia się jak mgła”. Tym sprawom jest poświęcony rozdział trzeci *Wyszedłeś z matki razem z krwią*. Jak ważna jest matka – ten temat Grochowska zgłębia z dociekliwością detektywa. Razem z nią odwiedzamy miejsca w przestrzeni i czasie, który został zamknięty w ludzkich słowach i pamięci.

Poeta pomimo tego, że był synem córki rabina, która z bliżej nikomu znanych powodów nie chciała być Żydówką, też nie czuł się Żydem.

Poeta urodził się i dorastał w kulturze polskiej, żadnej innej, tylko i wyłącznie mówił po polsku i myślał jak Polak, żył jak Polak, chodził do kościoła i na lekcje religii jak Polak i żadnej religii i kultury poza polskością nie znał. A jeśli powstawały wiersze o holokauście, to nie dlatego, że napisał je, że czuł się Żydem, ale dlatego, że czuł się człowiekiem, humanistą, którego człowiek rozczarował. Przez przypisywane mu żydostwo wycierpiał się niemało w czasie wojny i po, ale dzięki zycielwym ludziom on i jego rodzina przeżyła wojnę. Jedno jest pewne, że bracia Różewiczowie, Janusz, Tadeusz i Stanisław mieli z tego powodu wiele kłopotów i o tym autorka książki dość obszernie pisze. Temat ten można zakończyć słowami żony poety, która powiedziała, że ani Tadeusz, ani matka nigdy na ten temat nie rozmawiali (s. 61). Trzeba dać wiarę słowom żony poety i uszanować przede wszystkim milczenie matki. Każdy ma prawo do własnej tożsamości i nikomu nie wolnego tego prawa zabierać.

Książka w wielu miejscach jest brutalna, niesamowita, zachwycająca, dużo w niej humoru, takiego specyficznego humoru poety, który mówi: „Wojna wybuchła tego dnia, kiedy przypaliły się matce wiśniowe konfitury na piecyku” (s. 46). Kilka stron dalej (s. 55) autorka pisze, że w Marcu '68 na liście lokatorów, gdzie mieszkał we Wrocławiu, ktoś namalował przy jego nazwisko gwiazdę Dawida. To

już nie jest śmieszne, ale i z tego jawnego „donosu szmalcownika” wychodzi cało on i jego rodzina.

Jednym z najbrutalniejszych rozdziałów jest rozdział 8 pt. *Róża wiatrów*, mówiący o Różewiczu, jako partyzancie i jego sztuce teatralnej pt. *Do pachu*. Sztukę tę dramaturg odczuł bardzo dotkliwie, co szeroko opisuje Grochowska.

Tadeusz żartuje sobie z tych, co zadają mu pytania o wojnę, nie żartuje, gdy pisze sztukę teatralną i wiersze o tym czasie. (Sporo na temat Różewicza w partyzantce pisze prof. Andrzej Skrendo w przedmowie do wierszy wybranych poety w książce Biblioteki Narodowej wydanej w 2016 roku). Doskonale wiedział, że wojna toczyła się nie tylko z wrogiem z Zachodu i Wschodu, toczyła się także o Polskę w sercach i głowach, o to, jaka ona będzie – czy NSZ, czy AK, a może tych z Batalionów Chłopskich i Armii Ludowej? Pomiędzy partyzantami dochodziło do takich wrogości, że „Warszyc” zakazuje dysput politycznych (s. 241). Czy to coś dało, czy to pomogło, można powiedzieć za partyzantem Różewiczem, że nie. Problem jest złożony i dzisiaj, prawie 80 lat od tamtych czasów wciąż trwa. Rozpocząć nowe życie w maju czy czerwcu 1945 było niesamowicie trudno, o tym też jest ta książka.

Różewicz i Kraków

Po wojnie z Częstochowy, gdzie rodzina Różewiczów w 1943 roku ukryła się przed oczami „szmalcowników”, młody poeta dzięki wcześniejszej korespondencji z uznanym poetą Julianem Przybosiem trafił do Krakowa. Zamieszkał w legendarnym już dzisiaj domu przy ulicy Krupniczej 22. Jakie to było życie, i kto tam mieszkał – długo by można było mówić. Został studentem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Tadeusz nadrabia braki w wykształceniu, lata zabrane mu przez wojnę, czyta prawie wszystko, co wpadnie mu w ręce; Norwid, Mickiewicz, Eliot, Miłosz, Rilke, Heine oraz utwory swojego promotora Przybosia. W Krakowie poznaje też i zaprzyjaźnia się z wieloma malarzami, artystami, niektóre z tych przyjaźni będą trwały aż do śmierci przyjaciół.

Jak pisze autorka książki, „Machina terroru nabrała rozpędu” (s. 271). Skończył się terror hitlerowski, rozpoczął się terror stalinowski, a Różewicz szuka własnej formy poetyckiej, sposobu, by wyrazić sie-

bie jak najprościej. Pyta, czy jest możliwa poezja po Auschwitz. Koszmar wojny, bolesne doświadczenia, upadek człowieka, a nawet ludzkości to jeszcze nie wszystko. Dochodzi powojenny niepokój, który przerodzi się w nieustający-wieczny niepokój. Poezja nie może być protestem przeciw czemuś, skargą małego człowieka, krzykiem duszy, narzucaniem się Bogu ze swoimi problemami istnienia. Poniżenie człowieka przez człowieka, tortury, zbydlęcenie, udręka i szczenie jednego na drugiego, dzierganie numerków na rękach, które człowiek ma do pracy, którą ma chwalić Najwyższego. Krew przelana, blizny zadane na ciele i psychice, znieczulenie – czy wolno o tym zapomnieć? Jak można o tym pisać? Czy poprzez twórczość twórcy powinni oskarżać morderców, wszystkich tych, którzy są winni? Czy po Auschwitz da się jeszcze pisać wiersze? Różewicz odpowiada – da się i pisze, aby kurz zapomnienia nie pokrył pokrzywdzonych i zamordowanych. Różewicz podtrzymuje pamięć o Wielkiej Zagładzie, ale nie jest moralizatorem, właściwie nikogo nie oskarża, chociaż jako humanista wie, że pamięć o ofiarach powinna odmieniać tych, co przeżyli piekło. Chyba w żadnym ze swoich wierszy nie mówi wprost, że to Niemcy są winni, że to oni ponoszą winę, nie pisze nawet, że byli to hitlerowcy czy naziści.

Wyprowadzka do Gliwic

Poeta Różewicz nie najlepiej czuje się w Krakowie, studiów nie kończy, w 1950 roku przenosi się do Gliwic, gdzie poślubia swoją ukochaną dziewczynę, wspomnianą już Wiesławę. Nie musi ileś tam razy „kursować pociągiem na trasie Kraków-Gliwice”, aby spędzić kilka godzin z ukochaną. Jego młodszy (nieżyjący już od kilku lat) syn Jan określa to jako „spadek po bracie, wojenny”. W Gliwicach zakłada rodzinę, „staje się władcą kobiet”: żona Wiesława, matka i siostra żony oraz własna mama. Rodzą się dzieci, w 1950 roku Kamil i Jan w 1953 roku. Na prowincji śląskiej Tadeuszowi jest chyba dobrze, odnajduje się. Pracuje jako dziennikarz, wyjeżdża za granicę, dzieci rosną. W listach do znajomych świat literacki, ten warszawsko-krakowski, określa jako „wychodek”, „wszy literackie”, „monstrualne gówno”. Ma powody, aby tak pisać pod koniec roku 1951, gdy w Polsce stalinizm osiąga swoje apo-

geum. Seweryn Polak, Grzegorz Lasota i inni atakują go za Eliota i Miłosza. Poezie z trudem udaje się ująć całość tej nagonki, chociaż nie były to żarty i można była trafić do więzienia na wiele lat.

Wiele lat później wspomniany Lasota powie, że zaczął się jak wielu stalinizmem.

Komunizm w Polsce nie upadł wraz z berlińskim murem, o tym trzeba pamiętać i poeta też tego doświadczył we własnej rodzinie. Komunistyczne zbrodnie wielu próbuje wymazać z pamięci, nadal w Polsce są poeci, literaci, aktorzy – tajni współpracownicy funkcjonujący obok swoich ofiar, na które pisali donosy, uprzykrzali im życie, często je łamiąc lub przetrącając.

W rozdziale ostatnim pt. *Być Genetem w Gliwicach* czytelnik znajdzie dywagacje na temat nowego miejsca poety, po jego wyjeździe z Krakowa. Pisze w listach do przyjaciół, że w Gliwicach śmierdzi dymem, miasto jest też czarną dziurą. Znany Zdzisław Hierowski zastanawia się nad tym, co poetę trzyma w Gliwicach. Różewicz wie swoje, z nim dostanie zaproszenie do przeprowadzenia się do Wrocławia, pomieszka na Górnym Śląsku dziesięć lat, bardzo owocnych. W mieście tym oczyszcza się z pożądania, z łapczywości świata, smaków, kolorów, nabiera pewności siebie, jest już kimś, z kim trzeba się liczyć.

Różewicz a Miłosz

W dalszych partiach biografii autorka powołuje się na autorytet profesora Andrzeja Skrendy, który zastanawia się nad tym, dlaczego Różewicz nazwał Miłosza starszym bratem. Przecież było mu o wiele bliżej do Przybosa niż Miłosza. I Skrendo sam sobie odpowiada: to znaczy zaakceptować to, że jest się drugim – po starszym bracie. Dowodem na to, że Różewicz czuł się drugim, ma być wiersz Miłosza *Do Tadeusza Różewicza, poety* (s. 398). Poza tym powtórzę za profesorem – Miłosz dostał Nagrodę Nobla i był bardziej znany w świecie niż Różewicz. Różewicz od samego początku, od debiutu był sam i pracował na „własną rękę”. Najpierw odrzucił go Przybós, który był jego mistrzem, później Miłosz, który był jego promotorem, a końcu on sam się „wyrzucił z Krakowa i Warszawy”, ze spo-

tkań z literatami, o których miał jak najgorsze zdanie. Tadeusz był apolityczny, nie uczestniczył w żadnych zbiorowych akcjach literatów, a wiersze i dramaty pisał przede wszystkim dlatego, że rodzina musiała z czegoś żyć: była żona, która nie pracowała i dwaj synowie, których trzeba było wychować i wykształcić. Żona była genialna, wiedziała, czego potrzebuje poeta do pracy: ciszy i spokoju, prywatności i swobody w tym, co robił. Przepisywała wiersze na maszynie, bez zadawania pytań, była wspaniałą żoną i sekretarką. Miłosz takiej żony nie miał, pani Janina zawsze miała jakieś „ale”, gdy przepisywała męża wiersze na maszynie, dlatego musiał mieć sekretarkę. Poeta skarżył się na żonę – sekretarkę w listach do redaktora paryskiej „Kultury”, stąd to wiemy. Tadeusz na swoją żonę się nie skarżył, ani ona na niego, razem przeżyli 70 lat.

Na pytanie: „Kim jesteś?” Tadeusz Różewicz odpowiedział przed laty: „Kto mnie uważnie czyta, ten wie”.

Różewicz jest ojcem współczesnej poezji polskiej, jaka powstała po II wojnie światowej, a nie Miłosz. To Różewicz otworzył drzwi milionom grafomanom do poezji, a nie Miłosz, wszyscy poeci, czy chcą, czy nie chcą, są naśladowcami Różewicza.

Różewicz miałby o czym rozmawiać z młodszym bratem Miłosza, Andrzejem, który miał podobny wojenny życiorys do niego. Żołnierz AK w Wilnie i na Litwie, ratował Żydów, udzielał pomocy polskim oficerom w ucieczce z obozów internowania. Czesław takiego życiorysu nie miał, chodził po Warszawie w czasie wojny z litewskim paszportem. Poza tym jego poezja była zupełnie inna niż Różewicza, chociaż obaj w swoim fachu byli mistrzami i czytali swoje wiersze bardzo uważnie, to doświadczenia życiowe, środowisko, w którym wyrosli, a także zadania i oczekiwania od poezji mieli zupełnie inne. Ich stosunek do religii, Boga, metafizyki był inny. Znałem osobiście obu poetów, nawet byłem w ich domach/ mieszkaniach i wiem, że Miłosz jako człowiek był przeciwieństwem Różewicza, który był osobą tajemniczą, nieufną, skrytą, niechętnie mówiącą o sobie, cóż dopiero o najbliższych czy swojej twórczości. Gdyby żył, biografia, taka jak ta, nigdy by nie ujrzała światła dziennego. Autor *Trzech zim* żył na

co dzień w wielkim świecie, w którym, trzeba było codziennie kilka razy odpowiadać na pytanie „How are you?” lub „Where are you from?”. Różewicz tego nie musiał robić, żył w Polsce, gdzie nawet nie wypadła dobrze o samym sobie coś powiedzieć, bo zaraz rodacy mają cię za bufona, buraka, chwalipiętę etc. Żył w kraju, gdzie bajka o kopcuszu, którego znajdzie książkę, nadal obowiązuje. Autor *Traktatu poetyckiego* taki nie był – był łapczywy życia, kochał życie, był egoistyczny, zawistny, zazdrosny, zawsze potrzebował więcej i wcale się nie krępował, wołając więcej. Różewicz tego nie potrafił. Pamiętam, jak przy pierwszym spotkaniu z poetą w 1989 roku, gdy jeszcze mieszkał przy ulicy Januszowickiej, duże, ogromne drzwi otworzyła mi żona poety, pani Wiesława, a poeta zaprosił do siebie. Podczas rozmowy o wielkim świecie, Kalifornii, San Francisco, w którym wtedy mieszkałem, panu Czesławie w Berkeley, patrząc na wiszące na ścianach obrazy sławnych już wtedy polskich malarzy, pani Wiesława powiedziała: ich obrazy dzisiaj dobrze się sprzedają, ale mój mąż, jak jedzie za granicę, niczym nie handluje ani nie kupuje, wszystkie pieniądze zostawia w muzeach, tak kocha sztukę. Z domu w podróż zagraniczną bierze ze sobą tylko szczoteczki do zę-

bów i pastę, i z tym wraca do kraju. Przy pożegnaniu z poetą i jego żoną wyjąłem aparat fotograficzny, aby zrobić kilka zdjęć na pamiątkę, poeta złapał mnie za rękę, mówiąc ścisłym głosem, proszę nie robić zdjęć, dam panu swoje. I podarował mi dwa duże czarno-białe zdjęcia autorstwa Adama Hawały, wielkości kartki papieru, tłumacząc mi, że tylko on ma prawo do robienia mu zdjęć. Wydało mi się to dziwne, bo panu Czesławowi mogłem robić zdjęć, ile chciałem w Berkeley, i właściwie nigdy nie zabraniał mi się fotografować. Jedynie pytał, dla kogo robię i zawsze moja odpowiedź była jedna: dla siebie.

*

Książkę cenionej dziennikarki Magdaleny Grochowskiej polecam, z wielką niecierpliwością czekam na drugi tom biografii mojego poety z Wrocławia. Muszę też dodać – ja czekam wraz z armią poetów, którzy urodzili się po wojnie i debiutowali nieważne czy pięć, dziesięć, czy pięćdziesiąt lat temu. Wszyscy jesteście żołnierzami Generała T. Różewicza.

M. Grochowska, *Różewicz. Rekonstrukcja*, t. 1, Warszawa 2021. Cytaty pochodzą z tego wydania.

Świdnica, grudzień 2021



Ewa Mielczarek

Odszedł Henryk Szyłkin, piewca Kresów



In memoria

Z przykrością przyjęłam informację o śmierci nestora poetów lubuskich Henryka Szyllina. Odszedł 16 stycznia 2022 roku. Był bardzo popularny w środowisku literackim, przez lata mieszkał i tworzył w Zielonej Górze. Urodził się 1 listopada 1928 roku w zaścianku Santoka koło Wilna i to właśnie Wileńszczyzna była ukochaną krainą, opiewaną w twórczości. Szyllin pochodził z rodziny o długim patriotycznym rodowodzie. Uczęszczał do szkoły w Rymkach i Nowo Świącianach. Po repatriacji zamieszkał w Nowej Soli, gdzie ukończył liceum ogólnokształcące dla pracujących. W latach 1952-1958 studiował polonistykę, najpierw w Wyższej Szkole Pedagogicznej we Wrocławiu, później na Uniwersytecie Wrocławskim. Przez szereg lat był nauczycielem języka polskiego w ogólnokształcących szkołach średnich w Zielonej Górze. Pierwsze próby pisarskie podejmował jeszcze na studiach, a jako poeta debiutował na łamach tygodnika „WTK” w 1954 roku. Był poetą, prozaikiem, członkiem Pisarzy Polskich w Poznaniu. W latach 60. ubiegłego wieku przystąpił do oddziału lubuskiego Związku Literatów Polskich. Na poetyckim koncie Henryka Szyllina znajduje się kilkadziesiąt tomików poetyckich. Realizował się również jako redaktor i wydawca (poetycka seria polskich poetów zamieszkałych na Wileńszczyźnie, współautor kilkudziesięciu antologii poezji i prozy wydanych w kraju i za granicą). Był laureatem prestiżowych nagród (m.in. Lubuska Nagroda Kulturalna 1979, dwukrotnie pierwsze miejsce w ogólnopolskim konkursie literackim w Świdwinie 2004, 2006). Wielokrotnie współpracował z zielonogórką księżniczką, wydając książki i organizując spotkania literackie. W 2008 roku, sumptem Biblioteki Norwida, ukazała się Księga Jubileuszowa Henryka Szyllina w 80. rocznicę urodzin i 50. rocznicę pracy twórczej poety pt. *Jesienna księga losu*. W 2016 roku poeta został uhonorowany dyplomem honorowym Lubuskiego Wawrzynu Literackiego za całokształt twórczości. Jego wiersze były tłumaczone na język białoruski, litewski, łotewski, niemiecki, rosyjski i ukraiński.

U schyłku ubiegłego wieku, po przeprowadzce z Dolnego Śląska lokowałam się dosłownie i mentalnie w nowym miejscu na ziemi, w niewielkiej wiosce pod Zieloną Górą. Nie podejrzewałam wtedy, że przyjdzie mi ściśle współpracować z ludźmi, którzy zostali przeniesieni z Kresów Wschodnich, pioniersko zasiedlając Ziemię Lubuską. Wśród tych osób niepoślednią rolę zajmował Henryk Szyllin. Poznałam Go, pracując w RCAK w Zielonej Górze, w Dziale Informacyjno-Wydawniczym. Nieświadoma w owym czasie Jego popularności w środowisku Kresowiaków podjęłam wydawniczą rozmowę, w trakcie której usłyszałam barwną epicką historię o życiu, zaawansowanym wieku mojego rozmówcy, korzeniach kresowych, o uwielbieniu Santoki, z której się wywodził i czerpaniu inspiracji twórczej z okresu dzieciństwa. Ten, wówczas, siedemdziesięcioletni wyglądał bardzo stylowo. Był dość wysoki, schludnie przyodziany w nieco staroświecki garnitur, w eleganckim kapeluszu, z nieodłączną laseczką w dłoni. Pan Henryk wyciągnął ze sfatygowanej siatki rękopis książki poetyckiej, którą zamierzał opublikować. Starannie skreślonym, choć już lekko rozredganym charakterem pisma napisał kilkadziesiąt stron wierszy, który po przepisaniu i zredagowaniu wydaliśmy sumptem RCAK w tomiku zatytułowanym *Sosny i kamienie*. Miało to miejsce w 2001 roku. Doskonale pamiętam słowa Pana Henryka, który stwierdził, że to prawdopodobnie jego ostatnia książka i powiedział, jak bardzo zależy Mu na tej publikacji. Z niepokojem opowiadał o swoim pogarszającym się stanie zdrowia, także o problemach z pozyskaniem potencjalnych sponsorów, chętnych do sfinansowania Jego poezji. Sądziłam, że to literacki finisz działań santockiego barda. Tymczasem...

Niespełna rok później zgłosił się z następnym materiałem, z którego zredagowałam Mu kolejny tomik. Tym razem były to wiersze zebrane w książce poetyckiej *Krzyże i kurhany* (Zielona Góra 2002). Podobnie, w 2003 roku, Pan Henryk, będąc wciąż w znakomitej formie psychofizycznej (choć twierdził zupełnie co innego), dostarczył teksty, które odnalazły swe miejsce w książeczce zatytułowanej *Gniazda pamięci*.

Później, w Pro Libris – Wydawnictwie Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze miałam kolejne twórcze spotkania z poetą Henrykiem Szyllinem. Tym razem, wraz z dr Dorotą Szagun opracowałam publikację pn. *Polskie pióra znad Wilii. Bibliografia polskich współczesnych*

pisarzy Wileńszczyzny 1985-2005, wydanie drugie rozszerzone, Zielona Góra 2005. Miałam okazję współpracować z Poetą jeszcze kilkakrotnie. W 2005 roku wydałam Panu Henrykowi tomik poetycki *Powroty krajobrazów*, natomiast w 2008 opracowaliśmy *Jesienną księgę losu. Księgę jubileuszową Henryka Szyłkina*, w ramach ważnego projektu, który wiązał się z 80. rocznicą urodzin oraz 50. rocznicą pracy twórczej Poety.

W tych rocznicowych okolicznościach miałam okazję jeszcze parokrotnie rozmawiać z autorem. Pan Henryk najczęściej wracał pamięcią do obrazów Wileńszczyzny, ukochanej przez siebie Santoki, rodzowego gniazda. Wspominał. Były to słowa miłości i szacunku do rodzinnej ziemi, które – dzięki uzdolnieniom literackim – zawarł w bardzo obszernej twórczości.

Był aktywny, twórczy, niezwykle operatywny i przedsiębiorczy – niespokojny duch w lubuskim i ponadlubluskim środowisku kulturotwórczym. Wielokrotnie wyjeżdżał w rodzinne strony, organizował własne spotkania autorskie, ale również wspomagał i uczestniczył w imprezach autorskich pisarzy litewskich, także polskich tworzących na Litwie. Miałam też sposobność uczestniczyć w bardzo intymnej chwili, kiedy to Pan Henryk zwierzył się, że planuje już ostatnią podróż do Santoki, ponieważ wiek będzie mu wkrótce uniemożliwiał dalsze wyjazdy. Ku mojemu zaskoczeniu poprosił, abym towarzyszyła mu w tej sentymentalnej podróży jako kronikarz eskapady i kierowca. Byłam zaszczycona tą propozycją, jednak – z wielu przyczyn – nie doszło do jej realizacji. Ubolewam do dziś, że nie doszła do skutku.

Z bibliografii Henryka Szyłkina wynika, że przez kilka następnych lat wydał jeszcze trzy tomy poetyckie: *Wiersze rozproszone* (2009), *Listy szczerzej pamięci* (2010), *Strzały pod Łuknem* (2013). Łącznie Jego spuścizna zamyka się 53. publikacjami książkowymi, stawiając Poetę w gronie najczęściej wydawanych poetów lubuskich.

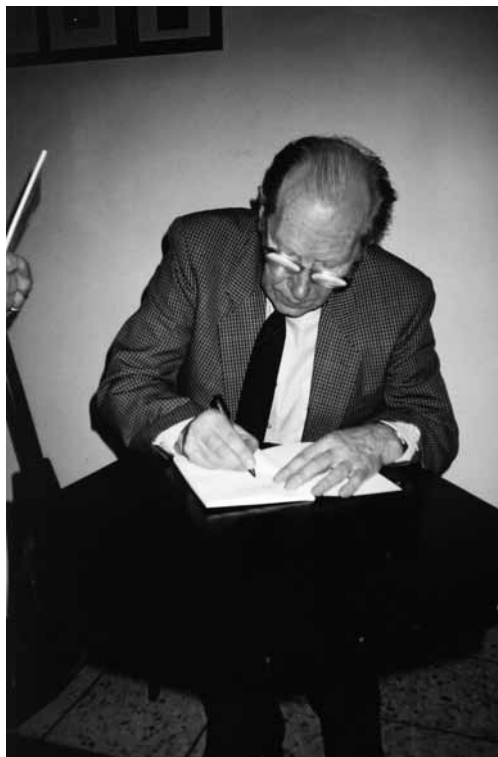
W ostatnich latach spotykaliśmy się zaledwie epizodycznie, m.in. podczas uroczystości nadania Poecie dyplomu honorowego Lubuskiego Wawrzynu Literackiego za całokształt twórczości w 2016 roku, czy coraz mniej licznych wydarzeniach kulturalnych z Jego udziałem. W ostatnich latach życia Poeta wycofał się z wszelkiej aktywności.



Henryk Szyłkin (w środku) na otwarciu wystawy *Polskie pióra znad Wilii*. Zielona Góra 2005

O Szytkinie

Odeszli już wszyscy z pokolenia przedwojennego, którzy w naszym regionie tworzyli fundamenty życia kulturalnego, w tym literackiego. Pionierzy. Ich wysiłek ważny jest dla tej ziemi, bowiem znaków, czyli liter polskiego ducha, nikt tu już nie zdoła wymazać. Nie ma więc Papuszy, Ireny Dowgiewlewicz, Anny Tokarskiej, Zdzisława Morawskiego (z pięknymi wierszami o Gorzowie), Włodzimierza Korsaka, Tadeusza Jasińskiego i wielu innych. A niedawno, 16 stycznia, umarł z tego grona także Henryk Szylkin, który dożył swoich 94 lat. Mieszkał przy ulicy Zamenhoffa. Jak wszyscy wyżej wymienieni, był przybyszem – on, autor *Zapisu ognia*, z Wileńszczyzny, o której patriotyczną pamięć zachowywał i kultywował gorliwie w swoich wielu wierszach i zbiorach. Henryk ukończył studia polonistyczne we Wrocławiu, tamże debiutował wierszem we „Wrocławskim Tygodniku Katolickim” (1954). Z Nowej Soli przeniósł się w 1955 roku do Zielonej Góry. Poza tym, że zawodowo pracował jako nauczyciel języka polskiego, regularnie pisał i wydawał swoje poezje. Debiutancki arkusz *Kolory wzruszeń* ukazał się w 1958 roku. W sumie opublikował kilkadziesiąt zbiorów wierszy. Myślę, że na drodze poetyckiej Henryka Szylkina, zwłaszcza w pierwszym okresie, znacząco zaważył Janusz Koniusz. U niego bowiem zasięgał systematycznie rad literackich, konsultował swoje nowo napisane wiersze pod względem warsztatowym. Bywał często w jego domu. Na pewno dużo z tych rad skorzystał. Zresztą przez wiele lat ze sobą ściśle w obrębie ZLP współpracowali. Henryk był bardzo pomocny, gdyż cechowała go ogromna, powiedziałbym, aktywność i chyba pasja organizatorska. Lubił działać. Docierać tam, gdzie jest możliwe osiągnięcie jakichś celów wydawniczych, zresztą nie tylko dla siebie samego, ale i dla innych. Myślę o poetach wileńskich, których zbiorki poprzez Towarzystwo Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej zostały wydane i potem tam zawożone. To były cenne kontakty z polskim środowiskiem literackim Wilna – jak sam powiedział w wywiadzie. Był tą osobą, która w 1985 roku przygotowała do druku antologię, czyli zbiór wierszy młodych polskich poetów pt. *Sponad Willii cichych fal*. Publikacja okazała się pierwszą od czterdziestu lat polską książką wydaną na Litwie. Pamiętam ten czas, gdy zajmowało Szylkina to właśnie wysoce społeczne zadanie. Na miejscu skutecznie starał się załatwiać różne literackie sprawy w bibliotekach, szkołach i w instytucjach. Dzięki niemu miałem różne spotkania autorskie. Był poniekąd twarzą naszego, małego wtedy, środowiska literackiego. A to miało w kontaktach urzędowych duże znaczenie. Władza z nim rozmawiała, mając pewność, że jest on osobą racjonalną i konstruktywną. W ten sposób Henryk zdobywał także sporą lokalną popularność, która zarazem motywowała go do zawierania szerszych różnych znajomości, pozaregionalnych. Raz po raz mi mówił, kogo to poznał, gdzie, co i jak załatwił. Czasami sekretnie ostrzegał przed kimś, co wynika-



Henryk ukończył studia polonistyczne we Wrocławiu, tamże debiutował wierszem we „Wrocławskim Tygodniku Katolickim” (1954). Z Nowej Soli przeniósł się w 1955 roku do Zielonej Góry. Poza tym, że zawodowo pracował jako nauczyciel języka polskiego, regularnie pisał i wydawał swoje poezje. Debiutancki arkusz *Kolory wzruszeń* ukazał się w 1958 roku. W sumie opublikował kilkadziesiąt zbiorów wierszy. Myślę, że na drodze poetyckiej Henryka Szylkina, zwłaszcza w pierwszym okresie, znacząco zaważył Janusz Koniusz. U niego bowiem zasięgał systematycznie rad literackich, konsultował swoje nowo napisane wiersze pod względem warsztatowym. Bywał często w jego domu. Na pewno dużo z tych rad skorzystał. Zresztą przez wiele lat ze sobą ściśle w obrębie ZLP współpracowali. Henryk był bardzo pomocny, gdyż cechowała go ogromna, powiedziałbym, aktywność i chyba pasja organizatorska. Lubił działać. Docierać tam, gdzie jest możliwe osiągnięcie jakichś celów wydawniczych, zresztą nie tylko dla siebie samego, ale i dla innych. Myślę o poetach wileńskich, których zbiorki poprzez Towarzystwo Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej zostały wydane i potem tam zawożone. To były cenne kontakty z polskim środowiskiem literackim Wilna – jak sam powiedział w wywiadzie. Był tą osobą, która w 1985 roku przygotowała do druku antologię, czyli zbiór wierszy młodych polskich poetów pt. *Sponad Willii cichych fal*. Publikacja okazała się pierwszą od czterdziestu lat polską książką wydaną na Litwie. Pamiętam ten czas, gdy zajmowało Szylkina to właśnie wysoce społeczne zadanie. Na miejscu skutecznie starał się załatwiać różne literackie sprawy w bibliotekach, szkołach i w instytucjach. Dzięki niemu miałem różne spotkania autorskie. Był poniekąd twarzą naszego, małego wtedy, środowiska literackiego. A to miało w kontaktach urzędowych duże znaczenie. Władza z nim rozmawiała, mając pewność, że jest on osobą racjonalną i konstruktywną. W ten sposób Henryk zdobywał także sporą lokalną popularność, która zarazem motywowała go do zawierania szerszych różnych znajomości, pozaregionalnych. Raz po raz mi mówił, kogo to poznał, gdzie, co i jak załatwił. Czasami sekretnie ostrzegał przed kimś, co wynika-

to z dozy zaufania i przyjaźni, ale też mówiło dużo o nim samym, o jego systemie wartości, światopoglądzie bez wątpienia chrześcijańskim i patriotycznym. Opowiadał mi o swoich traumatycznych doświadczeniach wojennych. Wiem od niego, że będąc w Warszawie, odwiedzał poetę księdza Jana Twardowskiego. Kiedy czytamy wiersze w tomiku *Galeria niepokoju* (1983), ilustrowane jakże trafnie wybitnym ekspresyjnie i moralnie malarstwem Józefa Bulewicz, to szczególnie czujemy autorską ocenę dziejącego się zła stanu wojennego. To był pierwszy zbiorek z serii poetycko-plastycznej, prowadzonej przez Jana Muszyńskiego w Muzeum. Henryk mocno przeżył zabójstwo księdza Popiełuszki (październik 1984), a wcześniej Grzegorza Przemyska (maj 1983). Ale pełnię owego sprzeciwu, a szerzej mówiąc, buntu moralnego i politycznego, zawarł w bynajmniej nie sentymentalnych strofach *Psalmów ostatecznych*, w których narysował kształt tamtej współczesności w barwach ciemnych, groźnych, apokaliptycznych. Ukazały się aż trzy wydania tego tytułu (1989, 1990, 1991). Dla jego poezji największe znaczenie miały autentyczne emocje. Najczęściej proste, ludzkie, podmiotowe i oczywiste dla niego jako twórcy. Niekoniecznie starannie cyzelowane. Od tych bezpośrednich lirycznych wzruszeń i emocji zresztą zaczynał. Następny etap łączy się z pesymizmem cywilizacyjnym. Po nim już do końca pracy literackiej swoje pióro oddał wspomnieniom i apologetyce rodzinnej Itaki, krainy dzieciństwa, zaścianka Santoki, otoczenia przyrody, płynącej tuż obok domu rzeki Łokaj, gdzie się urodził. Której wodę na pożegnanie, na koniec pobytu całowały jego dzieci. To miejsce oraz zachowany dom, zbudowany jeszcze przez ojca (bardzo ciekawego człowieka), corocznie w wakacje z rodziną odwiedzał. Próbował po latach odczytać ślady ledwo już widocznej tam polskości. Radykalnie na koniec zmienił swoją formę literacką. Zanikły też więzi z Januszem Koniuszem. W ogóle nie pojawiał się publicznie przez wiele lat. Wybrał dla swoich refleksji styl klasycznego porządkowania miar wersyfikacji. Henryk Szyłkin, jak go pamiętam, to człowiek silny, wysokiej postury, bezpośredni w rozmowie, rzeczowy, nacechowany otwartością i dozą życzliwości. Nie zachowywał dla siebie wyłącznie informacji o możliwościach funkcjonowania twórczego. W ogóle był chętny dzielić się wiedzą o ludziach i świecie. Myślę, że należy to doceniać. Poznałem go na początku swojej drogi lirycznej (ok. 1967 roku), będąc jeszcze w liceum. Poniekąd za sprawą znajomości w Henrykiem Szyłkinem mogłem zobaczyć Turkmenię, krajobrazy pustynne, Aszchabad i napisałem o tym swoje strofy.



Wizyta polskich autorów w Turkmenii, 1983 (Pustynia Kara-Kum przed Mauzoleum sułtana Sandzara). Od lewej: Janusz Koniusz, Jolanta Węklarowa, Henryk Szyłkin, Czesław Sobkowiak, pisarz turkmeński

„Zawsze była wśród tyłu książek, programów, afiszy...”

O Annie Tokarskiej z Waldemarem Matuszewskim, dyrektorem Lubuskiego Teatru w Zielonej Górze (1991–1996), rozmawia Anna Polus

Jak zapamiętał pan Annę Tokarską? Pracowaliście razem pięć lat w Lubuskim Teatrze w Zielonej Górze, w czasie pana dyrektorskiej kadencji w tej instytucji.

Spotkałem panią Anię Tokarską w roku 91. ubiegłego wieku, oczywiście w Lubuskim Teatrze im. Leona Kruczkowskiego w Zielonej Górze, gdzie rozpocząłem, w duecie z dyrektorem Tomaszewiczem, pięcioletni okres dyrektoryjny.

Chodzi o pana Jana Tomaszewicza, który był pana zastępcą w kadencji 1991–1995?

Tak. Pani Ania w tym Teatrze była już od lat. I była, i pozostawała dobrym jego duchem. Była sekretarzem literackim, w wielu materiałach z tamtego czasu figuruje właśnie pod takim mianem. Czyli można powiedzieć, że była panią od literatury, od pięknej polszczyzny, od słowa. I przed reżyserią, mnie, z wykształcenia polonistę, połączyła właśnie z panią Anią polonistyka, literatura. To był nasz wspólny konik.

Pani Ania miała swój pokój, literacki, piętro wyżej, nad gabinetem dyrektorskim, ale właściwie codziennie kontaktowaliśmy się w różnych sprawach. Oczywiście podstawową sprawą było redagowanie ulotek reklamowych do spektakli, programów. Szliśmy rytmem premier. Naszą największą wspólną radością była część programu zatytułowana „Kronika TL” – w niej drobniaczkowo uwiecznialiśmy wszystkie wydarzenia z życia Teatru; ten ówczesny zapis teraz – po latach – ma przeogromną wartość! Ale też

pani Ania pomagała mi, kiedy pisaliśmy jakieś pisma okazjonalne, gratulacje, ważną korespondencję, zawsze służyła słowem. Lubiłem, jak pani Ania sprawdzała tekst od strony językowej, wtedy już byłem spokojny.

A więc pani Ania jako „Pani Profesor”?

Aaaaa, więc pani to wie.. Powiem tak, śmiesznie się tytułowaliśmy z panią Anią. Pani Ania zwracała się do mnie per „Dyrekcjo”, ale było w tym dużo i żartu, i zabawy, i serdeczności, a ja tytułowałem panią Anię „Pani Profesor”, dlaczego? Bo jak przychodziłem do pokoju literackiego pani Ani, to ona zawsze była wśród tyłu książek, programów, afiszy.. A tam panowała taka specyficzna atmosfera – skupiona, trochę naukowa, badawcza. No i to czuwanie nad polszczyzną – pani Ania nie przepuściła w pismach wychodzących z Teatru, a tym bardziej w naszych drukach, jakiegokolwiek niezgrabności językowej, w tych sprawach była dla mnie wyrocznią. Stąd „Pani Profesor”. Pani Ania doskonale też znała historię Teatru Lubuskiego, dzięki temu nie gubiłem się w naszym kronikarstwie.

A jaka była w codzienności? Wyobcowana, zamknięta, jak często bywa u poetów, czy serdeczna, otwarta, radosna. A może po trochu i taka, i taka?

Między nami powstała taka serdeczna nić, związana właśnie z uwielbieniem literatury, języka pol-

skiego. I było w tym trochę zabawy. Dlaczego zabawy? Dlatego, że pani Ania była duszą artystyczną. A artysta jest „dzieckiem podszyty”, więc zabawa to była jedna z cech pani Ani.

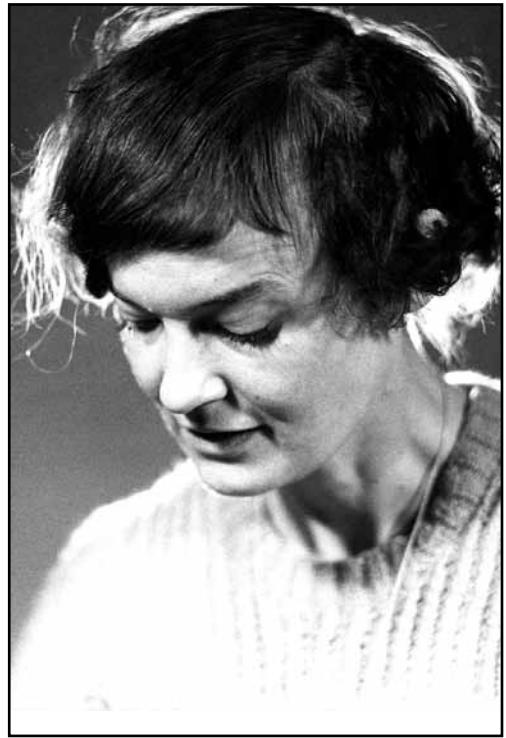
Na przykład mówiłem: „Pani Aniu, pamięta pani z Marcela Prousta taką piękną opowieść...” – w nawiązaniu do tego, że w naszej teatralnej pracy były różne dni, były lepsze, gorsze; czasami nam ta współpraca szła bardzo szybko, gładko, a czasami było gorzej – „o dniach górzystych i dniach spadzistych”? „Słucham?” „Proust mówi, że dni górzyste to takie, kiedy wszystko idzie jak z kamienia, nic się nie układa, i miewamy takie dni, i ten dzień się dłuży w nieskończoność. Ale bywają dni, kiedy wszystko idzie jak po maśle, jak z płatka i wtedy ten czas tak ucieka, jak szybko ucieka dziecku, które zjeżdża z góry na sankach”. Pani Ani ogromnie się to podobało: „dni górzyste” i „dni spadziste”. I mieliśmy takich wspólnych haseł kilka.

Na pewno stwierdzenie, że „artysta jest dzieckiem podszyty”, to też funkcjonowało między nami. I było dobrze, kiedy kogoś, jakiegoś realizatora czy aktora określaliśmy tym mianem, że jest „dzieckiem podszyty”, co nie było jego krytyką, ale wręcz warością, znaczyło, że jest nasz.

Tę wrażliwość niewątpliwie dało się dostrzec przy pracy z tekstem literackim.

I pani Ania była szczególnie uwrażliwiona na to, kiedy w repertuarze pojawiała się dobra literatura. Pierwszą rzeczą, jaką robiliśmy, jedną z pierwszych, do której przygotowaliśmy program, był *Romeo i Julia* – Szekspir w tłumaczeniu Stanisława Barańczaka. I kochaliśmy oboje tego Barańczaka, to było wtedy *novum*, bo te tłumaczenia były nowiutkie, prościutkie i mądre zarazem, no i poetyckie, to była czysta poezja. Bardzo nam się podobały. Na przykład, kiedy Julia biegnie na spotkanie z Romeem, u zakonnika, mówi: „Biegnę ku szczęściu, nikt mnie nie zatrzyma”. No więc ta fraza też weszła do naszego języka. I takich powiedzeń mieliśmy więcej, to był nasz wspólny, tajemny język.

Po Barańczaku była *Antygona* w tłumaczeniu Stanisława Hebanowskiego, wieloletniego kierowni-



ka literackiego Teatru Lubuskiego za czasów dykcji Marka Okopińskiego. Tutaj pani Ania szczególnie ukochała sobie chóry, tłumaczone przez Hebanowskiego, bardzo poetyckie, bardzo czułe i bardzo mądre zarazem; lubiliśmy te chóry czytać na głos, np. chór ostatni – kiedy wszystko się stało:

Mądrości, jedyne źródło szczęścia!
Ludzie, zuchwali w swej dumie,
chcieliby dorównać nieśmiertelnym.
Za późno los otwiera im oczy.
Za późno, u schyłku swoich dni,
poznają ciebie, mądrości,
jedyne źródło szczęścia.

Umiłowanie słowa, literatury pięknej... Jednak nie samą poezją człowiek żyje...

Ale pani Ania nie tylko literaturą się interesowała w teatrze, żyła oczywiście spektaklami. I kiedy na przykład Tatiana Kołodziejska grała Antygonę w ru-

inach na dziedzińcu Teatru Lubuskiego, o północy, a była burza – taka dziwna, bez deszczu, natomiast z piorunami – i Antygona szła w tych ruinach, wśród piorunów nad naszymi głowami, po belce stropowej jakiejś dawnej konstrukcji, drżeliśmy z panią Anią, że Tatiana, która miała związane ręce, jako więzień idący na śmierć, spadnie stamtąd. I to były nasze niezapomniane teatralne chwile. Pani Ania była też zakochana w wystawieniu wspomnianego *Romea i Julii* na dziedzińcu zamku w Łagowie, majową nocą, wśród jaśminów. Tam rosną jaśminy, które kwitły i pięknie pachniały; pani Ania była w siódmym niebie. Bo wtedy wszystko się idealnie łączyło: poezja z teatrem, z nastrojem, sama ta sytuacja była już wierszem. To były niezapomniane chwile.

A więc nawet na co dzień ogromna wrażliwość, delikatność i czułość, wręcz eteryczność.

Mam tu piękną opowieść o tej cudownej wrażliwości, czy wręcz nadwrażliwości pani Ani. Wielką rzeczą było przygotowanie *Hamleta*, no i programu do spektaklu – ten tytuł to zawsze wielkie wyzwanie dla teatru. Przy każdym przedstawieniu staraliśmy się, żeby program trafiał w koncepcję reżysera. Tutaj akurat ja byłem reżyserem *Hamleta* w tłumaczeniu Barańczaka, Stanisława Barańczaka.

Pani Ania bardzo zachwycała się przejrzystością, lapidarnością i poetyckością tego tłumaczenia. Przyniosłem taki szczególnie tekst do programu *Hamleta*. Pani Ania, okazuje się, tego tekstu akurat nie знаła i stał się on krokiem milowym w naszej znajomości. Tekst o nadwrażliwości, która nie zawsze znajduje

zrozumienie, doskonale opisywał Hamleta w naszym ujęciu. Autorem tego niezwyklej tekstu, skierowanego do psychoneurotyków, jest profesor Kazimierz Dąbrowski, psychiatra. Tekst zachwycił panią Anię już wtedy. Ale po latach, jak teraz patrzę na to, co się wydarzyło, to stanowi on doskonałą dewizę, definicję, charakterystykę nadwrażliwości samej pani Ani. I dlatego, jeżeli można, to chciałbym odczytać ten tekst. Nie jest długi, dla pani Ani był niezmiernie ważny. Raz, że budził jej zachwyt, ale chyba dotykał jej jeszcze głębiej. I brzmi tak:

Bądźcie pozdrowieni, psychoneurotycy! Za to, że macie czułość w nieczułości świata, niepewność w pewności. Za to, że tak często odczuwacie innych jak siebie samych, za to, że czujecie niepokój świata, jego bezdenną ograniczoność i pewność siebie. Za wasze fobie mycia rąk z nieczystości świata, za wasze lęki przed zamknięciem ograniczonością świata, za wasz lęk przed bezsensownością istnienia. Za delikatność niemówienia innym tego, co w nich widzicie. Za waszą niezaradność praktyczną i praktyczność w nieznanym, za wasz realizm transcendentalny i brak realizmu życiowego, za waszą wyjątkowość i trwogę przed stratą bliskich, za waszą twórczość i ekstazę, za wasze nieprzystosowanie do tego, co jest, a przystosowanie do tego, co być powinno, za wasze wielkie uzdolnienia, często nigdy nie wykorzystywane. Za to, że niewczesne poznanie się na waszej wielkości nie pozwala na poznanie się na wielkościach takich samych, które przyjdą po was. Za to, że jesteście leżeni, zamiast leczyć innych, za to, że wasza siła niebiańska jest zawsze spychana przez siłę brutalną; za to, co w was prze-czuwane, niedopowiedziane, nieogarnione. Za samotność i dziwaczność waszych dróg. Bądźcie pozdrowieni!*

Kiedy pani Ania przeczytała ten tekst po raz pierwszy, aż klasnęła w dłonie z zachwytem i mówi: „Dyrekcjo, kocham pana za ten fragment mówiący



* Z rozmowy Antoniego Sibiłaka z prof. Kazimierzem Dąbrowskim, „Student” nr 3/ 1975.

o myciu rąk – *za wasze fobie mycia rąk z nieczystości świata*". To ją wtedy zachwyciło najbardziej – bo miała czystą, piękną duszę.

A potem... oczywiście ten tekst znalazł się na ulotce, znalazł się też w programie. Teraz po latach mogę powiedzieć, że ten tekst bardzo dużo mówi o wrażliwości samej pani Ani. Oczywiście on miał charakteryzować Hamleta, osobę nadwrażliwą. Ale taką właśnie nadwrażliwą osobą była przecież sama pani Ania Tokarska.

I to mi najbardziej utkwilo – ta spontaniczna, żywiołowa reakcja pani Ani na tekst profesora Dąbrowskiego.

Pani Ania we wspomnieniach tych, którzy ją znali bliżej, jest zawsze naturalna, szczerą, opiekuńcza, bardziej nakierowana na innych niż na siebie.

Właśnie w czasie prób *Hamleta* wydarzyło się jeszcze coś, co jest też bardzo związane z panią Anią i co ją też bardzo charakteryzuje. Otóż w Teatrze Lubuskim, w pokoju gościnnym, na poddaszu, mieszkał rezydent, staruszek, dawny inspicjent, który czasami grywał epizody – pan Hieronim Mikołajczak. Pani Ania troskliwie opiekowała się panem Hieronimem, doglądała go. I kiedyś: odbywa się właśnie próba *Hamleta*, czytamy akurat fragment, w którym główny bohater mówi o śmierci (Hamlet czyni to raz po raz) i pani Ania przekazuje wiadomość, że pan Hieronim nie żyje. Pan Hieronim, jako człowiek teatru, spełnił pewnie swoje marzenie, żeby umrzeć na scenie, albo w teatrze.

I po tej śmierci starego inspicjenta znowu oczywiście na pierwszy plan wyszła literatura. Pan Hieronim Mikołajczak przygotowywał się do roli Firsta w *Wiśniowym sadzie* Czechowa, którego ostatecznie, ze względów zdrowotnych, nie mógł zagrać. Zastanawialiśmy się z panią Anią, co napisać na nagrobku tego Człowieka Teatru, który całe życie poświęcił teatrowi, a większość scenie teatralnej w Zielonej Górze.

Mówię: pani Aniu, a co by było, jakbyśmy kwestię Firsta, ostatnią kwestię w *Wiśniowym sadzie* wypisali na grobie pana Hieronima: „Wyjechali. A o mnie zapomnieli...” Przejmujące to słowa... Pan Hieronim

spoczywa na cmentarzu zielonogórskim. Ten napis jest wyryty na jego płycie nagrobnej, ale to motto narodziło się w rozmowie z panią Anią, która była Aniołem Stróżem tego samotnego człowieka. Taka była pani Ania. To znaczy: wszystko wychodziło od literatury, ale do literatury też musiało wrócić. Nawet napis nagrobny.

Dziś, kiedy poza wspomnieniami pozostały piękne wiersze pani Ani, możemy powiedzieć, że cała była poezją...

A jeżeli chodzi o panią Anię jako poetkę, co się dawało zresztą odczuć na każdym kroku, myślę, że jednym z najpiękniejszych wierszy pani Ani był jej syn Jarosław. Najlepiej napisany wiersz. Dlaczego? Widziałem to, kiedy pan Jarosław odwiedzał panią Anię w Teatrze Lubuskim, bo czasem przychodził do niej, do matki. Pani Ani wtedy rosła, wtedy była dumna jak paw i szczyliła się swoim synem. Pan Jarosław był zawsze bardzo obecny w jej życiu. Jak mówię, być może to był jeden z najpiękniejszych wierszy pani Ani.

Wyobrażam sobie, że codzienne obcowanie z panią Anią było cudownym doznaniem. Zresztą cały czas, wspominając ją, uśmiecha się pan. Od razu widać, jak serdeczna to była relacja i jak miłe są to wspomnienia.

Pani Ania była właśnie taką duszą z profesora Dąbrowskiego, taką, która nie chce zajmować za dużo miejsca, zabierać nikomu przestrzeni, a jednocześnie wychodzi naprzeciw innym ze swoją wrażliwością; jeżeli widzi, że ma do czynienia z kimś, kto



tej wrażliwości nie chce, albo nie rozumie, wycofuje się. Pani Ania raczej była osobą właśnie wycofaną, ale za tym wycofaniem kryło się wielkie bogactwo i wielkie dziecko.

Czy chciałby pan coś jeszcze dodać do waszej teatralnej współpracy?

Jeszcze jedną rzecz warto powiedzieć – że właśnie nam, pani Ani i mnie, urodził się pomysł, że skoro życie teatru jest tak strasznie ulotne, to postanowiliśmy, odnotowywać wszystkie ważne fakty: premiery, festiwale, ale też i wydarzenia zwyczajne, albo spektakle wyjazdowe, bo dużo w tym czasie jeździliśmy. I w każdym programie pojawiała się kronika Teatru Lubuskiego. To był nasz wspólny pomysł i wykonanie pani Ani Tokarskiej. Teatr Lubuski w latach 1991-1995 zawdzięcza pani Ani wiele odnotowanych wydarzeń, które jak teatr – są ulotne, właśnie. Potem te „Kroniki Teatru Lubuskiego” przerodziły się w „Almanach Teatru Lubuskiego”. Każdy sezon kończył się wydaniem Almanachu, który zawierał wszystkie te wydarzenia. Ale po drodze te wydarzenia wytapywała i spisywała pani Ania.



Zresztą w tych kronikach widać rękę pani Ani, jej duszę. Bo na przykład gramy gdzieś w plenerze, w maju *Antygonę*, powiedzmy 18-19 maja gramy w plenerze, a pani Ania pisze w nawiasie: „Przecież to wiosna” i to są te takie pani Ani znaczkiki...

Może jeszcze jakieś ciepłe wspomnienie na koniec tej miłej rozmowy?

Pani Ania była bardzo skromną osobą. Nigdy nie pchała się na plan pierwszy, w ogóle to słowo jest jej zaprzeczeniem. Opowiadała mi pewna pani pracująca w Teatrze, tuż przed moim przyjściem do Teatru Lubuskiego, za czasów dyrektora Kozłowskiego, piękną historię doskonale oddającą duszę dziecka w pani Ani. Pani Ania współpracowała z dyrektorem bardzo pięknie, tak jak właśnie z każdym dyrektorem, znam to.

Kiedyś ta pani, pracownik Teatru, wchodzi do gabinetu dyrektora, a na podłodze dyrektor, pani Ania i na siedząco składają z papieru jakieś ptaki, latawce – ewidentna dziecięca zabawa, która pewnie była zainspirowana jakimś spektaklem, albo jakimś spektaklowi miała służyć. Świadczyło to o takim szczególnym rodzaju porozumienia, jaki pani Ania nawiązywała z ludźmi. Jak mówię, to było wszystko „dzieckiem podszyte”.

Jaka piękna historia. A jest przecież taki wiersz pani Ani, jeszcze z lat 70., *Papierowe ptaki*. Może tamta sytuacja przypomniła coś z jego atmosfery..., a może po prostu obudziła w pani Ani dziecko...

...Pani Profesor Tokarska...

Dziękuję bardzo za tę szczególną rozmowę i piękne wspomnienie o pani Ani Tokarskiej.

Zielona Góra, 10 listopada 2018

KRAJOBRAZY LUBUSKIE



Anna Polak, Paweł Karp

W świecie chronogramów, dzwonów i krypt, czyli żarski zakątek tajemnic

Część I

Kilka słów o Żarach

Żary (niemiecka nazwa Sorau) położone w sercu wschodnich Dolnych Łużyc, zwane też ich stolicą, to niezwykle interesujące miasto. Znane dziś źródła historyczne podają, iż nazwa „Zara” wymieniona została po raz pierwszy 1008 roku w kronice biskupa merseburskiego Thietmara, a dotyczyć miała plemienia słowiańskiego „Żarowian”. Wywodzący się z rodu hrabiów von Walbeck autor, tak istotnych nie tylko dla Żar zapisków, użył jej w związku z konfliktem Bolesława Chrobrego z Henrykiem II, królem niemieckim, od 1014 roku cesarzem niemieckim, kanonizowanym w 1146 roku.

Wspominany przez Thietmara obszar został przyłączony przez Bolesława Chrobrego do Polski (pokój budziszynski z 1018 roku), dzięki czemu przynależał przez pewien czas do państwa polskiego. Piastowie dość szybko, ponieważ już w 1031 roku, utracili te tereny na rzecz Niemiec, po czym najprawdopodobniej odzyskali je w czasie panowania Bolesława Śmiałego. Do 1250 roku należały one do książąt śląskich – Henryka Brodatego oraz Henryka Pobożnego, po nich od 1250 do 1304 roku były własno-

ścią władców Miśni – Wettinów. Na krótko, bo jedynie w latach 1304-1319, obszar przejęli margrabiowie brandenburscy z linii askańskiej, a po nich Henryk I jaworski. Ziemia ta należała do przedstawiciela rodu Piastów do końca jego życia, czyli do 1346 roku. Następnie trafiła w ręce władców Czech – Luksemburgów, a od 1364 roku kolejnego księcia z dynastii Piastów – Bolka II Małego świdnickiego. Za sprawą Karola IV Luksemburskiego od 1370 roku Dolne Łużyce stały się częścią Królestwa Czech, po czym w 1526 roku przejęli je Habsburgowie. Zwierzchnictwo nad tymi obszarami w 1635 roku przejęli Wettini sascy, a po kongresie wiedeńskim w 1815 roku włączono je do Prus. Po II wojnie światowej wschodnia część Łużyc Dolnych i Górnych znalazła się w granicach terytorium Polski.

Władza zwierzchnia przeważnie oddawała miasto w lenno rodowi rycerskim. Nie wnikając tu w szczegóły dotyczące kolejnych zmian właścicieli, jest bardzo prawdopodobne, że już w 1200 roku opisywany teren był lennem rycerza Dewina, który poprzez przebudowę i rozbudowę grodu dał podwaliny dzisiejszym Żarom. Po Dewinach nastali Pac-

kowe, później majątni Bibersteinowie, a ostatecznie, znani ze swojego zamiłowania do kultury i sztuki – Promnitzowię.

W Żarach do dnia dzisiejszego zachowało się wiele cennych zabytków, które stanowią niezwykłą pamiątkę po dawnych włodarzach. Należą do nich między innymi: zespół zamkowo-pałacowy, część murów miejskich z basztą Bramy Dolnej, kościół pod wezwaniem św. Apostołów Piotra i Pawła, kościół garnizonowy pod wezwaniem Podwyższenia Krzyża Świętego, siedziba władz miejskich z przełomu XIV i XV wieku z oryginalnym renesansowym portalem, budynek dawnej nadintendentury oraz kościół pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa (fara) z sąsiadującą dzwonnica. Ostatnie z wymienionych obiektów od pewnego czasu odkrywają swoje tajemnice i właśnie dlatego warto o nich w tym miejscu opowiedzieć.

Magiczne chronogramy

Na wstępie rozważań należy wymienić datę 11 kwietnia 1944 roku, ponieważ rozgrywające się wtedy wydarzenia miały ogromny wpływ na obecny wygląd opisywanych budowli i całych Żar.

W tym dniu miasto przeżyło nalot samolotów amerykańskich, a celem ich ataku były usytuowane w dawnych fabrykach włókienniczych zakłady lotnicze Focke-Wulf. Bardzo poważnie ucierpiały wówczas najcenniejsze żarskie zabytki. Skutki eksplozji bomby, która trafiła w sklepienie nawy południowej kościoła farnego, okazały się wręcz katastrofalne. Nie tylko bowiem poważnych uszkodzeń doznała ściana wschodnia z łukiem tęczowym, ale przede wszystkim wybuch zerwał całe pokrycie dachu nawy głównej. Taki stan trwał kilkanaście lat. Dopiero w 1958 roku położono nowy dach, ale brak odpowiedniej jakości materiałów sprawił, że już wkrótce wymagał on całkowitej wymiany. Nawa główna świątyni, przez długie lata niezadaszona, pozbawiona oszklenia i ogołocona z wyposażenia, doczekała się rozpoczęcia remontu dopiero w 1975 roku. Nalot z 11 kwietnia spowodował też duże zniszczenia w kompleksie budowli usytuowanym w bezpośrednim otoczeniu kościoła farnego. Swój charakterystyczny hełm straciła na zawsze dzwonnica, a są-

siadujące z nią budynki ze zrujnowanymi dachami, w tym dawna nadintendentura, pozostawały przez wiele lat opuszczone. Bomby spadły również na ratusz, niszcząc jego wieżę, a także na północno-zachodni narożnik zamku. W wyniku pożaru trafionej bezpośrednio ujeżdżalni spłonęła znaczna część dachu pałacu. Częściowemu zburzeniu uległ ponadto, nigdy nie poddany odbudowie, kościół znajdujący się na, niestety, nieistniejącym już zabytkowym Cmentarzu Miejskim.

Budynek, w którym mieści się obecnie Muzeum Pogranicza Śląsko-Łużyckiego, niegdyś był siedzibą nadintendentury, co w kościele katolickim odpowiada dekanatowi. Dzieje obiektu sięgają II połowy XIII wieku. Prawdopodobnie w II połowie XIV wieku poddano go rozbudowie, wtedy też zmienione zostały wnętrza. Na przestrzeni kolejnych stuleci wielokrotnie przekształcano ten cenny dziś zabytek, co jasno ukazują badania architektoniczne.



Budynek dawnej nadintendentury, obecnie siedziba Muzeum Pogranicza Śląsko-Łużyckiego

Na budynku Muzeum znajduje się kamienna tablica z inskrypcją zawierającą chronogram. Chronogram to pewnego rodzaju łamigłówka historyczna. W alfabecie łacińskim niektóre litery odpowiadają cyfrom rzymskim. Po odpowiednim podstawieniu oraz zsumowaniu utworzą one datę. Należy pamiętać, iż litery, z których powstanie data, są odpowiednio wyeksponowane. Nie można tu mówić o żadnym przypadku, ale o pieczołowitym doborze i przemy-

ślany układzie. Kiedy w 2005 roku tablica, na kilka dziesięcioleci ukryta przed wzrokiem przechodniów, ponownie ujrzała światło dzienne, miłośnicy regionu podjęli starania, by poznać jej tajemnice. Wysiłki okazały się jednak daremne, zwłaszcza że nie dokonano poprawnego odczytu inskrypcji (choć opublikowanej już w XVIII wieku).



Tablica na budynku Muzeum

ALtera LVX Mall nostras VastaVerat aeDes;
O pater, aeternas nos habitare VeLLs!

Tłumaczenie:

Wrogie światło maja spustoszyło nasze domy,
o Ojcze, zechciej abyśmy zamieszkiwali wieczne do-
mostwa!

M = 1000
D = 500
L+L+L = 150
X = 10
V+V+V+V = 20
I+I+I+I = 4
1684

Próbując zrozumieć tekst inskrypcji, należy cofnąć się do 1684 roku, kiedy to ogromny pożar spustoszył niemal całe Żary. I do tego właśnie tragicznego zdarzenia nawiązuje ten obiekt. 2 maja 1684 roku, w zabudowaniach należących do żarskiego burmistrza, zaproszony został ogień, który wkrótce objął większość miejskiej zabudowy. Według opisu autora historii Żar, Johanna Samuela Magnusa, oca-

łał jedynie zamek i zaledwie kilka innych budynków. Dramatyczna walka z żywiołem, który pochłonął 22 ofiary, trwała m.in. w piwnicach kamienic w rynku, skąd uratowano wielu ludzi. Dzięki znajdującym się tam ujęciom wody możliwe było przetrwanie tych niezwykle dramatycznych wydarzeń, a nazwiska kilku bohaterskich mieszczan niosących pomoc współobywatelom słusznie uwiecznił w swoim dziele Magnus. W pożarze bardzo ucierpiał kościół farny, a zwłaszcza jego wyposażenie. Zniszczeniu uległ wówczas m.in. wspaniały zegar ufundowany w 1585 roku przez Seyfrieda von Promnitzą.

Druga inskrypcja, także odnosząca się do tragicznego w dziejach miasta 2 maja 1684 roku i zawierająca w części łacińskiej chronogram, znajduje się w kruchcie zachodniej sąsiadującego z Muzeum kościoła pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa. Jej tekst brzmi:

Gott dein Zorn-feur reiſet nieder.
Deine Gnade bauet wieder.
Was gebauet walte drüber.
DestrVlt Ira Del: seD gratla restrVlt eIVs:
O Pater In CoeLLs, gratla serVet opVs.
D(ie) 2. Maii: 1684. Mem(oriae) E(rigi) f(ecit)
M(agister) A(braham) R(othe)

Tłumaczenie: Boże, twój ogień gniewu burzy.
Twoja łaska odbudowuje. Panuj nad tym, co zbu-
dowano. Gniew Boga burzy: lecz łaska jego odbu-
dowuje: O Ojcze w niebie, niech łaska chroni dzie-
ło. Dnia 2 maja: 1684. Ku pamięci: erygował magi-
ster Abraham Rothe.



Portal w kruchcie zachodniej kościoła

W żarskiej farze odnaleźć można było niegdyś jeszcze inne świadectwa opisanego pożaru. Dzwon zawieszony na wieży kościelnej, a odlany w 1684 roku, również opatrzono inskrypcją zawierającą chronogram:

ALtera LVX Mall nostras VastaVerat æDes;
NVbLa post nobls fata, serena sonent!

Tłumaczenie: Wrogie światło mają spustoszyło nasze domy; (dźwięki dzwonu) niech opiewają pogodne dzieje po (dziejach) dla nas chmurnych!

Kolejne dwa dzwony z chronogramem odlał w Żarach Paul Andreas Koerner. Ufundowano je w 1690 roku:

SeXtVs abest annVs quoD, noLas abstVLIit Ignls;
Da, DeVs, has noLas sæpe sonare tibl!

Tłumaczenie: Mija szósty rok, od kiedy ogień zniszczył dzwony; spraw, Boże, niech te oto dzwony rozbrzmiewają często dla Ciebie!

Ślad dramatycznych wydarzeń widoczny był również na nowym ołtarzu żarskiej fary. Chronogram w umieszczonej na nim inskrypcji wskazywał datę fundacji – 1695 rok:

VnDenos aberat VetVs ara eXVsta per annos;
QVoD repetlta, tibl, gLorla, ChrIste, DatVr.

Tłumaczenie: Przez 11 lat brakowało starego, spalonego ołtarza; zatem odnowiony jest ofiarowany na chwałę Tobie, Chryste.

Bliźniacze stulatki

Nieopodal Muzeum znajduje się kamienna dzwonnica wzniesiona na przełomie XIV i XV wieku. Umiejscowiona jest ona w linii murów miejskich nieprzypadkowo, sprawowała bowiem funkcje obronne, a z czasem zyskała nową. Jak wykazały badania wykonane w 2021 roku skanerem laserowym 3D, grubość murów na wysokości kręconych schodów (środkowa część) wynosi aż 2,5 metra. Jest to kolej-

ne potwierdzenie jej pierwotnego, obronnego charakteru.

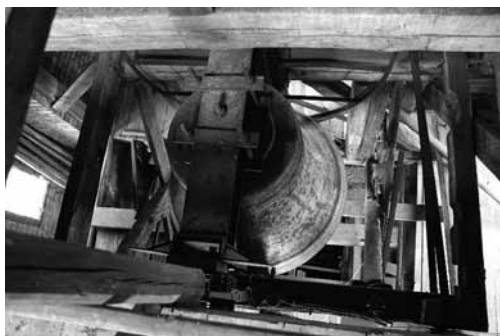


Wnętrze dzwonnicy

Wewnątrz budowli odnaleźć można niezwyklej obiekt. Mowa o stuletnim dzwonie. Niegdyś zawieszono były tu dwa instrumenty – mniejszy bez inskrypcji z XIV/XV wieku, większy z inskrypcją – odlany w 1502 roku. Drugi z wymienionych został zarekwirowany na potrzeby przemysłu zbrojeniowego w 1943 roku, najprawdopodobniej jednak nie uległ przetopieniu i znajduje się w Berlinie. Inskrypcja widoczna na zawieszonym dziś dzwonie poświęcona jest ofiarom I wojny światowej i brzmi następująco:

VERGISS MEIN VOLK DIE TREUEN TOTEN NICHT
<> 1921 <>

Tłumaczenie: Nie zapomnij, mój ludu, o zmarłych wiernych. 1921.



Dzwon w dzwonnicy z 1921 roku

W wieży kościoła pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa znajduje się inna pamiątka dawnych, niespokojnych czasów. Jest to dzwon wykonany w tym samym roku, co wcześniej opisany, którego inskrypcja także nawiązuje do ofiar poległych w konflikcie trwającym od 1914 do 1918 roku. Nosi on inskrypcję:

ICH WILL EUCH FRIEDEN GEBEN IN EUREM LANDE
<> 1921 <>

Tłumaczenie: Chcę dać ci pokój w twoim kraju. 1921.



Dzwon w wieży kościoła

Z wieży kościoła rozpościera się niezwykle widok na basztę Bramy Dolnej, dzwonnice, zespół pałacowo-zamkowy czy dużą część miasta. Sam kościół jest prawdziwą „komnatą tajemnic”. Oprócz zespołu płyt nagrobnych do dnia dzisiejszego przetrwały, choć w różnym stanie, krypty. Z uwagi na

to, iż znajdują się w nich szczątki ludzkie, obecnie wstęp jest niemożliwy. Zostały jednak podjęte prace, mające na celu udostępnienie podziemi zwiedzającym świątynię, takie jak uporządkowanie wnętrza czy przygotowanie niezbędnych dokumentów dla uzyskania zgody do przeprowadzenia ekshumacji. Ponadto pod kościołem przebiega sieć tuneli, które tworzą swoisty labirynt. O tym i o innych niezwykłościach kościoła farnego ukaże się odrębny tekst w kolejnym wydaniu „Pro Libris”.



Widok z wieży kościoła na basztę Bramy Dolnej



Widok z kościoła na dzwonnice

Bibliografia:

L. C. Belzyt, A. Polak, *Wschodnie Dolne Łużyce. Podróż rowerem przez przeszłość i teraźniejszość*, Zielone Góra 2019.

J. P. Majchrzak, *Encyklopedia ziemi żarskiej, w jej historycznych i współczesnych granicach*, Żary 2002.

L. C. Belzyt, A. Polak, *Łużyce nad Nysą i Lubszą. Historia. Zabytki. Natura*, Ridero 2019.

Die Kunstdenkmäler des Kreises Sorau und der Stadt Forst, bearb. von H. E. Kubach, J. Seeger, Berlin 1939.

Corpus inscriptionum Poloniae, t. X: *Inskrypcje województwa lubuskiego*, pod red. J. Zdrenki, Z. 12: *Powiat żarski (do 1815 roku)*, zebrali i opracowali A. Górski, P. Karp, Toruń 2019.

J. S. Magnus, *Historische Beschreibung Der Hoch-Reichs-Gräfflichen Promnitzschen Residentz-Stadt Sorau in Niederlausitz, Und Deroselben Regenten Kirchen- und Regiment-Sachen, Wie auch Gelehrten Leuthen Und Sonderbahren Begebenheiten*, Leipzig 1710.



Prezentacje

Helena Zadrejko



Urodziła się na Kresach Polski w Dalidowiczach. Jest absolwentką Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, Dyplom na Wydziale Malarstwa obroniła w Pracowni prof. Jerzego Nowosielskiego w 1970 roku.

Dwukrotna stypendystka Ministerstwa Kultury i Sztuki. Od 37 lat mieszka w Atenach, nieustannie pracując artystycznie i społecznie. Zrealizowała 62 wystawy indywidualne w Polsce: od Białegostoku poprzez Warszawę aż po Zieloną Górę i od Szczecina poprzez Kraków aż do Przemyśla oraz w Niemczech, Słowacji, Bułgarii i Grecji (16 wystaw w Atenach i wielu innych miastach na lądzie i na wyspach).

Wzięła udział w około 250 wystawach zbiorowych: ogólnopolskich, pokonkursowych, poplenerowych oraz międzynarodowych w wielu krajach Europy i Azji.

Ostatnie wystawy w Polsce:

- 2021 lipiec-wrzesień, HELENA ZADREJKO. MALARSTWO. 50 LAT PRACY TWÓRCZEJ – Muzeum Ziemi Lubuskiej, Zielona Góra
- 2021 październik, DROGA USŁANA BARWAMI – Zamek Piastowski, Racibórz:
- 2021 listopad, RÓŻNOBARWNOŚĆ – Galeria „Reymontówka”, Chlewiska

Wkrótce:

- 2022 kwiecień, WIZERUNKI NATURY – Zamek Dzikowski, Tarnobrzeg

Uczestniczyła w ponad 100 plenerach malarskich, z których 34 sama zorganizowała przy pomocy sponsorów: cztery w Polsce, cztery we Włoszech i 26 w różnych miejscowościach Grecji.

W 2005 roku stworzyła międzynarodową grupę „Arthome” z siedzibą w Parikii na Paros. Przez sześć lat artyści z Polski i z wielu krajów Europy przybywali na Paros w celu poznania wyspy i kultury greckiej. Zainspirowani urodą krajobrazu, realizowali dzieła malarskie i uczestniczyli w wystawach na wyspie i w Atenach.

W 2006 opracowała i wydała album o artystach grupy „Arthome” pod tytułem *41 Osobowości w Sztuce Wschodniej Europy*, który towarzyszył wystawom członków grupy.

Za pracę twórczą została nagrodzona i wyróżniona 20 razy, w tym m.in.:

- 1973 ZŁOTE GRONO – Nagroda Publiczności na Wystawie Laureatów Ogólnopolskich Konkursów w Zielonej Górze
- 1973 BRĄZOWY MEDAL – 3 Nagroda w Ogólnopolskim Konkursie Malarskim pt. „Bielska Jesień” w Białymstoku-Białej
- 1974 BRĄZOWY MEDAL – 2 Nagroda w Ogólnopolskim Konkursie Malarskim im. J. Spychalskiego w Poznaniu
- 1976 SREBRNY MEDAL – 2 Nagroda w Ogólnopolskim Konkursie Malarskim pt. „Bielska Jesień” w Białymstoku-Białej
- 1978 Dwie NAGRODY FUNDOWANE za portrety, Muzeum Portretu Współczesnego, Radom
- 1984 MEDAL GALERII BWA w Radomiu
- 1992 ZŁOTA PLAKIETKA Związku Dziennikarzy Greckich w Atenach
- 2012 NAGRODA Czasopisma „Artysta i Sztuka” na wystawie pokonkursowej Triennale z Martwą Naturą, Sieradz.

Trzykrotnie odznaczona za pracę twórczą i działalność kulturalną:

- 1977 SREBRNY KRZYŻ ZASŁUGI – Odznaczenie Państwowe
- 2002 ZŁOTY KRZYŻ ZASŁUGI – Odznaczenie Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
- 2017 KRZYŻ KAWALERSKI ODRODZENIA POLSKI – Odznaczenie Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej



Prace Heleny Zadrejko znajdują się w zbiorach: Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze i Gorzowie Wielkopolskim, Muzeum Metali Kolorowych w Legnicy, Muzeum Architektoniczno-Historycznego w Głogowie, Muzeum Współczesnego Portretu i Autoportretu w Radomiu, Okręgowego Muzeum w Białymstoku, w Słupsku, w Siedlcach, Muzeum Sportu w Łodzi, a także w Zbiorach „CBWA” w Warszawie i Galeriach „BWA” w Olsztynie, Białymstoku, Słupsku, Lesznie, Zielonej Górze, Legnicy, Wrocławiu, Krakowie, Tarnowie, Szczecinie, Białej Podlaskiej, Częstochowie, Katowicach, Piotrkowie Trybunalskim, Jeleniej Górze oraz w instytucjach państwowych i społecznych, a także w kolekcjach prywatnych w Polsce, Grecji, Austrii, Belgii, Brazylii, Bułgarii, Czarnogórze, Francji, Hiszpanii, Holandii, dawnej Jugosławii, Kanadzie, Niemczech, Rosji, Słowacji, Szwecji, Turcji, Wielkiej Brytanii, we Włoszech i USA.

Jacek Gernat

Poetyckim okiem malarki O twórczości Heleny Zadrejko

„Wydaje się, że jakaś trudna do wskazania i opisania uczuciowość liryczna obecna jest w malarstwie tak rzeczowym, obiektywnie iluzyjnym i dokładnie obrazującym wszystkie szczegóły rzeczywistości...” – pisał w 1977 roku o twórczości Heleny Zadrejko wybitny polski malarz Jerzy Nowosielski, jej artystyczny mentor. Martwe natury, krajobrazy i ludzie – pozornie zwyczajne przedmioty, miejsca i sytuacje, zyskujące na płótnach wymiar bliski sakralnemu. Postaci ludzkie sportretowane z nieomal naukową precyzją, przyjmujące zarazem dostojne, uroczyste pozy. Przytłumiona kolorystyka, spokój, płaszczyznowość, harmonia i hieratyzm malarskich kompozycji – zabiegi formalne, które nadają wielu obrazom artystki charakter ikon; ujawniają wewnętrzną tajemnicę rzeczy i relacji tak bardzo osobistych, tak silnie związanych z konkretną osobą. Skłaniające do refleksji, nieomal mistycznej zadumy, malarstwo Pani Heleny, polsko-greckiej artystki od lat związanej z Zieloną Górą i Środkowym Nadodrziem, mogliśmy podziwiać w ostatnim czasie po raz kolejny, na trwającej od lipca do września 2021 roku wystawie jubileuszowej Autorki w Muzeum Ziemi Lubuskiej, pt. *Helena Zadrejko. Malarstwo. 50 lat pracy twórczej*.

Helena Zadrejko, urodzona w 1944 roku artystka o barwnej biografii i bogatym, urozmaiconym dorobku malarskim (dopełnionym dziełami rysunkowymi, akwarelami, ilustracjami książkowymi i kolażami), swoją drogę twórczą rozpoczęła od studiów w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych pod kierunkiem prof. Nowosielskiego w latach 1964-1970. Kolejnym etapem była intensywna działalność artystyczna i pedagogiczna w miejscowościach regionu lubuskiego, w Głogowie i w Zielonej Górze. Wzięła także udział w dziesiątkach ogólnopolskich plenerów malarskich, których niejednokrotnie była organizatorką i animatorką, utrzymując rozległe kontakty z uznanymi artystami polskimi i lubuskimi. Wreszcie przeprowadzka do Grecji, gdzie malarka po dziś dzień kontynuuje aktywność twórczą i środowiskową, współpracując z malarzami polskimi, greckimi oraz innych narodowości, m.in. w ramach założonej przez siebie międzynarodowej grupy artystycznej „Arthome”.

Helena Zadrejko szybko wypracowała swój własny język malarski, wyrażany w licznie malowanych od początku lat 70. XX wieku martwych naturach, pejzażach i portretach. Artystka nie zrezygnowała ze środków malarskich, pozwalających budować iluzję realnego przedmiotu i przestrzeni na płótnie, takich jak gama walorowa, światłocien czy perspektywa malarska; w swoich kompozycjach notuje otaczający ją świat w sposób rzeczowy i precyzyjny. Do tego stopnia, iż w latach 70. łączono jej twórczość z hiperrealizmem, choć w przeciwieństwie do reprezentantów tego nurtu autorka nigdy nie korzystała z fotografii, ufając jedynie własnym oczom i biegleści ręki. Pomimo drobnozgowości form obrazy malarki mają silnie kontemplacyjny charakter, tchną nieomal mistycznym spokojem, co zbliża je do ikon. Podobnie jak w tych religijnych wizerunkach przedstawione osoby czy przedmioty zatracają swój materialny wymiar – czemu nierazdo sprzyja podkreślenie linii i konturu – także w tym wypadku kierując uwagę widza ku sferze ducha. Ów mistyczny, wręcz pompatyczny charakter swoich prac, a także ich żywą kolorystykę artystka niewątpliwie zawdzięcza swojemu mistrzowi Jerzemu Nowosielskiemu.

Malarka wskazuje na swój obraz z 1970 roku zatytułowany *Peryferia Krakowa*, w którym widoczny jest – jak sama opisuje – „wpływ mojego Mistrza Nowosielskiego, a jednocześnie przejawia się moje własne, liryczne widzenie krajobrazu”. Dwuwymiarowy charakter wiejskiego pejzażu, w którym podział na plany staje

się niemal niewidoczny, syntetyczna forma detali, płasko nakładana plama barwna i dostojny spokój istotnie przywodzą na myśl „ikonowe” obrazy Nowosielskiego. Późniejsze prace artystki zyskują bardziej mimetyczny charakter i wartości malarsko-światłocieniowe, przy czym realizm kompozycji nadal jest podporządkowany hierarchizmowi i płaszczyznowości języka ikony. Co istotne, pani Helena niejednokrotnie „uświęca” w ten sposób osobiste doświadczenia życiowe i własne uczucia, „przenoszone” pędzlem na płótno. Autoportret ciężarnej malarki w skupieniu prasującej dziecięcę ubranko (*Oczekiwanie*), powstała rok później martwa natura skomponowana z czyszczonych w kuchennym zlewie garnków, rondli, butelek, smoczków i innych przedmiotów niezbędnych do karmienia i pielęgnacji narodzonego niemowlęcia (*Poezja macierzyństwa*), czy widok kuchenki zastawionej garnkami z gotującą się strawą i chochlami (*Proza*) – pozornie zwyczajne przedmioty i sytuacje, dokumentujące codzienność autorki w czasie malowania prac, na płótnach zyskują wymiar niemal sakralny. Przytłumiona kolorystyka, spokój, płaszczyznowość, harmonia i hierarchizm tych kompozycji ponownie nadają im wymiar ikon; ujawniają wewnętrzną tajemnicę rzeczy tak bardzo osobistych, tak silnie związanych z konkretną osobą. „Rzeczy mówią o miejscu, mówią o tamtejszych ludziach, mówią o mnie, ponieważ ja je spostrzegam, wybieram i przepuszczam przez sito mojej wrażliwości” – cytując komentarz autorki, która wielokrotnie rejestruje na płótnie „coś charakterystycznego dla danego miejsca” – są to nie tylko przedmioty osobiste malarki, ale także atrybuty osób jej bliskich, np. akcesoria wędkarskie malarza Telemacha Pilitsidisa – niegdyśszego partnera życiowego Pani Heleny – bądź różnego rodzaju „wypreparowane” skrawki natury, jak zebrane owoce, kwiaty, zioła, grzyby – zwykle dotyczące miejsc odwiedzonych przez artystkę – wnikliwie uporządkowane i ułożone w przemyślaną kompozycję.

Podobny porządek i synteza cechują chętnie uprawiane przez Helenę Zadrejko malarstwo portretowe, choć artystka za każdym razem podchodzi do swojego modelu indywidualnie, z wnikliwością, ale i empatią, bo jak deklaruje: „każdemu mogę dać to, czego pragnie lub na co zasługuje”. Najchętniej uwiecznia na swoich płótnach ludzi, z którymi ma kontakt osobisty – swoich bliskich, przyjaciół, artystów biorących udział w jej plenerach; na wielu obrazach maluje samą siebie, traktując te autoportrety jako rodzaj intymnego pamiętnika. Portretowane osoby na jej obrazach są eleganckie, przyjmują dostojne, hieratyczne pozy, również wtedy, gdy widzimy je w sytuacjach prozaicznych, takich jak np. przygotowanie sprzętu wędkarskiego (*Przygotowanie do sezonu*). Niekiedy malarka podejmuje dialog ze sztuką dawnych mistrzów; przykładowo w pracy zatytułowanej *Dialog* zestawia renesansowy wizerunek młodej kobiety według Rafaela (*La Muta*) z portretem kobiety współczesnej. W późniejszej, niepozabawionej swady kompozycji pt. *Poczęstunek*, autorka stwarza interesującą iluzję optyczną: oto werystycznie sportretowana młoda dziewczyna sięga po jedną z wiśni na tacy trzymanej przez grecką damę, będącą w istocie dwuwymiarową postacią z antycznego fresku (namalowanego według oryginału zachowanego na greckiej wyspie Santoryn) w stylu sztuki egejskiej, tak bliskiej artystce, mieszkającej dziś na wyspie Paros, na Morzu Egejskim.

Wizerunki portretowe pędzla Pani Heleny odznaczają się realizmem, jednakże jest to realizm przefiltrowany przez wizję autorki. Wybitny polski malarz i przyjaciel artystki, Jerzy Duda Gracznik napisał, że jej postawę cechuje racjonalna namietność badacza i „[...] anatomiczna precyzja, która z pozorów rejestrując każdy drobiazg, w konsekwencji daje najprostszy wizerunek wybranych elementów natury. Przeniesienie tej metody pracy na człowieka, daje zaskakujący rezultat w postaci syntetycznej formy, mimo wszelkich pozorów »dokładności« i »odmalowania« każdego szczegółu. Pomija tu również Helena, cały balast tzw. psychologicznej głębi będącej, zdaniem znawców przedmiotu, istotą portretu. Traktuje człowieka, jak każdy inny »detal przyrodniczy«, przez siebie upozowany ułożony i przystosowany do potrzeb swojej wizji świata”. Także w tym wypadku ważniejsza od iluzji przestrzeni staje się płaszczyzna i kontur, które budują harmonię układu, podkreślona gamą kolorystyczną, złożoną z odcieni zieleni, brązów, szarości, dopełnionych silniejszymi akcentami barw. Wszystkie te zabiegi nadają portretom malarki wymiar współczesnych ikon.

W wielu swoich późnych pracach autorka coraz silniej eksponuje realistyczny warsztat malarski, werystycznie odwzorowując obserwowane osoby, krajobrazy i przedmioty; tematem jej płócien stają się, obok polskiej natury, krajobrazy Grecji, Morza Egejskiego, morskie muszle i portowe nadbrzeża oraz antyczne pozostałości – a więc motywy, które po raz kolejny odsyłają nas do świata impresji, przeżyć i wspomnień autorki, w tym wypadku silnie związanych z jej kolejną ojczyzną. Choć obrazy te – pełne żywych i ciepłych barw – w dużej mierze utrzymane są w „zachodniej” konwencji malarstwa przedstawieniowego, nadal jest w nich czytelny „bizantyjski” spokój i element mistycyzmu, i refleksji. Ostatnie prace Pani Heleny to dynamiczne kompozycje pełne wyrazistych kolorów i światłocieni, malowane z wielką precyzją – na przekór problemom ze słabnącym wzrokiem – stąd uznać je można także za swego rodzaju „artystyczne zwycięstwo” wciąż aktywnej twórczo malarki, która osobiście deklaruje, iż „[...] można być ciągle twórczym, wystarczy mieć ciekawość świata, spostrzegać jego piękno i ciągle się uczyć. Nie wolno się rozleniwic i zubożnąć.”

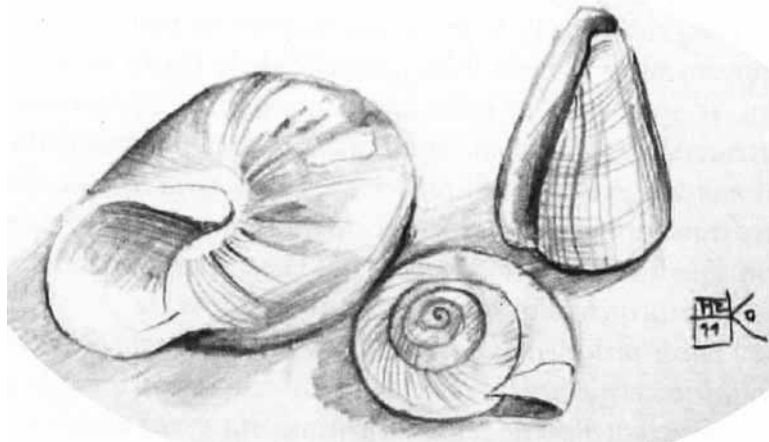


Jerzy Nowosielski

Artystyczny dystans

Malarstwo Heleny Zadrejko najłatwiej byłoby określić jako realistyczne, gdyby określenie to nie było tak bardzo obciążone rozlicznymi historycznie uwarunkowanymi podtreściami i bardzo różnorodną zawartością podbudowy teoretycznej – do tego stopnia, że za wiele można pod pojęciem „realizm” w malarstwie sobie pomyśleć i wyobrazić. A więc może nie „realizm”, lecz pewna dość ścisła dosłowność w przekazywaniu zasadniczych elementów malowanego przedmiotu? I w tym miejscu prosi się porównanie malarstwa Heleny Zadrejko do innych podobnych w swym zamierzeniu wysiłków, realizacji malarskich z ostatnich lat piętnastu. A więc przede wszystkim z malarstwem hyperrealizmu i z innymi pokrewnymi wysiłkami – również na gruncie polskim. W takim zestawieniu określenie miejsca i specyficznej wartości sztuki Heleny Zadrejko staje się bardzo trudne. Ale ponieważ trzeba się na takie określenie zdecydować – najwłaściwsze wydaje się słowo „dystans”. Istotnie. Zadrejko potrafiła się zdobyć na niesłychanie trudne zdystansowanie się od bezpośrednich sugestii współczesności, w żadnej mierze nie popadając w jakąkolwiek passeistyczną zależność od estetyki okresów dawnych. Ale na czym polega ten dystans, który moglibyśmy nazwać inaczej – niezależnością? Wydaje się, że jakaś trudna do wskazania i opisania uczuciowość liryczna obecna jest w malarstwie, tak rzeczowym, obiektywnie iluzyjnym i dokładnie obrazującym wszystkie szczegóły rzeczywistości. Gdyby nie ona, malarstwo to byłoby równie słabe, jak inne tego typu obrazy, które namnożyły się w ostatnich latach. Daleki jestem od akceptowania tej oschłości. Jest ona założeniem estetycznym i w przypadku udanych realizacji właśnie ona stanowi o ich prawdziwej wartości. Wydałoby się, że niemożliwe jest jakiekolwiek współzycie tej bezwzględnej oschłości z innym żywiołem malarskim, najmniej zaś z liryczną czułością. Sama jej istota jest przecież zaprzeczeniem czegoś takiego jak liryczna czułość. A jednak... po zapoznaniu się z obrazami Heleny Zadrejko widzimy, jak bardzo w sprawach sztuki nie można się zarzekać, jak bardzo nigdy nie można mieć pewności. Bo oto nagle, przekonani o jakiejś prawdzie, zdawałoby się zupełnie, stajemy, jak w przypadku tego malarstwa przed niespodzianką, przed rzeczą teoretycznie niemożliwą, a jednak prawdziwą, bo zrealizowaną przez nową indywidualność artysty.

(fragment wstępu do katalogu *Helena Zadrejko – MALARSTWO*, Radom 1981)





Krok do jesieni, olej- płótno, 40 × 50, 2018



Niedźwiedź polarny z Kolimbitres, akwarela, 2007



Atak, płótno, 53 × 63, 1997



Kanie, olej-płótno, 54 × 73, 1994



Szlachetność przedmiotów, olej, 54 x 65, 2010



Białe szkło, olej, 60 x 80, 1988



Szczęśliwy czas, olej- płótno, 50 × 40, 2016



Śniadanie, olej- płótno, 60 × 50, 2010



Bukiet podlaski, olej, 65 × 50, 1988



Dar, olej, 95 × 60 + 17, 2007

Istota portretu

*Z pokorą chylę czoło przed potęgą i urodą krajobrazu i składam rezygnację.
Kieruję moje wysiłki twórcze ku bardziej bezpośredniej i partnerskiej naturze,
uprawiając portret i „martwą” naturę. Próbuję ciągle...*

Helena Zadrejko

Nie znając Heleny, ani jej malarstwa, można się nabrać na te słowa, uwierzyć w sentymentalny kamuflaż; zapewnienia o pokorze i rezygnacji, aby w rezultacie otrzymać fałszywy wizerunek paniusi, z uległością malującej śliczne obrazki. Ale osobowość Heleny jest ukształtowana i konsekwentna niemal raz na zawsze, radykalnie określona. Helena ukończyła krakowską ASP i już ta informacja, skonfrontowana z jej obrazami nie pozwala wątpić, że kontynuuje ona własną drogę, nie mającą nic wspólnego z pojmowaniem malarstwa i „malarskości” przez wielu absolwentów tej uczelni. Z kobiecą przewrotnością i wdziękiem Helena deklaruje pokorę wobec natury, lecz w istocie ani myśli się jej poddawać. Obserwując bacznie naturę, wy-preparowuje z niej to, co uznaje za surowiec do malarskiego przetworzenia i nie ma w tym żadnej, rzewnej uległości, ale wybór tego, co najistotniejsze; co potrzebne do zbudowania obrazu, niezależnie od tego, czy przedmiotem prezentacji Heleny są „detale przyrodnicze”, czy postać ludzka. Jest w tej postawie, kiedy maluje swoje grzyby, paprocie i inne zielsko, racjonalna namiętność badacza; wnikliwość, która selekcjonuje i porządkuje formy, w jakich natura jawi się naszym oczom. Jest też anatomiczna precyzja, która z pozorów rejestrując każdy drobiazg, w konsekwencji daje najprostszy wizerunek wybranych elementów natury. Przeniesienie tej metody pracy na człowieka, daje zaskakujący rezultat w postaci syntetycznej formy, mimo wszelkich pozorów „dokładności” i „odmalowania” każdego szczegółu. Pomija tu również Helena, cały balast tzw. psychologicznej głębi, będącej – zdaniem znawców przedmiotu – istotą portretu. Traktuje człowieka, jak każdy inny „detal przyrodniczy”, przez siebie upozowany, ułożony i przystosowany do potrzeb swojej wizji świata. Prawda, że podobnie jak „przyrodę”, maluje człowieka z wielkim upodobaniem, często najwyraźniej go upiększając, ale nie ma to większego znaczenia, bo jedno i drugie jest rejestracją detali, składających się na całość. Dodajmy – na całość płaską, bo tu chyba tkwi istota problemu i onej nieśmiałości (czy niechęci) wobec pejzażu, jako struktury przestrzennej, której nie ma sensu wyrażać na płaszczyźnie. Helena bowiem, niezależnie od mylącego wyrazu formalnego, być może archaicznego dla wielu drobiazgowości i solidności warsztatu, posługuje się płaszczyzną i ma tego najpełniejszą świadomość. Nie cienkie pędzelki, którymi maluje, nie grube okulary, przez które uważnie analizuje wszystko, ale właśnie świadomość, że obraz jest płaski, wydaje się fundamentem jej działania artystycznego. Malarstwo Heleny jest na wskroś współczesne i wbrew pozorom, wcale nie tradycyjne, sentymentalne, z „miłością malowane” i takie tam. Jest to malarstwo, w którym dokonuje się odwieczna, podejmowana przez człowieka, próba opisanego świata na płaszczyźnie obrazu. Malarstwo Heleny, z całą właściwą mu precyzją i wiernością wobec natury jest również znakomitą dowodem, na bezsens terminu „naturalizm” jako nietwórczego kopiowania natury. W tych obrazach przecież malowanych z największą dokładnością, otrzymujemy wizerunek wiecznej natury na wskroś żywy i współczesny; suwerenny i niepowtarzalny, jak linie papilarne.

(fragment wstępu do katalogu *Helena Zadrejko-Kokorakis*, Biura Wystaw Artystycznych w Lesznie, Zielonej Górze, Legnicy, Częstochowie, Tarnowie; BWA Leszno 1987)



RECENZJE I OMÓWIENIA



Innego teatru nie będzie

Andrzej Buck, *Teatr małej ojczyzny. Szkice do dziejów Lubuskiego Teatru w Zielonej Górze 1951–2010*, Pro Libris – Wydawnictwo Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida, Zielona Góra 2018, 576 s.

Teatr małej ojczyzny Andrzeja Bucka to monumentalna – licząca blisko sześćset stron – opowieść o teatrze w Zielonej Górze. Piszę opowieść, a nie monografia, ponieważ praca ma odmienny charakter. Nie jest, nie musi i nie powinna być lekturą, która została wydana w związku z takim lub innym jubileuszem, wkrótce trafi na półki, gdzie zakurzy się i zostanie zapomniana. *Teatrowi małej ojczyzny* to nie grozi. Nie znam zdecydowanej większości opisywanych przez Bucka spektakli, a przecież, czytając tę pracę, co raz łapałem się na tym, że widzę te spektakle, czuję znój i euforię ich przygotowywania, cieszę się ze współuczestnictwa. Teatr jest wysiłkiem i radością zbiorową, i tę zbiorowość stara się uchwycić autor tomu. Z dużym sukcesem. Andrzej Buck zna dzieje Lubuskiego Teatru w Zielonej Górze z autopsji, przez wiele lat był kierownikiem literackim, a następnie dyrektorem zielonogórskiego teatru, w jednym z najlepszych artystycznie dla tej sceny okresów, ale nie chce, a pewnie i nie potrafiłby pisać wyłącznie o sobie i własnych dokonaniach. Perspektywa Bucka jest inna: sentyment, bez resentymentów. Taką publikację mógł bowiem stworzyć jedynie pasjonat teatru i pisania o teatrze.

To praca w jakimś stopniu unikatowa. Pisana bez hierarchizowania, bez poczucia wyższości, za to



z pietyzmem i z czułością. Teatr dedykowany dzieciom został opisany na tych samych prawach co wielkie realizacje Gombrowicza, Mrożka czy Szekspira. Wielkie nazwiska związane ze sceną lubuskie-

go teatru sąsiadują z takimi, które nie przetrwały w zbiorowej pamięci, a których umieszczenie w tomie oznacza w jakimś stopniu nieśmiertelność. Buck prowadzi detaliczne kalendarium, wkomponowuje w materię historycznoteatralną recenzje (niechby nawet krytyczne), przede wszystkim jednak czuje się w tym teatralnym „dziejopisanium” zaangażowanie osobiste, prywatne. Mimochodem Andrzej Buck wspomina o własnej drodze, najpierw teatromana zafascynowanego choćby Szajną, następnie kierownika literackiego, a wreszcie wieloletniego dyrektora Lubuskiego Teatru w Zielonej Górze (przez wiele lat, aż do 2019 roku, noszącego imię Leona Kruczkowskiego). Dziesiątki premier, spotkań, przygotowań do wyjazdów festiwalowych, ale też integracji zespołu z widzami, wciąż nowych pomysłów, beneficjów i rautów. Realizacje Leszka Mądzika, Jerzego Hoffmana, Piotra Łazarkiewicza, występy gościnne Anny Seniuk, pierwsze prace teatralne Małgorzaty Bogajewskiej czy Pawła Demirskiego. To wszystko – plus dziesiątki innych wydarzeń czy nazwisk – towarzyszyło dyrekcji Bucka, autor wpisuje owe wydarzenia w wielki teatralny krwiobieg powojennej historii teatru w Zielonej Górze. Teraźniejszość w narracji Bucka komentuje przeszłość, jest w niej zakorzeniona, czerpie z dawnych doświadczeń.

Wspaniały budynek Lubuskiego Teatru, dzieło berlińskiego architekta Oskara Kaufmanna, twórcy Volksbühne, przechowuje pamięć o dziesiątkach przedstawień dramatycznych, muzycznych, komediowych, kabaretowych, ale także eksperymentalnych, performerskich. Większość została odnotowana w tym tomie. Buck precyzyjnie odtwarza początki nowego Lubuskiego Teatru, który powstał na bazie przedwojennego teatru, bazującego na impresaryjnych przedstawieniach przywożonych z Berlina, Głogowa, Zgorzelca czy z Wrocławia. W roku 1951 zaczęły działać Miejski Teatr Zielonogórski, w którym występowały przede wszystkim dwa zespoły – „Teatr Kolejarza” i „Nowa Reduta”, a pierwszą premierą wystawioną 24 listopada 1951 roku była *Zemsta* Aleksandra Fredry. 18 grudnia 1964 roku Państwowy Teatr Ziemi Lubuskiej zaczął funkcjonować jako Lubuski Teatr im. Leona Kruczkowskiego. Dla historii teatru w Zielonej Górze rozpoczął się wówczas

najważniejszy, trwający aż do dzisiaj rozdział. *Teatr małej ojczyzny* jest teatrem opisanym z perspektywy osobistej, z perspektywy Andrzeja Bucka. Zachowując atuty pracy naukowej, jest także rodzajem literatury przypominającej teatr właśnie. Wszystkie gatunki: esej i kalendaria, wykopiowania recenzji i osobiste referencje, zdjęcia i afisze teatralne. To przecież jak w teatrze: i farsa, i dramat, Szekspir i Cooney, wielkie festiwale i doraźne kłopoty techniczne. Andrzej Buck, człowiek teatru, wnika głęboko pod teatralną podszewkę. Zagląda tam, gdzie nikomu przed nim nie udało się, albo nie chciało zajrzeć. Odnotowuje nie tylko największe wydarzenia dla sceny lubuskiej, ale także przedstawienia z perspektywy czasu marginalne, zapomniane. Utrwała je. To może właśnie najważniejsze, przecież ulotność sceny jest porażająca. Miesiące, tygodnie pracy, premiera, kilka recenzji, kilka zdjęć, czasami reportaży w telewizji. I tyle. Może jeszcze pamięć widzów, dopóki trwa. Buck pomaga tej pamięci, zapisuje. W kalendarzach lubuskiego teatru pojawiają się znane nazwiska, artyści związani z Lubuskim Teatrem przez dekady, ale także twórcy wpadający do Zielonej Góry na chwilę, na jeden czy dwa spektakle, dr Andrzej Buck pisze o teatrze dziecięcym, o realizacjach studenckich, teatrze poetyckim. Pisze o tym bez kompleksów, z poczuciem regionalnej dumy, już na początku tomu wyjaśniając (za Janem Peszkiem), że prowincjonalizm jest problemem mentalnym i nie ma czegoś takiego jak prowincjonalny teatr. Jest za to *Teatr małej ojczyzny* – powód do dumy, nie wstydu. W tomie znalazła się również wypowiedź Leszka Mądzika z 2003 roku. Wybitny twórca mówi o sztuce teatralnej, że „pozwala dzielić się z innymi własnymi lękami i zagrożeniami”. I taki właśnie jest teatr, taki powinien być. To przeżycie polegające na spotkaniu cudzego głosu z własnym. Na żywo, z udziałem aktorów, publiczności. Inny teatr nie ma sensu – ostatnie miesiące pandemii pokazały wyraźnie, że próba przeniesienia teatru do sieci, do online’u, kompletnie się nie sprawdziła. Teatrem jest spotkanie. Autora i reżysera, aktora i widza, scenografa, kostiumografa... Innego teatru nie będzie.

Łukasz Maciejewski

Wielowarstwowa panorama regionu

Mirosława Szott, *Poezja lubuska w perspektywie geopoetyki*, Seria Historia Literatury Pogranicza – Czytanie miejsca, Część siódma, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Pro Libris – Wydawnictwo Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida, Zielona Góra 2021, 262 s.

Nakładem dwóch wydawnictw: Oficyny Wydawniczej Uniwersytetu Zielonogórskiego oraz Pro Libris Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida ukazała się w ubiegłym roku ważna pozycja historyczno-krytycznoliteracka Mirosławy Szott pt. *Poezja lubuska w perspektywie geopolityki*. Mam poczucie, że trzeba mi koniecznie dać czytelnicze świadectwo jej odbioru. Ważna jest z punktu widzenia naukowej analizy (której nigdy za dużo) dokonania poezji lubuskiej, jako obrazu miejsca w literaturze twórców, ale też ważna dla samego rozumienia poszczególnych zjawisk lokalnej twórczości. Może być zarazem bardzo pomocna i użyteczna w szkolnej dydaktyce. Jest to siódma pozycja w serii Historia Literatury Pogranicza. Składa się z dwóch części. W *Części I* autorka zajmuje się rozważaniami ogólnymi, dotyczącymi kwestii regionalizmu kulturowego, przywołuje więc możliwe do uwzględnienia różne stanowiska i kryteria, odnoszące się do istoty zagadnień tej materii. Te zagadnienia dotyczą przynależności kulturowej tudzież odpowiedzi na ważne pytania, a mianowicie owo „gdzie jestem?”, „co mnie łączy z miejscem?”. Ma rację Szott, że niejeden autor pragnie dookolną „przestrzeń wypełnić jej historią, refleksją, pamięcią, poetycką mityzacją”. Niejeden pragnie i niejeden tego dokonuje. Niekoniecznie podejmując się opisanie jakichś wyróżników lokalnych, regionalnych w swoich dziele. Rzecz przecież w tym, że o swoistości realiów, które literacko autor uwzględnia, decyduje właśnie konkretne miejsce jego życia, otoczenie społeczne, perspektywa czasowa, rozległa historycznie lub odnosząca się do bieżącego „teraz”. To wszystko ma wpływ oczywisty na barwę i kształt przedstawionego dookolnego krajobrazu, który jest szeroką wielowarstwową panoramą regionu, tutaj lubuskiego, lub jedynie dosyć cząstkową, więc fragmentaryczną odstoną, sprowadzoną nawet tylko do przedstawienia psychicznej sfery prywatności jed-



nostki, co samo w sobie nie deprecjonuje rangi literackiego znaczenia. Poetyckie i wnikliwe przedstawienie przez Mirosławę Szott (wcześniej w zbiorze *Anna*) całej sfery obrazu realnego, przedmiotowego i imaginowanego, życia poetki Anny Tokarskiej, która na świat patrzyła z okna na piętrze-poddaszu domu przy placu Słowiańskim, też było opisaniem miejsca prywatnego, a ponieważ i lubuskiego, nawet gdyby udało się dopatrzeć w nim jedynie uniwersalnej wszechświatowości. Będzie zawsze dotyczyło wymiaru realnego, konkretnego życia „tutaj” i losu „tutaj”. Dlatego stanowisko Kazimierza Brakonieckiego, jego rozumienie lokalności może być wzięte pod uwagę jako kryterium naukowej kwalifikacji w opisie. W końcu lokalność, cała jej specy-

fika, zwłaszcza we współczesnym świecie, gdzie media kształtują masowo światopoglądowe relacje międzyludzkie i dosyć skutecznie wszystko profilują, przez co każda lokalność jest już bytem dalece zunifikowanym. Można i warto lokalność obecnie traktować nowocześnie jako „połączenie wszechświatowości z tym, co prywatne” (Brakoniecki). To dobre wyjście. W innym przypadku doszlibyśmy do opisywania skansenu, którego nie ma. Są natomiast naprawdę wszędzie jakieś „małe ojczyzny”, którymi poeci także się zajmują. Ich opisy przynosi *Część II*. Jest małe miasto Sulechów, w którego realiach i obrazach żyje i je ocenia w swoich wierszach Małgorzata Stachowiak: „Małe miasteczka robią nas na szaro”. Jest wieś nadodrzańska Laski Odrzańskie, w której urodził się i mieszkał do końca życia Mieczysław Warszawski. Opisy o dużym walorze poetyckim tamtego kręgu społecznego oraz natury znajdziemy w wielu jego zbiorach. Zostały po nim jako nieusuwalne ślady obecności i świadectwa. Mówiłem o tym nad jego grobem. To była jego „mała ojczyzna”. Jej kształt został nakreślony z podmiotowego punktu widzenia. Tym samym, jakby jedynym miejscem, w którym czuł swoje zakorzenienie, a raczej osobisty mentalny związek z każdym drzewem, kamieniem, fasadą kamienicy, były dla Janusza Werstlera Żary, odwiedzane przeze mnie dosyć często, zwłaszcza jego (poety) Antykwariat. Dodam tylko, że głównie Żary są prezentowane w wierszach poety *Pożegnanie jabłoni*. Piękne to wiersze i o bliskich mu ludziach. Oczywiście dla dobrego porządku chcę zauważyć, że analizę poetyckich miejsc

otwiera świetny opis przejmującej poezji cygańskiej poetki Bronisławy Wajs – Papuszy, której strofy odnoszą się do miejsca lubuskiego, tyleż stałego, co wędrownego w taborach. Zauważa słusznie Mirosława Szott, że „przyroda-las należy do sfery *sacrum*”. Papusza – to rozległy, wielowątkowy, pełen tajemnic i zagadek temat. Choćby wyjątkowa rola Jerzego Ficowskiego. Warto z uwagą ten pierwszy rozdział przedmiotowych analiz przeczytać, bo Papusza „widziała i czuła las” całą sobą, oczami duszy. Nie zamierzam w tej recenzji przywoływać opisanej szczegółowo przez autorkę materii poetyckiej kilku innych poetów, bo przecież niczego więcej nawet nie dodam, poza tym, co sama autorka wnikliwie i pieczołowicie swoim opisem zademonstrowała. Jednak gwoli ścisłości zauważę, że zajęła się także przedstawieniami miejsca (lubuskiego) w poezjach Andrzeja K. Waśkiewicza, Ireny Dowgiewicza, Wojciecha Śmigieckiego, Eugeniusza Kurzawy, Agnieszki Leśniewskiej i innych autorów, wybierając ten skład według własnego wartościującego klucza i smaku. Czymś szczególnym we wszystkich analizach M. Szott jest nie tylko cenna wnikliwość intelektualna, docieranie do podszewki znaczeń, ale jakaś osobista pasja, bez której nie byłoby możliwe prawdziwe czucie poezji różnych przecież poetek i różnych problematyk. Na koniec. Odbieram tę książkę, zwłaszcza jej *Część II*, jako nie tylko naukowe, ale po prostu czytelnicze ocalanie kilku zjawisk poetyckich lubuskiego regionu.

Czesław Sobkowiak

Ile jest władzy w języku?

Mechtilde Lichnowsky, *Der Kampf mit dem Fachmann*, Matthes & Seitz Verlag, München 1978, 276 s.

Der Kampf mit dem Fachmann [Walka z ekspertem] niemieckiej pisarki Mechtilde Lichnowsky (1879-1958) to prześmiewczy, ironiczny wywód o tym, jak język kształtuje relacje społeczne w różnorodnych kontekstach. Z dzisiejszego punktu widzenia, w świetle dokonań na polu filozofii języka nie jest to być może nic odkrywczego, ale i tak utwór ten (opu-

blikowany w 1924 roku) zwraca uwagę przenikliwością myśli autorki oraz jej nietuzinkowym spojrzeniem na zwyczajne z pozoru życiowe sytuacje. Przy czym nie jest to tekst naukowy, filozoficzny, ale satyryczny. Humor skupiający się na pragmatyce języka, na tym, co słyszymy codziennie wokół siebie – już samo to jest wyznacznikiem oryginalności.

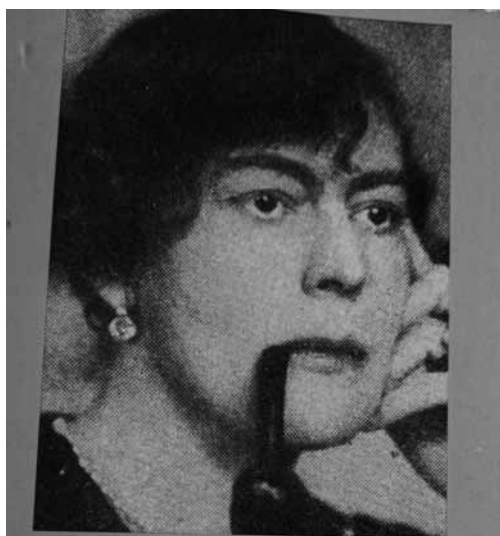
Wszecstronnie utalentowana Mechtilde Lichnowsky utrzymywała szerokie kontakty z wybitnymi osobistościami ówczesnej Europy. Głęboka intelektualna przyjaźń, trwająca wiele lat, łączyła ją między innymi z Karlem Krausem (1874-1936). Ten austriacki dramaturg, poeta i publicysta jest uznawany za najwybitniejszego satyryka obszaru niemieckojęzycznego XX wieku. Był on przez prawie czterdzieści lat redaktorem naczelnym czasopisma „Die Fackel” [Pochodnia], które w dowcipnej formie demaskowało stereotypy kryjące się w języku. Jeśli chodzi o ich obnażanie – z pomocą kąśliwej ironii – książka *Der Kampf mit dem Fachmann*, jeśli można tak powiedzieć, jest bardzo „Krausowska”. Jednakże objawia się tutaj przede wszystkim wielka indywidualność autorki i jej szerokie intelektualne horyzonty.

Każda językowa sytuacja, niezależnie od tego, czy jest to rozmowa małżonków, dialog w sklepie,

wywiad lekarza z pacjentem, wymiana spostrzeżeń dotyczących polityki, etyki czy sztuki – jest jednocześnie starciem, jak ujmuje to Lichnowsky, eksperta (*der Fachmann*) z laikiem (*der Laie*). Tytułowa figura „fachowca” w książce uosabia wiedzę i autorytet, snobizm i wyrafinowanie. Na drugim biegunie znajduje się laik – naiwny i nieorientowany, postrzegający fakty zupełnie inaczej niż ekspert. Interakcja pomiędzy nimi wywołuje napięcie (prowadząc nawet do sytuacji, gdy komunikacja przestaje być możliwa) – i to stara się opisać autorka. Pojawiające się w tekście „ja” jest głosem laika, wysmiewającego u eksperta to jedyne w swoim rodzaju nadejście, brak dystansu i poczucia humoru, jednotorowość myślenia, językową hermetyczność. Siłą laika jest jego naturalność, wyobraźnia, kreatywność i ciekawość świata. „Ja” często wchodzi w spór z figurą nazwaną *Herr von Einwender* [Pan von Oponent]. To, co zachodzi w wyniku dyskursu pomiędzy ekspertem i laikiem, jest relacją społeczną, której normy Mechtilde Lichnowsky poddaje gruntownej krytyce.

Jak wspominałam wcześniej, Mechtilde Lichnowsky obracała się wśród wybitnych przedstawicieli swojej epoki; musiała też wnikliwie śledzić bieżące intelektualne i naukowe trendy. W utworze mamy nawiązanie do filozoficznej koncepcji „qualiów” – subiektywnych doświadczeń zmysłowych, do których nie mają dostępu inni (autorka pisze tutaj o bólu). Koncepcję tę rozwinął Clarence Irving Lewis w 1929 roku. *Der Kampf mit dem Fachmann* pokazuje także rozdźwięk między elitarnością (ekskluzywnością) a masowością. Niemiecka autorka niejednokrotnie ma podobne spostrzeżenia, co Ortega y Gasset (który studiował także w Niemczech). Podczas gdy hiszpański uczony ujął swoje obserwacje w formie tomu tekstów socjologicznych *Bunt mas*, Mechtilde Lichnowsky nadała im formę utworu literackiego, koncentrującego się na właściwościach i funkcjach języka.

Lektura *Der Kampf mit dem Fachmann* nie pozostawia też wątpliwości, że posiadanie wiedzy wiąże się również z władzą oraz dominacją – i to językowy aspekt komunikacji społecznej buduje ich fundamenty. Ile zatem jest władzy w języku mówionym? W teoretycznym ujęciu te zagadnienia zgłębiali filozofowie języka dopiero w drugiej połowie XX wieku.



Mechtilde Lichnowsky
**Der Kampf mit
 dem Fachmann**
 Matthes & Seitz

Współcześnie dosyć często rozważane są powiązania między językiem, władzą a płcią. Dostrzegając je już autorka, demaskując na przykład oczywisty dzisiaj absurd kategoryzowania tak zwanej literatury kobiecej („a czy mówimy o literaturze męskiej?”, stawia pytanie Lichnowsky). To tylko nieliczne konteksty książki *Der Kampf mit dem Fachmann*. Wydają się one o wiele szersze i głębsze zwłaszcza w powiązaniu z niemieckim modernizmem (w literaturze i sztuce), ówczesną sytuacją polityczną Niemiec (to rok później, w 1925 roku, ukazuje się niesławne *Mein Kampf* Hitlera) czy wyjątkowo inspirującą w owym czasie myślą filozoficzną (by wymienić na przykład Ludwiga Wittgensteina czy Theodora Adorno).

Książka Mechtilde Lichnowsky zadziwia precyzją frazy, nietuzinkowymi skojarzeniami, bogactwem różnorodnych spostrzeżeń, nawet aforizmów. Język niemiecki brzmi tutaj znakomicie i wytrawnie, także w dialektach. Wiele fragmentów to wręcz gotowe monologi kabaretowe, mające mocną puentę, wywołujące śmiech. Mechtilde Lichnowsky bardzo dobrze wyczuwała puls i „sceniczność” tekstu – sama była także dramatopisarką. Pojawiają się tu nawet rysunki autorki, nawiązujące do wyводу książki. Lichnowsky była utalentowana plastycznie, jej kreska jest przejrzysta, łatwo wpadająca w oko i zdradzająca wielki talent do karykatury.

Wcześniej niemiecka pisarka opublikowała powieści: *Der Stimmer*¹ oraz *Geburt*². Eseiistyczna w swoim charakterze książka *Der Kampf mit dem Fachmann* wspina się na jeszcze wyższy poziom literacki i intelektualny niż jej poprzednie utwory. Mimo że mija prawie sto lat od publikacji tego utworu, nie traci na on na aktualności: obecnie nadal zastanawiamy się nad wieloma wymiarami i mechanizmami komunikacji społecznej, czynnikami, które ją kształtują, a także jej konsekwencjami.

Najnowszą dobrą wiadomością jest to, że w niemieckim obszarze językowym dokonuje się wyraźny renesans twórczości Mechtilde Lichnowsky. W maju 2022 roku po raz pierwszy ukazuje się (nakładem Paul Zsolnay Verlag) czterotomowe wydanie dzieł zebranych autorki, pod auspicjami między innymi Niemieckiej Akademii Języka i Literatury.

Dziękuję Panu mgr. Krzysztofowi Komorowskiemu za pomoc w pozyskaniu egzemplarza książki.

Joanna Kapica-Curzytek

¹ O tej książce więcej w tekście: J. Kapica-Curzytek, *Wyprzedzając swoje czasy: Mechtilde Lichnowsky: Der Stimmer [Stroiciel]*, „Pro Libris” 2021, nr 1-2 (74-75), s. 119-121.

² O tej książce więcej w tekście: J. Kapica-Curzytek, *Kobierzec*, „Pro Libris” 2021, nr 3-4 (76-77), s. 132-133.

Debiut miłości

Natalia Haczek, *Głód*, Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry WINNICA, Zielona Góra 2021, 60 s.

Zbiór poezji Natalii Haczek *Głód* to debiut nie za duży objętościowo, zwłaszcza że jego znaczną część stanowią ciekawe same w sobie ilustracje fotograficzne, ujmujące zresztą domową prywatność poetki (filizanka kawy na stoliku, żyrandol u sufitu, łazienka z bielizną na tle kafelek...). Debiutantka jest absolwentką miejscowej filologii angielskiej. Od razu zauważę – cały tomik stanowi odsłonę jej prywatnego „ja”. Zawarte w nim treści są nietuzinkowe. Pełne sprzecznych napięć. Czymże jest miłość, erotyka, je-

śli nie prywatnością, więcej – intymnością, nieprzeznaczoną dla nikogo innego poza jej uczestnikami. *Głód* właśnie te sfery intensywnie ukazuje. Przedstawia te relacje damsko-męskie nieco (z taktem jednak) perwersyjnie. Często mocno i ostro. Realność domowych spotkań, sferę owego wspólnego picia kawy, herbaty, eksponowania dotyku, elementów gry erotycznej, zapachów ciała i perfum jest w tych wierszach leitmotivem, klimatem i odniesieniem dla emocji, a zarazem dla jakichś osobistych wyostrzo-

nych spostrzeżeń i myśli. Ich wyrażenie staje się koniecznością, która daje poetyckim słowom napęd. W poezji można więcej, taka jej natura. Nie tylko prozaiczna dosłowność, ale i symboliczność. Miłość jest tu głodem, potrzebą domagającą się spełnienia. Ale nie łatwego. Doczytać się można nie tylko obrazów stanu wewnętrznego pragnienia i uczucia pełni, co poddawania wszystkich przeżyć – powiedziałbym – filtrowi dystansu, właśnie wyostrzeniu. Podmiot na różne swoje osobiste i nie tylko swoje sprawy uważnie patrzy, a zarazem ciągle funkcjonuje jakby na zewnątrz miłosnych relacji. Uczestniczy i nie uczestniczy wprost. Lecz się odróżnia. A więc w dużym stopniu nie zapomina o indywidualnej podmiotowości, nie dostępuje szansy osiągnięcia pełnej jedności. Pozostaje bowiem w stanie daleko posuniętej autokontroli. Są te wiersze, bo tego nie da się zanegować, o miłości, czy może bardziej o pragnieniu miłości, utrudnionej przez świadomość istnienia jej detaliczności. To tak jakby tyleż była przeżywana, co głównie rejestrowana z jakiegoś progu, którego poetka nie przekracza. Są tu obecne, na tej granicy,



uprzedmiotowienia albo zranienia, albo przeszkody, jak np. w wierszu *Kolacja*: „nasze szczęki znużone / powagą i taktem / rozwierają się nagle / ukazując fragmenty sałaty / grasującej między zębami”. Takie chropawe akcenty można dostrzec w wielu utworach, oczywiście w różnorodnym stopniu wyrażone, np.: „zatapiam się w twoim futrze / sztucznym jak uśmiech trupa”, „nietaktowny swąd perfum / wciska mi się do nozdrzy” (*Do U*). To, co mogłoby być przyjazne, wspólne, także tkiwe, zostaje niejednokrotnie przenicowane w nieznośny turpistyczny obraz. Znak masochizmu to czy sadyzmu? Niekiedy jednak wybrzmiewa inny klimat, na zasadzie kontrastu, łagodniejszy, bo mniej drastycznie, biegunowo uwarunkowany, więc: „zaczynam czuć twój / prawdziwy smak” (*Kolacja*). Tu przynajmniej puenta pozbawiona jest ostrego komentarza. Widać wyraźnie, że raczej tylko marginalnie wiersze Natalii Haczek nicowane są tkiwością i łagodnością. Czuje się w nich autorską obawę, by wyrażenia miłości nie zmienić w detaliczną, tanią „kiczowatą kinematografię” (*Wizyta*). Można się też zastanawiać, co tu jest prawdziwie pierwszoplanowe? Na pewno nie chodzi o jednorodność uczuć i emocji, ale o ich przeciwstawianie. Nawet wyizolowanie, co jest niemożliwe. Oznacza to istnienie wewnętrznych zmagania. Taka to postawa podszyta jakby buntem, modą na sprzeciw, chęcią zachowania osobności, oryginalności. To także młodo-poetycki, dekadenski duch czasu? Gra świadoma na popisanie się, szczerą przewrotnością, na prezentowaną z premedytacją obsceniczność? W gruncie rzeczy woli poetka dostrzegać i przywoływać, i imaginować, dramatyczne skomplikowanie, aniżeli iść torem czystej akceptacji, która jakby drażni dozą banalnego i naiwnego, prostego znaczenia. Tego rodzaju jednorodności wszelkimi sposobami się tu unika. Jakby nawet wbrew sobie? Dostrzegam, że wiersze Haczek odślaniają nie tylko napięcia psychologiczne, ale i moralne, a tych do końca wyeliminować się nie da. Szczerość w tych wierszach polega na tym, że poetka ich nie omija, lecz (co ważne) wyraża. Czytam np. wiersz w *Nad brzegiem* (s. 52), który jest chyba tych spraw odpryskiem, śladem dochodzących do głosu dylematów: „goni mnie wstyd / plażowicz w ha-

bicie / zamykam się / pod powierzchnią / wzywam mnie bezwstyd". Jakież to poczucie winy? Wyrzut? Można i spojrzeć na te wiersze, jak to robi Agnieszka Ginko, prezentacyjnie, że „to świeża i niepokorna poezja, konfesyjna, przyprawiona ironicznym dystansem i poczuciem humoru. [...] czyniąca wnikliwe obserwacje” (s. 4. okładki). Oczywiście, jednak spojrzenie w głąb odsłania różne natarczywe problemy, może nawet podmiotowe kompleksy. Rzecz godna, warta na koniec, spostrzeżenia, to sfera poetyckiej, językowej formy wyrazu. Tu można do-

strzec najwięcej atutów. Zauważy bowiem czytelnik choćby dobrze realizowaną dyscyplinę słowa. Wiersze są wyraziste, nie rozwlekłe, nie przeciążone żadną ornamentacją, porównaniami ani metaforą, co służy odbiorowi. Taka oszczędność wyrazu sprawia, że przy całym, wyżej zarysowanym skomplikowaniu, jest jednak zachowana klarowność wypowiedzi, którą cechuje zarazem niedopowiedzenie. Warto się tej zasady trzymać.

Czesław Sobkowiak

Dziesiąta muza w regionie lubuskim i dolnośląskim

Radosław Domke, Jacek Szymala, *Dolny Śląsk i Ziemia Lubuska w filmach polskich po 1945 roku*, Księgarnia Akademicka, Zielona Góra – Wrocław – Kraków 2020, 264 s.

Najnowsza, wspólnie napisana książka naukowa Radosława Domkego i Jacka Szymali zatytułowana *Dolny Śląsk i Ziemia Lubuska w filmach polskich po 1945 roku*, wydana w ramach serii wydawniczej „Historia w Mediach”, to istne kompendium z dziedziny współczesnej kinematografii tych regionów. Nie było wcześniej na tych i o tych terenach pozycji, która dokonałaby tak głębokiej eksploracji historycznej filmów nakręconych o zachodnich „Ziemiach Odzyskanych”, czy też przedstawiła narodziny filmoteki lubuskiej, czyli obrazów ruchomych powstałych na Środkowym Nadodrzu i stworzonych przez miejscowych reżyserów.

Już w 1957 roku, czyli krótko po przełomie październikowym, w Zielonej Górze powstał Amatorski Klub Filmowy „Kamera” przy Okręgowym Zarządzie Kin, złożony ze studentów łódzkiej szkoły filmowej, którzy na taśmie 35 mm nakręcili pierwszy dokument *I znów minął rok*. Rok później klub przeszedł pod skrzydła Lubuskiego Towarzystwa Kultury i przemianowany został na Lubuski Klub Filmowy im. Érica Rohmera. Klub realizował produkcje dokumentalne na potrzeby dziennika telewizyjnego i central filmowych w kraju, ukazując przyrodę lubuską i jej walory turystyczne, jak też pracę robotników największych kombinatów produkcyjnych. Pierwszy był

więc film propagandowy z 1958 roku pt. *Była i jest nasza* o piastowskich korzeniach Ziemi Lubuskiej.

Jako ciekawostkę należy przytoczyć, że najstarszy festiwal filmowy w naszym kraju powstał właśnie w Lubuskim, w Łagowie koło Świebodzina, leżącym w ówczesnym województwie zielonogórskim. Zainaugurował on swoją działalność już w 1969 roku jako Lubuskie Lato Filmowe, a jego organizatorami było Stowarzyszenie Filmowców Polskich oraz LTK. Nagroda główna festiwalu to Złote Grono, a pierwszym jej zdobywcą był Kazimierz Kutz. W latach późniejszych laureatami jej byli m.in. Andrzej Wajda, Sylwester Chęciński, Janusz Morgenstern, Krzysztof Zanussi, Feliks Falk czy Krzysztof Kieślowski. Lubuskie Lato Filmowe organizowane jest w Łagowie do dziś, a projekcje odbywają się w amfiteatrze lub w salach kinowych i zamkowych, którym zwykle towarzyszą dyskusje publiczności z twórcami, aktorami i krytykami filmowymi.

Autorzy regionalnej monografii filmowej to badacze historii z Uniwersytetu Zielonogórskiego i Uniwersytetu Wrocławskiego, którzy w ciągu dwóch lat pracy przebadali blisko aż 500 filmów związanych z Ziemią Lubuską i Dolnym Śląskiem, bądź nawiązujących do tematyki tych ziem poniemieckich, które w filmotece polskiej zajmowały istotne miejsce, zwy-



kle jako obrazy-świadectwa powojennego osadnictwa oraz dokumenty początków życia przesiedleńców i repatriantów w nowej dla nich rzeczywistości.

Pracę badawczą Domkego i Szymali rozpoczyna wstęp, w którym autorzy przedstawili ogólną charakterystykę książki i podjętego w niej tematu, przedstawili jej metodologię i kompozycję, zaprezentowali kryteria chronologiczne i geograficzne przedstawionych w publikacji obrazów filmowych, ukazali dotychczasowy stan badań w tej materii, a także określili cel własnych analiz i poszukiwań oraz zawarli zarys historii kultury filmowej, jaki utrzymał się po drugiej wojnie światowej. Tutaj badacze napisali: „Monografia stanowi zbiór impresji, jest zestawem rozważań o filmach dokumentalnych i fabularnych, ułożonych na ogół chronologicznie i tematycznie. Efekt naszej pracy to raczej propozycja niż podręcznik, przyczynek, a nie hermetyczne studium. [...] Film definiujemy szeroko jako widzialność obcowania człowieka z kamerą; nie było dla nas istotne rozróżnienie na produkcje kinowe i telewizyjne, za sprawę

drugorzędną uznajemy także gatunek, o ile w ogóle współcześnie można mówić o kinie gatunków”.

Dotychczasowy zakres i poziom badań nad tematyką filmoznawczą wskazanych regionów zachodniej Polski nie jest obfity, stanowią go głównie branżowe czasopisma małego i dużego ekranu, prasa regionalna, przewodniki i periodyki turystyczne lub muzealne, niepublikowane prace dyplomowe studentów wrocławskiej uczelni oraz źródła internetowe, zwłaszcza znakomicie skatalogowana baza filmoteki polskiej na portalu filmu polskiego – serwisu stworzonego przez Szkołę Filmową w Łodzi. Odrębne, acz istotne źródło wiedzy stanowią zasoby Polskiej Kroniki Filmowej, zarówno w warstwie wizualnej, jak i lektorskiej (narracyjnej). Nadzrędnym celem powstania monografii było uporządkowanie narracji filmowych związanych z pasem południowo-zachodnim kraju, drugą zaś intencją było stworzenie przewodnika historycznego po filmach i zarazem regionalnej mapy filmowej z zaznaczeniem miejscowości lubuskich i dolnośląskich, w których kręcono produkcje filmowe lub choćby tylko poszczególne ujęcia.

Zasadniczy trzon monografii stanowią części pierwsza i druga – podejmujące i szeroko opisujące regiony lubuski i dolnośląski w filmach dokumentalnych i fabularnych. Obrazowi dokumentaljnemu poświęcona jest część pierwsza, w której poddano analizie ponad 150 filmów krótkometrażowych, ponad 50 nagrań Polskiej Kroniki Filmowej oraz kilkadziesiąt programów telewizyjnych, głównie materiałów edukacyjnych, oświatowych, przyrodniczych etc. W części drugiej zajęto się studiami nad filmem pełnometrażowym, tutaj prześledzono ponad sto produkcji kinowych i telewizyjnych, zrealizowanych zarówno na Dolnym Śląsku, jak i Ziemi Lubuskiej lub też im poświęconych tematycznie, lecz których produkcja odbywała się już poza wymienionymi obszarami terytorialnymi.

Poszczególne rozdziały tej części odnoszą się do nadodrzańskiego przemysłu ciężkiego, omawiają kolejnictwo na Ziemiach Zachodnich, np. produkcję wagonów (Pafawag we Wrocławiu i Zastal w Zielonej Górze) oraz potrzebę budowy połączeń kolejowych i mostowych nad Odrą i Nysą Łużycką, a z czasem

ich elektryfikację. Oddzielne passusy autorzy poświęcili ukazaniu Dolnego Śląska w filmach przyrodniczych Włodzimierza Puchalskiego czy dokumentalnych i historycznych Włodzimierza Kałkowskiego i Roberta Standy. Podobny temat regionu dolnośląskiego wykorzystano w filmach o tematyce krajoznawczej, zwłaszcza górskiej, dotyczącej Sudetów i Karkonoszy oraz jaskini niedźwiedziej w Kletnie koło Kłodzka. Osobne tematy przeznaczali autorzy filmowej monografii wynalazkom i dziedzictwu kulturowemu, np. pracy nad pierwszym polskim komputerem Odra we wrocławskiej fabryce Elwro, wrocławskim Muzeum Poczty i Telekomunikacji, kulturze muzycznej i działalności ośrodków sanatoryjnych w Dusznikach Zdroju oraz reportażom historycznym *Śladami Piastów Śląskich* i *Panoramie Racławickiej*, a także materiałom filmowym o wydobywaniu miedzi w regionie legnicko-głogowskim czy też torfowym preparacie leczniczym – wynalazku wrocławskiego uczonego Stanisława Tołpy.

W XXI wieku powstało też kilka dokumentów krajoznawczych i dokumentarno-historycznych nawiązujących do Ziemi Lubuskiej, jak film o Parku Mużakowskim w Łęknicy czy o wydarzeniach zielonogórskich 1960 roku związanych z obroną Domu Katolickiego, a także impresji filmowych ukazujących krajobrazy polskich Łużyc i Doliny Bobru.

Część drugą publikacji, prezentującą filmy fabularne zrealizowane na środkowo-południowym Nadodrzu, otwiera dramat wojenny *Godziny nadziei* z 1955 roku Jana Rybkowskiego nakręcony na zamku łagowskim oraz obraz psychologiczny z 1960 roku *Nikt nie woła* w reżyserii Kazimierza Kutza, zrealizowany w Bystrzycy Kłodzkiej, który przedstawia młodych migrantów trafiających na Ziemię Odzyskaną. Pierwsze lata powojennego osadnictwa na „piastowskim Dzikim Zachodzie” świetnie obrazuje western z 1964 roku. *Prawo i pięść* Jerzego Hofmanna i Edwarda Skórzewskiego, z urokliwą balladą Krzysztofa Komedy, i choć film opowiada o losie napływowej ludności walczącej z szabrownictwem w pomieckim miasteczku na zachodzie Polski, ujęcia do niego były kręcone w... Toruniu.

W dalszych rozdziałach książki autorzy dużo miejsca poświęcili omówieniu słynnych produkcji

filmowych i ekranowych lat 60., powstałych na Środkowym Nadodrzu, np. *Gdzie jest generał?* nakręcony na zamku Czocha, *Skąpani w ogniu* – we Wleniu, *Pierwszy dzień wolności* – w Kłodzku i Bystrzycy, *Pętla* we Wrocławiu, zachodniemiecki obraz *Bumerang*, także kręcony we Wrocławiu, identycznie jak film kryminalny *Morderca zostawia ślad*, w którym widzowie ostatni raz ujrzeli Zbigniewa Cybulskiego.

Oddzielną analizę stanowi komediowa trylogia Sylwestra Chęcińskiego, który wszystkie części swojej realizacji poświęcił tematyce osiedleńczej i perypetiom aklimatyzacji kresowych przesiedleńców na Ziemiach Zachodnich. Również kilka odcinków przygodowego serialu dla młodzieży *Cztery pancerni i pies* kręconych było na poligonie w Żaganii oraz we Wrocławiu, Trzebnicy i Kłodzku. Z innych znanych produkcji ekranowych, których problematyka dotyczy osadnictwa na terenach pomieckich, wymienić można serial *Dom* czy też filmy pełnometrażowe, np.: *Ewa chce spać*, *Baza ludzi umarłych*, *Raj na ziemi*, *Szklana góra*, *Zobaczymy się w niedzielę* oraz *Popiół i diament*. Natomiast znane produkcje telewizyjne, opowiadające o czasach powojennych na ziemiach przywróconych do „Macierzy”, acz niezrealizowane na Środkowym Nadodrzu, to np. *Rzeczpospolita babska*, *Jarzębina czerwona*, *Do widzenia, do jutra*, *Niewinni czarodzieje*, *Brylanty pani Zuzy*, *Znaki szczególnie* i *Człowiek z marmuru*.

Również w kolejnych rozdziałach poddano szerokiej analizie filmy powstałe w latach 70. i 80. ubiegłego wieku; tutaj autorzy monografii wyliczają liczne obrazy kinowe i telewizyjne, ekranizacje powieści, adaptacje i seriale, które fabułą łączyły się z terenami południowo-zachodniej Polski, opisując życie przybyłych tu osadników, jak młodzieżowy serial *Gruby* czy film dla dzieci *Buteczka*, romans *Anatomia miłości*, obraz psychologiczny *Zaraza*, sensacyjny *Złote Koło* oraz w wielu innych produkcjach, jak: *Uciec jak najbliżej*, *Mniejsze niebo*, *Długa noc poślubna*, *Grzech Antoniego Grudy*, *Niespotkanie spokojny człowiek*, *Maratończyk*, *Nowy Jork, czwarta rano*, *Pociąg do Hollywood*, *Kocham kino*, *Tajemnicza twierdzy szyfrów*, *Wielki Szu*, *Droga na Zachód* i *Konsul*, do których ujęcia kręcono przeważnie we Wrocławiu, Lubomierzu, Trzebnicy i Kotlinie

Kłodzkiej, a także obyczajowy film *Nie będę cię kochać* w reżyserii Józefa Niefertera, zrealizowany na zamku w Łagowie i plenerze w Gronowie. Natomiast spośród wielu obrazów scenicznych, w których akcja toczy się na Ziemiach Zachodnich, a jednak nie były one kręcone w miejscach, których dotyczy fabuła, należy wymienić np. *Siekierzadę*, *Nikt nie woła* i *Penelopy*.

Po upadku PRL tematyka Ziem Zachodnich, zwłaszcza ich przemian społeczno-gospodarczych po 1989 roku, była nadal inspirująca dla twórców filmowych. To w miastach Środkowego Nadodrza, m.in. w Krośnie Odrzańskim i Żaganiu, kręcono ujęcia do obrazu *Yuma*, czy do filmu o podobnej problematyce, podejmującego wątek zachodniego pogranicza w kontekście kontrabandy uprawianej przez młode pokolenie pt. *Młode wilki*. Z innych filmów nawiązujących tematycznie do Ziem Odzyskanych można wymienić: *Komornik*, *Bez wstydu*, *Róża*, *80 milionów*, *Sala samobójców*, *Pokot*, *Sztuka kochania*, *Amok*, *Ciemno, prawie noc*, *Fotograf*, *Zimna wojna* i druga część serialu telewizyjnego *Boża podszewka*.

Także zagraniczne koncerty i wytwórnie filmowe wykorzystywały scenerię dolnośląską, a głównie plenery wrocławskie do stworzenia swoich słynnych produkcji kinowych, jak *Opowieści z Narnii*. *Lew, czarownica i stara szafa*, *W cieniu*, *Ja*, *Olga Hepnarova* oraz *Julia wraca do domu* w reżyserii Agnieszki Holland czy *Most szpiegów* z kreacją Toma Hanksa. Warto też nadmienić, że popularne seriale telewizyjne *Świat według Kiepskich* i *Pierwsza miłość*

powstawały i nadal są kręcone w studiu wrocławskim, a za scenografię przestrzenną służą bulwary i obiekty architektoniczne stolicy Dolnego Śląska.

Dla kinomanów i filmoznawców przydatne mogą okazać się zestawienia tabelaryczne filmów, reportaży i dokumentów ekranowych realizowanych na potrzeby Polskiej Kroniki Filmowej czy nagrań widowisk telewizyjnych produkowanych przez telewizję publiczną i komercyjną, w których autorzy podają rok emisji, temat lub tytuł filmu bądź etudy, fragmenty komentarzy do kronik lub narracji, opisy fabuły i repertuaru. Książkę zamyka obszerna bibliografia oraz trzy niezwykle przydatne indeksy: nazwisk twórców filmowych – wykonawców i reżyserów, geograficzny z miejscami, w których realizowano poszczególne obrazy, oraz indeks filmowy zawierający alfabetyczny spis tytułów omówionych filmów fabularnych, krótkometrażowych i serialowych.

Szkic monograficzny Radosława Domkego i Jacka Szymali *Dolny Śląsk i Ziemia Lubuska w filmach polskich po 1945 roku*, opracowany w iście benedyktyńskim stylu, to z pewnością praca bardzo interesująca zarówno dla historyków sztuki wizualnej, jak i fanów kina i filmu, także tego tworzonego w wymiarze regionalnym. Rzecz godna polecenia również każdemu, kto zajmuje się historią kinematografii i współczesną filmografią, czyli tworzeniem kadrów zarówno w profesjonalnym, jak i amatorskim wykonaniu, utrwalonych na taśmie celuloidowej w powojennym 75-leciu.

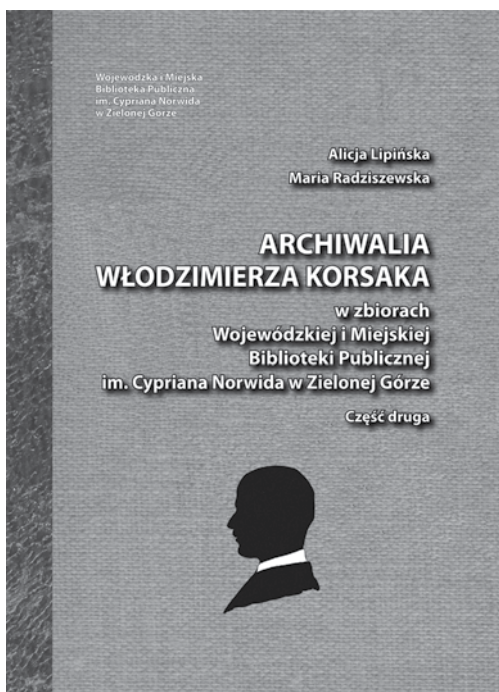
Robert Rudiak

W rocznicę urodzin Korsaka

Alicja Lipińska, Maria Radziszewska, *Archiwalia Włodzimierza Korsaka w zbiorach Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze. Część druga*, Pro Libris i Klub Kolekcjonera i Kultury Łowieckiej Polskiego Związku Łowieckiego Oddział Gorzowski, Zielona Góra 2019–2021, 174 s.

Minęło ponad osiemnaście lat od wydania pierwszej części publikacji *Archiwalia Włodzimierza Korsaka w zbiorach Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida w Zielonej Gó-*

rze przygotowanej przez dr. Janusza Rečko, nim autorki – Alicja Lipińska i Maria Radziszewska podjęły się kontynuacji żmudnych badań i kompletnego opracowania źródeł będących dalszym ciągiem do-



kumentacji Włodzimierza Korsaka zgromadzonych w Bibliotece Norwida. Praca auterek i jej ostateczny efekt były na tyle wartościowe, iż Rada Wydawnicza Biblioteki podjęła decyzję, aby materiał ten wydać jako kolejny tom „Zielonogórskich Studiów Bibliotekoznawczych” (zeszyt 11-12).

Warto przypomnieć, że Włodzimierz Korsak to postać znacząca dla przed- i powojennej Polski. Już za życia postrzegany był jako człowiek-legenda – przyrodnik, podróżnik, pisarz, myśliwy, Naczelny Łowczy Rzeczypospolitej Polskiej, członek Związku Literatów Polskich, członek założyciel Gorzowskiego Towarzystwa Fotograficznego. Wywodził się z Anińska (powiat Siebiez, gubernia witebska), z rodziny patriotyczno-ziemiańskiej. Na jego pisarskie konto złożyły się poważne osiągnięcia literackie, publicystyczne i popularyzatorskie. Pisał książki o przyrodzie, stając się niekwestionowanym autorytetem

w kwestiach łowieckich i przyrodoznawstwa, będąc rzecznikiem zrównoważonej gospodarki zasobami leśnymi. Przypadająca w ubiegłym roku 135. rocznica urodzin pisarza, także kolejna fala zainteresowania spuścizną Korsaka sprawiły, że wydawcy – Pro Libris Wydawnictwo WiMBP im. Norwida w Zielonej Górze oraz Klub Kolekcjonera i Kultury Łowieckiej Polskiego Związku Łowieckiego Oddział Gorzowski podjęły trud wydania dzieła. Podstawową zawartością jest szczegółowy wykaz niepublikowanej dotąd korespondencji oraz zbiorów dokumentów archiwalnych pozyskanych po śmierci Włodzimierza Korsaka. Książka zawiera cenny materiał archiwalny, w którym dominuje prywatna korespondencja członków rodziny, przyjaciół, znajomych i znanych osobistości do Włodzimierza Korsaka. Starannie opracowana korespondencja pozwala śledzić losy ich nadawców i adresata na przestrzeni ponad 50 lat (1922-1973). Książka zawiera również bibliografię, indeks osobowy oraz indeks instytucji, a także cenny materiał ilustracyjny w postaci fotografii i rysunków własnoręcznie wykonanych przez Korsaka. Wśród bogatej ikonografii autorki natknęły się na ciekawostkę, którą wyeksponowano w książce. To tzw. *silhouettes*, czyli malowane czarnym tuszem sylwetki twarzy z profilu, m.in. uczestników polowań, członków rodziny i przyjaciół pisarza. Co ciekawe, ten rodzaj sztuki tworzenia portretów sylwetkowych oprócz walorów artystycznych posiada niezaprzeczalny ładunek emocjonalny. Wśród ikonografii pojawiają się także fotografie o niepospolitej sile wyrazu, autorstwa Korsaka. Książka została wydana w twardej oprawie, nadzwyczaj starannie, do czego niewątpliwie przyczyniło się wsparcie finansowe środowiska leśników, wielu instytucji i osób prywatnych. Warto również docenić zamieszczenie na końcowej wyklejce książki rzetelnie opracowanego przez autorki drzewa genealogicznego Włodzimierza Korsaka.

Ewa Mielczarek

Dobry niedosyt

Leigh Bardugo, *Trylogia Grisza. Cień i kość*, Wydawnictwo Mag, Warszawa 2019, 288 s.

Cień i kość to jedna z pierwszych powieści amerykańskiej pisarki Leigh Bardugo, 46-letniej autorki książek dla młodzieży. Jej utwór został opublikowany w 2012 roku przez wydawnictwo Macmillan, a następnie nominowany do nagród Romantic Times Book Award i South Carolina Children's Book Award. Ponadto powieść znalazła się na ósmym miejscu listy bestsellerów „New York Timesa”.

Cień i kość jest pierwszym tomem trylogii Grisza, która zasadniczo należy do nurtu młodzieżowego fantasy. Tematyka dzieł *young adult* zwykle koreluje z wiekiem i doświadczeniem głównego bohatera. Seria koncentruje się na siedemnastolatce żyjącej w kraju mocno inspirowanym carską Rosją, np. dużo odwołań znajdujemy w ubiorze, obyciu oraz formach grzecznościowych jak „mój Carze”. Dla fabuły ważne jest istnienie pewnej formy magii. Historia zaczyna się w miejscu, gdzie główna bohaterka wraz z resztą pułku wyrusza w niebezpieczną podróż. W jej trakcie nastolatka odkrywa w sobie uśpione pokłady mocy, której używa, by uchronić siebie i resztę osób. Fabuła skupia się na szkoleniu dziewczyny, która ze względu na swoją wyjątkowość trenuje pod okiem najpotężniejszego spośród wszystkich grisz – Zmrocza. Jego intencje i plany jednak nie są tak czyste, jak pragnie tego zagubiona dziewczyna. Kolejne części trylogii skupiają się na wojnie domowej, sporze wywołanym przez decyzje głównej bohaterki, ambicje oraz plany Zmrocza.

Historia, jak każde dzieło *young adult*, posiada wady i zalety, uważam jednak, że jest warta poświęcenia kilku wieczorów. Wart wyróżnienia jest wykreowany w powieści świat oraz przedstawione postacie. Każda z nich jest wielowymiarowa, choć nieidealna, jak często zdarza się w tego typu historiach. Postaci mają swoje lęki, obawy, cele i pragnienia, czasami przedstawieni bohaterowi są przy tym irytujący i nadgorliwi. Seria zwraca uwagę czytelnika, by unikać toksycznych relacji, wierzyć w samego siebie i walczyć o swoje ideały, zamiast pozwalać się tłamsić. Autorka na kartach tej powieści umieściła postacie, z którymi wielu z nas może się utożsamiać bądź dostrzec

w nich podobieństwo do osób z naszego otoczenia. Dostrzegam także niedociągnięcia powieści, jak np. zbyt szybko prowadzona akcja, która nie pozwoli na pełne zanurzenie się w świat przedstawiony. Odbiorca przeskakuje z jednej sytuacji w następną, co po dłuższym czasie robi się męczące, a naprawdę interesujące wątki nie zostały w pełni rozwinięte. Kolejną kwestią świadczącą – według mnie – o zmarnowanym potencjale historii, jest ignorowanie niejednoznacznych moralnie postaci, które przedstawione są wyjątkowo jednowymiarowo przez przyjętą narrację pierwszoosobową.

Cień i kość daje dużo dobrej zabawy odbiorcy, szczególnie dzięki inspiracji kulturą Wschodu. Jest to lektura lekka i przyjemna, dobra do polecenia dla osób, które dopiero wkraczają w świat fantastyki. Seria pozostawia po sobie co prawda wrażenie zmarnowanego potencjału, a co za tym idzie niedosyt. Mimo wszystko dla osoby, która dopiero zaczyna swoją przygodę z fantastyką, lektura może być przyjemnie spędzonym czasem.

Rozalia Boguszewska



K KSIĄŻKI NADESŁANE

Marta Blonkowska, *Boska Górka*. Seria: *poWAŻNEsprawy*, MajUS, Zielona Góra 2021, 32 s.

Anna Błaszczuk, Aleksander Buchowiecki, Sara Gawęł, Roksana Gotfryd, Kamila Grygorczuk, Klara Kiraga, Weronika Kopania, Bartosz Kuc, Małgorzata Kuna, Eryk Malinowski, Natalia Matuszczak, Joanna Nawlicka, Justyna Sieradzka, Daria Żytyńska, *Piętnaście czarnych sukienek*, Wydawnictwo Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2021, 213 s.

Magda Chruścińska, *Komnata głodu i chłodu*, Manufaktura Słów, Gdynia 2021, 286 s.

Kazimierz Ciepeliowski, *Złoto z morza*, Wydawnictwo Poligraf, Brzezia Łąka 2021, 180 s.

Helena Dobaczewska-Skonieczka, *Druhna Włodka Włodzimiera*, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 2022, 60 s.

Helena Dobaczewska-Skonieczka, *Migotanie słowa*, Kujawsko-Pomorskie Centrum Kultury w Bydgoszczy, Bydgoszcz 2021, 94 s.

Helena Dobaczewska-Skonieczka, *Przedranne sny. Decennium słowa*, sumptem autorki, Bydgoszcz 2016, 140 s.

Maria Jolanta Fraszewska, *Płonące języczki*, Organon, Zielona Góra 2021, 97 s.

Natalia Haczek, *Głód*, Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry Winnica, Zielona Góra 2021, 60 s.

Marcin Łokciewicz, *Zamek rządzi*, Stowarzyszenie Forum Art, Zielona Góra 2021, 116 s.

Marcin Mielcarek, *Parada myśli nocnych*, Gminna Biblioteka Publiczna w Cekowie-Kolonii – Miesięcznik Społeczno-Kulturalny KREATYWNI, Ceków 2021, 126 s.

Przemysław Piotrowski, *Krew z krwi*, Czarna Owca, Warszawa 2021, 400 s.

Przemysław Piotrowski, *Matnia*, Czarna Owca, Warszawa 2021, 416 s.

Przemysław Piotrowski, *Zaraza*, Czarna Owca, Warszawa 2021, 432 s.

Marcin Radwański, *W objęciach pisarza*, e-bookowo, Będzin 2021, 134 s.

Alfred Siatecki, *Szwindel w Grünbergu*, Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry Winnica, Zielona Góra 2021, 280 s.

Artur Sobczak, *Zbiór opowiadań: Serce Tajgi*, sumptem autora, Jasień 2021, 419 s.

Mariusz Sobkowiak, *Opowieści z czasów zarazy*, Stowarzyszenie na Rzecz Innowacji Społecznych NOVUM, Gorzów Wielkopolski 2021, 212 s.

Rafał Szymczak, *Przygody Żórawiny z małym bykiem*, Wydawca: Morpho, Sieniawa Żarska 2021, 32 s.

Dawid Włodarczyk, *Backstage, Marzenia o talent-show*, WasPos, Warszawa 2021, 250 s.

AUTORZY NUMERU



Janusz Barwik

Urodził się w 1988 roku. Prozaik, z wykształcenia portugalista, interesuje się literaturą piękną, antropologią kulturową i ochroną środowiska.

Urszula M. Benka

Urodziła się w 1953 roku we Wrocławiu. Pisarka, poetka, recenzentka, redaktorka, nauczyciel akademicki, doktor nauk humanistycznych. Stypendystka rządu francuskiego, Europejskiej Organizacji Niezależnych Intelktualistów w Paryżu, dwukrotna stypendystka Ministerstwa Kultury w Polsce oraz Rządu Saksonii. Debiutowała wierszami w czasopiśmie „Sigma”, następnie wiersze, opowiadania, recenzje i artykuły drukowała m.in. na łamach „Literatury”, „Nowego Wyrazu”, „Odry”, „Konfrontacji” i „Kontaktów”. Laureatka wielu konkursów i turniejów poetyckich. Współpracowała z polskimi czasopismami emigracyjnymi (np. „Zeszyty Literackie”). Będąc w USA, podjęła współpracę z nowojorskim „Kurierem” i „Nowym Dziennikiem”. Została członkiem amerykańskiego PEN Clubu. W 1979 wstąpiła do ZLP. W 1991-1992 publikowała w „Akcencie” cykl felietonów pt. *Listy z Nowego Jorku*. W 1991 powróciła do Polski, zamieszkała początkowo w Katowicach, gdzie m.in. w 1992-1994 uczestniczyła w działaniach artystycznych autorskiego teatru męża, Andrzeja Urbanowicza, Oneiron 2. W 1991 została członkiem SPP. Od 1994 roku mieszka we Wrocławiu. Twórczość Benki była tłumaczona na wiele języków, m.in. na angielski, czeski, fiński, francuski, niemiecki, szwedzki, rosyjski.

Rozalia Boguszewska

Urodziła się w 2001 roku w Świebodzinie. Studentka pierwszego roku kierunku literatura popularna i kreacje światów gier na Uniwersytecie Zielonogórskim. Interesuje się literaturą, kulturą japońską i kulturą popularną.

Jakub Domoradzki

Poeta, prozaik, z wykształcenia filozof (UJ). Debiutował w 2. Antologii Stajni Literackiej SPP w Warszawie *Co jest pisane* (2016), a samodzielnie tomikiem *Wiersze, których nie lubi mój tata* (Mamiko, 2016), nominowanym do Nagrody Poetyckiej im. K.I. Gałczyńskiego Orfeusz w kategorii najlepszy tomik roku. Ponadto autor *Nie przysypuj gruszkami popiołu* (2017) oraz *Poety poślubnego* (Liberum Verbum, 2018). Współpracuje z Radiem (Redakcja Publicystyki i Redakcja Wiedzy i Edukacji), publikuje także w „Gazecie Bieszczadzkiej”, Kwartalniku Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych „PUL” (poezja) oraz „Sądeczanie” (artykuły historyczne). Mieszka w Warszawie.

Jerzy Duda Gracz (1941-2004)

Malarz, rysownik, scenograf, profesor, pedagog. Ukończył krakowską ASP na Wydziale Grafiki w Katowicach w 1968. W latach 1976-1982 był wykładowcą tej uczelni, następnie profesorem Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, także w Europejskiej Akademii Sztuk w Warszawie (1992-2001). Uprawiał sztukę w konwencji realistycznej z dominującą deformacją postaci i groteską; tworzył świat o demaskatorskim charakterze, posługując się językiem publicystyki i alegorii. Jest autorem kilku większych realizacji (m.in. plafonu w kościele w Toporowie oraz cyklu „Golgota Jasnogórska” w klasztorze OO Paulinów w Częstochowie). Miał ponad 180 wystaw indywidualnych w kraju i za granicą (m.in. w Berlinie, Londynie, Paryżu, Moskwie, Rzymie, Wiedniu, Florencji, Düsseldorfie, Chicago, New Delhi, Monachium, Nowym Jorku). Uczestniczył w około 300 wystawach ogólnopolskich i międzynarodowych prezentacjach sztuki polskiej. Reprezentował Polskę m.in. na 41. Biennale Sztuki w Wenecji w 1984, na 20. i 21. Światowych Targach Sztuki w Kolonii w 1986 i 1987 oraz na EXPO'92 w Sewilli. Jego obrazy znajdują się w najważniejszych polskich kolekcjach (Muzeum Narodowego w Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Wrocławiu i Gdańsku, w Muzeum UJ w Collegium Maius w Krakowie, Muzeum Ziemi PAN w Warszawie, w zbiorach sztuki na Jasnej Górze w Częstochowie i in.) oraz w kolekcjach prywatnych za granicą – w zbiorach Uffizi we Florencji, w Muzeum im. Puszkina w Moskwie, Muzeum Miejskim w Gandawie, w Fundacji „BAWAG” w Wiedniu i Kolekcji Watykańskiej oraz w galeriach i kolekcjach wielu krajów świata.

Elżbieta Dybalska

Z wykształcenia budowlaniec, z wyboru i zamiłowania poetka. Członkini Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów w Zielonej Górze, autorka trzech tomików poetyckich (*Ślady miłości*, *Bruzdy*, *Białe*). Publikuje w antologiach i prasie lokalnej. Aktywnie angażuje się w życie kulturalne Zielonej Góry.

Władysław Edelman

Autor opowiadań, tekstów satyrycznych, fraszek i limeryków nagradzanych w ogólnopolskich konkursach, m.in. w Bogatyni (Turniej Łgarzy), Przemyślu (Turniej Satyry „O Żółtą Szpilę”), Myślenicach (Konkurs Literacki „Fraszka Igraszka”), Zielonej Górze (Konkurs Literacki im. Anny German), Małopolskiej Nagrodzie Poetyckiej „Źródło” i innych. Publikuje także w internetowym wydawnictwie MPK – „Moja Przestrzeń Kultury”. Wraz z Haliną Bohutą-Stąpel i Aleksandrą Matusiak-Kujawską współtworzy Literacki Kabaret HALLO. Wielbiciel jazzu, Monty Pythona i Haruki Murakamiego. Mieszka w Zielonej Górze.

Maria Jolanta Fraszewska

Urodziła się w 1958 roku w Słupsku. Poetka, edukatorka psychologiczna, nauczycielka, publicystka, działaczka społeczna. Absolwentka socjologii (Uniwersytet Zielonogórski), studiów podyplomowych poradnictwo i pomoc psychologiczna oraz psychologia dziecka (Uniwersytet SWPS – Poznań), a także pedagogika i coaching. Debiutowała poetycko w „Gazecie Nowej” i „Gazecie Pomorskiej” (1990). Publikowała w „Tygodniku Literackim”, „bruLionie”, „Przedprozach” i w „Radiowej Książce Poetyckiej”, „Na Winnicy”, „Pro Libris”, w jednodniówce wydanej przez *TF:Totart po 30 latach*, Gdańsk 2016 oraz Wrocław Europejska Stolica Kultury UNESCO 2016. W latach 2013-2019 uczestniczyła w programie inijny Emultiopoetry – MURKI – Kraków Europejska Stolica Kultury UNESCO 2019. Współpracowała z gdańską grupą poetycką *TOTART* – „Tygodnik Literacki (Śmigło)”. Autorka jedenastu publikacji. Kilka tomików poetyckich było emitowanych na antenie Polskiego Radia w Radiu Zachód. W latach 1995-1998 współpracowała z Warszawską Komputerową Agencją Prasową Microway oraz z lokalnymi czasopismami: „Kurier Zielonogórski”, „By Zdrowym Być” oraz z „Tygodnikiem Koszalińsko-Słupskim”. Najnowszy tomik *Płonące języczki*, zawierający wyświetlane „murki” – miniaturki poetyckie, wybrane przez Michała Zabłockiego ukazał się w 2021 roku. Od wielu lat mieszka i tworzy w Zielonej Górze. Obecnie wolontariacko pracuje w Lubuskim Stowarzyszeniu Działającym na Rzecz Kobiet BABA.

Agnieszka Ginko

Urodziła się w 1973 roku. Poetka i pisarka, laureatka ogólnopolskich konkursów poetyckich. Autorka 5. wyróżnionych i nagrodzonych książek dla dzieci (poezja i proza), za które otrzymała m.in. wyróżnienie Książka Przyjazna Dziecku 2011, nominację do nagrody Książka Roku 2013 IBBY, ogólnopolską Nagrodę Guliwer w Krainie Olbrzymów 2015 i wyróżnienie FENIKS 2016 na Targach Książki w Warszawie. Trzykrotnie nominowana do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego m.in. za debiutancki tomik *Kruche* (2017) i dwukrotnie do Nagrody A. Waśkiewicza ZLP, którą otrzymała za tomik *Modlitwa spod znaku Ryb* (2020). Swoje wiersze publikowała w czasopiśmie literackich w Polsce, Wielkiej Brytanii i Serbii. Jest Koordynatorem Biblioteki Obcojęzycznej w WiMBP w Zielonej Górze.

Ryszard Jasiński

Rzeźbiarz, pisarz. Autor nagrodzonej w Konkursie Literackim Uniwersytetu Gdańskiego (2003) powieści pt. *niewidzialna władza*, w której kontynuuje poszukiwania nowych form wypowiedzi artystycznej, nowych form ekspresji literackiej. Jest także autorem nowatorskiej powieści *wrota gomory*.

Joanna Kapica-Curzytek

Anglistka i pedagożka, doktor nauk humanistycznych, adiunkt na Uniwersytecie Zielonogórskim. Autorka recenzji książek („Twój Styl”, „Twoja Muza”, „Forum Akademickie”), recenzji teatralnych i wywiadów (www.e-teatr.pl). W latach 2000-2007 współpracowała z Akademickim Radiem Index. Wyróżniona nagrodą specjalną Studia Reportażu i Dokumentu Polskiego Radia na konkursie „Polska i świat 2000” za reportaż radiowy (współautorstwo). Od 2010 roku stała recenzentką (wolontariuszka) e-magazynu kultury „Esensja” (www.esensja.pl). Popularyzatorka nauki języków obcych i czytelnictwa; prowadzi spotkania autorskie. Interesuje się muzyką klasyczną oraz naukowym ujęciem problemów współczesnego świata. Kilka lat uczyła się śpiewu. Od 2017 roku należy do charytatywnego Klubu Kiwanis Adsum w Zielonej Górze.

Paweł Karp

Doktor nauk humanistycznych w zakresie historii. Wśród jego zainteresowań naukowych znajdują się: sztuka wojenna od średniowiecza do czasów nowożytnych, epigrafika, historia polityczna XX-XXI wieku. Rozprawę doktorską pt. *Husyci w świetle polityki Polski wobec zakonu krzyżackiego* obronił w 2001 roku. Autor monografii *Polsko-husycka wyprawa zbrojna przeciw zakonowi krzyżackiemu w roku 1433* (Zielona Góra 2017) oraz artykułów poświęconych głównie wojnom husyckim i zabytkom epigraficznym województwa lubuskiego, publikowanych m.in. w „Studiach Zachodnich” i „Studiach Epigraficznych”. Członek zespołu badawczego realizującego w latach 2003-2018 na Uniwersytecie Zielonogórskim projekty Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego „Inskrypcje na terenach Polski Zachodniej” (od roku 2013 w ramach Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki), którego celem była ochrona historycznego i kulturowego dziedzictwa Ziemi Lubuskiej. Współautor zeszytów *X tomu serii Corpus Inscriptionum Poloniae: Powiat wschowski* (Toruń 2007), *Powiat zielonogórski* (Toruń 2012), *Powiat żarski* (Toruń 2018). Pracownik Działu Informacji Regionalnej i Bibliograficznej Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, jako redaktor Zielonogórskiej Biblioteki Cyfrowej.

Piotr Kominek

Urodził się w 1985 roku w Starachowicach. Absolwent prawa na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie i studiów doktoranckich na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach w Instytucie Historii. Publikuje w czasopiśmie literackim „Radostowa”. Wydał trzy tomiki wierszy (*Itaka, O naszym szczęściu, Poemat o deszczowej nocy*).

Jacek Gernat

Urodził się w 1987 roku. Historyk sztuki, absolwent Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Na przełomie lat 2013/2014 oraz od września 2017 roku pracownik Działu Sztuki Współczesnej Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze. W ramach swojej pracy muzealnej był m.in. kuratorem oraz współkuratorem wystaw poświęconych współczesnym twórcom lubuskim bądź prezentujących dzieła z kolekcji Działu Sztuki Współczesnej MZL, zajmując się także merytorycznym opracowywaniem zbiorów oraz edukacją muzealną. Jego zainteresowania obejmują sztukę dawną, w tym zwłaszcza rzeźbę barokową oraz XIX w. na Śląsku, sztukę współczesną, a także historię i dziedzictwo kulturowe regionów wchodzących w skład województwa lubuskiego. Autor artykułów i opracowań poświęconych sztuce dawnej oraz współczesnej.

Dorota Kaczmarek

Urodziła się w 1961 roku. Starszy kustosz, kierownik Działu Promocji i Organizacji Wydarzeń w WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, organizator i koordynator wydarzeń kulturalnych, kurator wystaw. Przewodnicząca Zarządu Okręgu Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich w Zielonej Górze.

Mirosław Kuleba

Urodził się w Kołobrzegu w 1958 roku. Prozaik, reportażysta, niezależny dziennikarz, tłumacz z języka rosyjskiego. Absolwent Politechniki Zielonogórskiej, inżynier budownictwa lądowego. Korespondent prasowy na wojnach w Abchazji (1992, 1993), Jugosławii (1993) i Czeczenii (1994-1996). Wydał serię książek oraz wiele reportaży o konfliktach zbrojnych. Autor monografii zielonogórskiego winiarstwa: *Ampelografia Zielonej Góry*, *Enographia Thalloris*. Jest także właścicielem winnicy, plantatorem, producentem wina. Podejmuje aktywne działania, zmierzające do wskrzeszenia zabytków związanych z winiarską przeszłością regionu zielonogórskiego. Lada moment ukaże się jego książka pt. *Enografia mistyczna miasta Thalloris*, której fragment umieszczono w numerze.

Elżbieta Kuna-Kwiecińska

Rodowita sulechowianka. Absolwentka prawa i administracji na Uniwersytecie im. A. Mickiewicza w Poznaniu. W 1998 roku wydała tomik poezji *Wyznania*. Przez długie lata mieszkała w Edynburgu, gdzie pracowała i rozwijała swoje twórcze pasje. Będąc na emigracji, w 2013 roku wydała tomik *Powracająca fala*. Po powrocie do kraju w 2016 roku ukazał się tomik *Krok do Aniołów*. Publikowała w „Gazecie Lubuskiej”. Współpracuje z ośrodkami kultury i szkołami, gdzie prezentuje swoją poezję, łącząc ją z działaniami teatralnymi, śpiewem i happeningiem. Organizuje wieczory autorskie. Swoje teksty prozatorskie i reportaże zamieszcza w Biuletynie Miasta i Gminy Sulechów. Obecnie pracuje nad powieściami *Konfesjonat nie rozgrzesza* i *Anorexia od czerwonych porzeczek* oraz tomikiem poetyckim *Wyznania i wyzwania*.

Adam Lizakowski

Urodził się w 1956 roku w Dzierżonowie. Tłumacz, poeta i fotograf, instruktor teatralny. Od 1981 roku przebywał na emigracji (Austria, USA). Mieszkał w San Francisco, następnie przeniósł się do Chicago. Debiutował na łamach „Tygodnika Kulturalnego” wydawanego w Warszawie. Na emigracji publikował w wielu piśmiech Polonii amerykańskiej. Jest członkiem redakcji miesięcznika „Życie Kolorado” wydawanego w Denver w stanie Kolorado. W 1988 roku dzięki rekomendacji Czesława Miłosza wiele jego wierszy ukazywało się na łamach paryskiej „Kultury” oraz w „Tygodniku Powszechnym”. Jego twórczość była tłumaczona na języki: angielski, rosyjski, niemiecki, francuski, litewski, hebrajski, chiński, ukraiński, hiszpański i białoruski. Współzałożyciel grup poetyckich „Krak” w Los Angeles – San Francisco oraz „Niezapłacony Rent” w Chicago. Redaktor naczelny miesięcznika społeczno-kulturalnego „Razem” wydawanego w San Francisco (1986-1989),

kwartalnika poetyckiego „Dwa Końce Języka” (1993-1996) w Chicago. W Polsce współpracuje z „Zeszytami Poetyckimi” oraz „Rocznikiem Dzierżoniowskim”. Jest członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich od 1993 roku. Tłumacz poezji amerykańskiej. Od wielu lat promotor kultury polskiej za granicą, organizator spotkań literacko-artystycznych od San Francisco po Chicago. Po 35 latach emigracji w Ameryce powrócił na stałe do ojczyzny w 2016 roku.

Łukasz Maciejewski

Filmoznawca, krytyk filmowy i teatralny, asystent na Wydziale Aktorskim w Szkole Filmowej w Łodzi. Dyrektor artystyczny festiwalu „Kino na Granicy” w Cieszynie. Członek Europejskiej Akademii Filmowej i Światowego Stowarzyszenia Krytyków Filmowych „Fipresci”. Recenzent i felietonista „Interii”, laureat Nagrody PISF w kategoriach „książka roku” i „krytyk roku”. Autor i współautor wielu książek, m.in. wywiadów z Krystianem Lupą, Jerzym Radziwiłowiczem i Danutą Stenką oraz trzech tomów *Aktorek*.

Marcin Mielcarek

Urodził się w 1996 roku. Absolwent Uniwersytetu Zielonogórskiego (kierunek literatura popularna i kreacje światów gier). Wywodzi się spod Kalisza, z miejscowości Plewnia. Prozaik, autor wydanego w 2021 roku zbioru opowiadań *Parada myśli nocnych*, fan piłki nożnej i motoryzacji, głównie w szwedzkim wydaniu.

Ewa Mielczarek

Urodziła się w 1961 roku w Gnieźnie. Absolwentka Uniwersytetu Wrocławskiego (nauki polityczne oraz bibliotekoznawstwo i informacja naukowa). Starszy kustosz, redaktor, kierownik Działu Wydawnictw WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, jurorka konkursów literackich. Sekretarz redakcji pisma literacko-kulturalnego „Pro Libris”. W latach 1999-2004 szefowa wydawnictwa Art-Druk Regionalnego Centrum Animacji Kultury w Zielonej Górze.

Małgorzata Mikołajczak

Prof. zw. dr hab., kierownik Zakładu Literaturoznawstwa w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego i kierownik studiów doktoranckich w dyscyplinie literaturoznawstwo, członek Komitetu Nauk o Literaturze PAN i Rady Uczelni Uniwersytetu Zielonogórskiego, autorka monografii poświęconych poezji Urszuli Kozioł i Zbigniewa Herberta, redaktor naukowy serii „Nowy regionalizm w badaniach literackich”. Zajmuje się teorią literatury, literaturą współczesną i regionalizmem w badaniach literackich.

Andrzej Nowak

Aktor, były zastępca dyrektora Lubuskiego Teatru im. L. Kruczkowskiego w Zielonej Górze. Prowadził zajęcia ze sztuki scenicznej dla studentów UZ. Pracował jako kierownik mediateki Góra Mediów w WiMBP im. Cypriana Norwida.

Jerzy Nowosielski (1923–2011)

Malarz, rysownik, scenograf, filozof i teolog prawosławny. Uważany za jednego z najwybitniejszych współczesnych ikonopisarzy. Od najmłodszych lat fascynował się liturgią wschodnią, w której został wychowany (najpierw jako grekokatolik, później prawosławny). Pisał ikony, głównie przedstawione w metafizycznych kompozycjach figuralnych i pejzażach. Tworzył ważne realizacje ścienne, m.in. w kościele w Lourdes, kościele Ducha Świętego w Tychach, kościele Niepokalanego Poczęcia NMP na Azorach w Krakowie, dolnej cerkwi św. Jana Klimaka w Warszawie, cerkwi Narodzenia Najświętszej Maryi Panny w Gródku, cerkwi Narodzenia Najświętszej Maryi Panny w Kętrzynie, kościele Opatrzności Bożej w Warszawie (Wesołej), ko-

ściele Podwyższenia Krzyża Świętego na warszawskich Jelonkach oraz w cerkwi w Hajnówce. W Białym Borze stworzył niewielką cerkiew greckokatolicką, w której zaprojektował architekturę, wyposażenie wnętrza i wystrój malarski. Autor prac teoretycznych o ikonie i malarstwie. Od 1976 roku był profesorem ASP w Krakowie oraz członkiem Polskiej Akademii Umiejętności, Grupy Młodych Plastyków oraz Grupy Krakowskiej. W 1996 roku wspólnie z żoną Zofią założył Fundację Nowosielskich, której celem jest wspieranie wybitnych osiągnięć kultury polskiej poprzez przyznawanie stypendiów i dorocznych nagród.

Anna Polak

Doktor nauk humanistycznych w zakresie historii, zgłębiająca dzieje Łużyc wschodnich Dolnych i Górnych, szczególnie kwestie dotyczące społeczeństwa, zabytków i kultury. Jest autorką i współautorką publikacji naukowych oraz popularnonaukowych, przewodników turystycznych, a także artykułów prasowych. Brała udział w projektach międzynarodowych dotyczących m.in. województwa lubuskiego. Jednym z bardziej znaczących przedsięwzięć był projekt „Dolne Łużyce i południowa część województwa lubuskiego. Krajobraz kulturowy w centrum Europy”, realizowany przez Uniwersytet Zielonogórski i Brandenburski Uniwersytet Techniczny w Cottbus, a wspierany ze środków Unii Europejskiej. Dwukrotna stypendystka programu Erasmus. Pasjonatka fotografii i zdrowego stylu życia. Jest autorką wystaw fotograficznych oraz zdjęć do wielu książek. Wielbicielka turystyki i zwierząt. Obecnie pracuje jako adiunkt w Muzeum Pogranicza Śląsko-Łużyckiego w Żarach.

Anna Polus

Zastępca dyrektora WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, starszy kustosz, członek Rady Wydawniczej Pro Libris. Koordynator inicjatyw w zakresie wspierania i promocji książki, czytelnictwa wśród mieszkańców Zielonej Góry, zwłaszcza przedsięwzięć dla dzieci i młodzieży. Od 2000 członek, a od 2012 roku przewodnicząca Rady Muzeum Etnograficznego w Zielonej Górze-Ochli. Od 2012 roku członek Kapituły Konkursu o stypendium dla bibliotekarek im. Olgi Rok prowadzonego przez Akademię Rozwoju Filantropii w Polsce, wspierającego rozwój osobisty bibliotekarek z całej Polski. Od lat związana z kulturą Zielonej Góry i województwa lubuskiego. Animator kultury, członek Stowarzyszenia Kozzi Film Festiwal w Zielonej Górze. Od 2014 roku szef organizacyjny Festiwalu Filmu, Teatru i Książki *Kozzi Film Festiwal*.

Bogumiła Różewicz

Urodziła się w 1961 roku w Zielonej Górze. Poetka, członek Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów. Autorka książek poetyckich *Welon na fali* i *Błękitne zamyślenie*. Jej wiersze prezentowano w *Radiowej książce poetyckiej* (Radio Zachód), w antologiach (*Pióro na niebie*, *Dotyk nadziei*), w prasie literackiej. Jej poezja została przetłumaczona na język niemiecki i ukraiński. Wyróżniana w konkursach poetyckich.

Robert Rudiak

Urodził się w 1966 roku, poeta, prozaik, literaturoznawca i prasoznawca, historyk literatury regionu, krytyk literacki, regionalista, polonista i bibliotekarz, doktor nauk humanistycznych. Autor kilkunastu zbiorów poezji i prozy, pięciu monografii naukowych i opracowań redakcyjnych oraz realizator wystaw i filmów dokumentalnych o twórcach lubuskiego środowiska literackiego. Prezes zielonogórskiego oddziału Związku Literatów Polskich, wcześniej był prezesem stowarzyszenia kulturalnego „Debiut”. Laureat ogólnopolskich, międzynarodowych i regionalnych nagród literackich i kulturalnych w kraju i za granicą.

Czesław Sobkowiak

Urodził się w 1950 roku w Jaromierzu; absolwent polonistyki na Uniwersytecie Wrocławskim, poeta, autor kilkunastu tomików poetyckich i tomu prozy *Rzeka powrotna*. Krytyk literacki, współpracownik regionalnych i ogólnopolskich pism literackich. Mieszka w Zawadzie (Zielona Góra).

Mirosława Szott

Poetka, krytyczka literacka, dr nauk humanistycznych. Autorka dwóch tomików poetyckich – *pomiary Zamku* (2013) i *Anna* (2015) i książki *Czytanie miejsca. Poezja lubuska w perspektywie geopoetyki* (2021).

Anna Urbaniak

Urodziła się w 1980 roku w Zielonej Górze, absolwentka historii i podyplomowych studiów z zakresu informacji naukowej i bibliotekoznawstwa na Uniwersytecie Zielonogórskim. Autorka felietonów poświęconych roli książki i literatury w życiu człowieka oraz publikacji z zakresu bibliografii regionalnej. Miłośniczka poezji, w wolnych chwilach pisuje wiersze. Pracuje na stanowisku starszego kustosza w Dziale Informacji Regionalnej i Bibliograficznej WIMBP w Zielonej Górze, współtworzy i koordynuje elektroniczną bazę Bibliografia Ziemi Lubuskiej.

Irena Zielińska

Urodziła się w Gorzowie Wielkopolskim. Poetka, eseistka, autorka tekstów piosenek, malarka. Członek Związku Literatów Polskich. Debiutowała we wrocławskiej „Odrze” w 1977 roku. Od 1983 związana z Robotniczym Stowarzyszeniem Twórców Kultury w Gorzowie. Uczestniczka Ogólnopolskich Interdyscyplinarnych Warsztatów Artystycznych RSTK w Lubniewicach i Garbiczu, laureatka licznych konkursów poetyckich. Wydała książki poetyckie *Oceania Irenejska* (1998), *Naga rzeka* (2003, wyróżniona dyplomem dla najładniej wydanej książki w województwie lubuskim), *Przyłapana na istnieniu* (2011), *Przepraszam za wiersze* (2021). Należy do gorzowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Stała się bohaterką nagradzanego filmu dokumentalnego pt. *Zbliżenie* Piotra Wysockiego (2008), od 2012 roku współpracuje z kompozytorem Andrzejem Zaryckim (Piwnica pod Baranami). W 2012 roku otrzymała odznakę Zasłużony dla Kultury Polskiej.

Daria Żytyńska

Urodziła się w 2000 roku w Opolu. Studentka pierwszego roku kierunku literatura popularna i kreacja światów gier na Uniwersytecie Zielonogórskim. Radna Młodzieżowej Rady Miasta Zielona Góra w latach 2017-2019. Jej zainteresowania to gotowanie, psychologia zwierzęca oraz kreacja światów.



KRAKOWIAK
MALARSTWO RYSUNEK CERAMIKA

Artyści,
ich dzieci i wnuki
w portretach
Bożeny
Cajdler-Gruszkiewicz







Cena 10,50 zł (w tym 5% VAT)

ISSN 1642-5995

0 6



9 771642 599108

L PRO
LIBRIS